



prozaQ

Przełomowa do czasu powieści

CAMILLA WAY



OFIARY
LATA

Wydawnictwo Dolnośląskie

Camilla Way

OFIARY LATA

Dave'owi Hollowayowi, z wyrazami miłości. Pamięci Petera Waya, mego ojca.

Ta powieść jest w całości fikcją literacką. Nazwiska, bohaterowie i sytuacje w niej opisane są wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do rzeczywistych postaci, żywych czy martwych, wydarzeń i miejsc jest w całości dziełem przypadku.

1.

Poprowadził mnie bocznymi ulicami, nad rzekę. Przez pustkowie pełne białych kwiatów - tych, co pachną latem i kocią szczyną. Za naszą kryjówkę, za magazyny i fabryki, prawie pod gazownię. Na złomowisko - inne niż to, na którym zwykle się bawiliśmy. I tam się to wszystko stało.

Przed końcem tego lata troje z nas nie żyło. Ale o tym pan już wie. Proszę przyznać, że pana tętno przyspiesza na widok takich tytułów w gazetach: „Potworna zbrodnia samotnej uczennicy”, „13 - letni chłopiec gwałci szkolną koleżankę”, „10 - letnie dziecko atakuje nożem emerytkę”. Ja także tak reaguję, zbieram te teksty od lat. Niech pan powie - kiedy mija pan bandy tych ledwie odrośniętych od ziemi potworów, które nawiedzają wieczorem ulice, czy nie zaczyna pan iść szybciej? Nic dziwnego. Rozboje,

walki, gwałty, morderstwa - dzisiejsze dzieci. Są jak zwierzęta.

Ale ze wszystkich na świecie małych bestii - siejących postrach bohaterów gazetowych nagłówków, mój przyjaciel Kyle był najsłynniejszy. A ja byłam tam razem z nim. Kochałam go. Niech pan usiądzie dobrze, panie doktorze, opowiem panu wszystko. Najwyższy czas, by świat dowiedział się prawdy.

Wprowadziliśmy się na Myre Street w 1986. Pamiętam, że wstydziłam się z powodu naszych gównianych mebli. Przedstawialiśmy sobą niepozostawiający żadnej wątpliwości obraz totalnie splukanej rodziny kolorowych - bez nocnika, by się wyszczać - gdy wnosiliśmy to wszystko własnymi rękami. Jakże byliśmy żałośni z naszą brązową wersalką w kwiaty i badziewnym telewizorem, wywalający to wszystko na środek ulicy. Obciachu dodawał przechodzony pulowerek ojca, moje siostry w mini i cioteczka Jam w sari. Chryste, koszmar!

Wiedziałam, że wszyscy sąsiedzi patrzą z okien. WIEDZIAŁAM, że mówią:

- Pod trzydziestkę szóstkę wprowadza się nowa rodzina, mój drogi. Azjaci, widać po rzeczach. Nie próbuj nawet wyobrazić sobie ich wersalki!

Byłam pewna, że za którąś z firanek ktoś nabija się z mojej fryzury.

Siedziałam na krawężniku za kupą złomu, jaką był nasz samochód, i marzyłam, by mój brat Push upuścił sobie tapczan na nogi, podczas gdy te wielkopańskie pieprzone południwolondyńskie chałupy górowały drwiąco nad rządkiem naszych komunalnych domków jak gnoje, którzy znęcają się nad młodszymi na szkolnym boisku. Patrzyłam, jak członkowie mojej rodziny łążą bezładnie tam i z powrotem, niosąc kartonowe pudła, które zawierały całe nasze życie, i odwróciłam się akurat w momencie, kiedy Kyle wychodził ze swojej bramy.

Dom numer 33 przy Myre Street. Jaskinia potworów. Wielkie czarne okna i obłaząca farba ze ścian, rulon dywanu gnijący na zewnątrz w pieniających się chaszczach. Ci goście z gazety musieli być wniebowzięci, gdy zobaczyli po raz pierwszy to całe kino - miejsce mające wypisane słowo „groza” wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć.

Co pomyślałam o Kyle’u tego pierwszego dnia? Niezbyt wiele. Tyle tylko, że głupio wygląda. Panował ukrop, a on był w kurtce zapiętej pod chudą, ptasią szyję. I miał za krótkie spodnie. Poszedł w swoją stronę, nie spojrzawszy na nikogo z nas, ale to wtedy widziałam go po raz pierwszy, pamiętam. Poszedł w swoją stronę i nie widywałam go potem, aż do dnia,

kiedy zaczęłam chodzić do szkoły.

Najciekawsze jest to, że wszyscy uważają tę historię za horror („Wypadki”. „Cała prawda o morderstwach w kopalni!”). Bo dla mnie to była codzienność. Kromka z masłem. Tak wyglądało moje życie. Wie pan, o czym mówię? Stało się. Sprawy potoczyły się nie tak. Dobra, sprawy potoczyły się bardzo, bardzo nie tak. Ale byliśmy wtedy tylko dziećmi - ja, Kyle i Denis - zwykłymi dziećmi szwendającymi się po okolicy. Dlatego po tych wszystkich pytaniach - tych wszystkich: „co?”, „dlaczego?”, „jak?” i „kiedy?”, po szoku i przychodzeniu do siebie po tym, co się stało - jestem po prostu sobą, tu i teraz, pozbawiona jedynie wszystkiego, co miałam do tej pory.

Mój brat Push i ja zaczęliśmy szkołę w następny poniedziałek. Lewisham High była taka jak każdy inny gówniany ogólniak południowego Londynu lat osiemdziesiątych - beton i tłum dzieciaków, okratowane okna i wkurwieni nauczyciele. Na zewnątrz wychodził dziedziniec z zepsutą fontanną pełną opakowań po chipsach.

Kiedy przedstawiono mnie w klasie i kazano usiąść, okazało się, że jest tylko jedno wolne miejsce - obok tłustego czarnucha o imieniu Denis.

Denis był tego rodzaju gościem, że nie dziwiło to, iż siedzi sam. Takim, wie pan, z którym nie trzeba zamienić jednego słowa, żeby wiedzieć, że jest raczej mało jarzący. Dziecko specjalnej troski, w każdej klasie jest taki model. Nosił okulary z państwowej przychodni zdrowia grubości denek od butelek, jego szkolny mundurek był odprasowany w kancik, a krawacik zawiązany zbyt starannie pod sam podbródek, by mógł zrobić to własnoręcznie.

Usiadłam obok niego, a on odwrócił się, zdjął okulary i zrobił jakąś dziwną rzecz z oczami. Wywinął jakby górną powiekę, aż pojawiła się pod spodem krwawa powierzchnia. Po czym wyszczerzył się, jakby oczekiwał w nagrodę herbatnika czy czegoś w tym stylu. Uśmiechnęłam się z politowaniem, mając nadzieję, że odwali się w końcu i da mi święty spokój.

Nic bardziej błędnego. Byłam niewątpliwie pierwszą osobą od lat, która usiadła z nim w jednej ławce - jego nową superkumpelą. Zostałam na niego skazana. Wiedział o tym on, wiedzieli inni, a po pierwszym długim dniu spędzonym w towarzystwie wlokącego się za mną wielkiego, tłustego, czarnego, opóźnionego w rozwoju cienia, wiedziałam i ja. Nie przejmowałam się. Być może myślałam, że nawet taki Denis jest lepszy niż nic. Też nie byłam osobą, której zawieranie nowych znajomości przychodziło z łatwością.

Denis nie był rewelacyjnym towarzyszem rozmów. Tego pierwszego

dnia wszelkie próby nawiązania z nim kontaktu wyglądały mniej więcej tak:

Ja: - To jak, Denis! Jak ta kantyna?

On: - Podoba ci się Drużyna A? (Drużyna A (ang. The A - Team) - amerykański serial sensacyjno - komediowy o grupie najemników, byłych bohaterów wojny wietnamskiej.)
Ja: - Masz braci albo siostry, Denis?

On: - Stałaś kiedyś na głowie, aż puściła ci się krew z nosa?

Coś było jednak dziwnie intrygującego w tym odpowiadaniu pytaniem na pytanie, kompletnie ni z gruchy, ni z pietruchy, tak że w okolicy lunchu zaczęło mnie to w końcu nakręcać.

Ja: - Więc mieszkasz tu gdzieś niedaleko, Denis?

On: - Masz psa?

W międzyczasie natykałam się na mojego brata Pusha przesiadującego w stołówce albo dryfującego po korytarzach między klasami. Najwyraźniej rzucił się w wir Zawierania Nowych Znajomości. Zapewne pomagało mu to, że był z niego przystojny, pełen uroku skurwiel. Naprawdę pomyślałam o nim „skurwiel”. Udawał, że mnie nie zna, kiedy mijałam go z Denisem na korytarzu.

Umilałam sobie czas tego pierwszego dnia, czyniąc ważne obserwacje, wynotowując liderów i frajerów, będąc w większości olewana przez jednych i drugich, i zanim lekcje dobiegły końca, było jasne jak słońce, że nowa szkoła zapowiada się tak samo beznadziejnie jak ta, do której chodziłam przedtem.

Przed końcem lekcji udało mi się wyciągnąć od Denisa, że mieszka zaraz koło mnie, na Brockley. Wywnioskowawszy z tego, że będę na niego skazana przez całą powrotną drogę autobusem, poczułam się dość kijowo, gdy okazało się, że najwyraźniej ma wielką ochotę udać się samotnie w swoją stronę.

- Nie jedziesz pięćdziesiątkątrójką? - spytałam. Nie żeby mi zależało - starałam się przynajmniej, żeby nie zabrzmiało to tak, jakby mi zależało, na wypadek gdyby źle zrozumiał i myślał, że jednak mi zależy. Co nie było prawdą.

Denis wzruszył masywnymi ramionami w przyciasnej wymuskanej marynareczce, spojrział na swoje buty i tym razem udzielił mi logicznej odpowiedzi.

- Czekam na Kyle'a. Muszę poczekać, aż przyjdzie. Potem spojrział na ulicę, na której nikogo nie było.

Szeroki, tępy uśmiech pojawił się na jego wielkiej, tępej twarzy. Ja również spojrzałam w tamtą stronę, nie bardzo wiedząc, co zrobić, w końcu powiedziałam:

- Dobra. To cześć.

Aleostałam jeszcze parę minut dłużej, machając znoszoną teczką z długopisem sterczącym z dziury na dnie, gapiąc się na lodę na patyku topniejącego w psim gównie u moich stóp. Denis nie uczynił żadnego ruchu - nawet na mnie nie spojrzał. Wzruszyłam ramionami i powlokłam się w swoją stronę, nie mogąc uwierzyć, że Denis ma jakichś kolegów i co więcej, daje do zrozumienia, że nie jestem tu mile widziana. Tak czy inaczej, był niedorozwinięty i jego kumple pewnie też byli niedorozwinięci, więc w czym problem? Miałam ciekawsze rzeczy do roboty.

Kiedy doszłam do końca ulicy, odwróciłam się i zobaczyłam chudego białego małolata z mojej ulicy idącego w stronę Denisa. Ten zamachał przed sobą dłonią jak lunatyk, ogromny talerz jego facjaty lśnił jak księżyc.

Lato 1986 było upalne w całej Anglii. W naszym zakątku południowo - wschodniego Londynu dni miały kolor błękitno - złoty, promienie słońca odbijały się od pojemników na śmieci i wrzynały w samochodowe szyby. Paliły nam twarze, wżerały się w gałki oczne. Kiedy wspominam tamto lato, przychodzi mi na myśl ognisty meteor rozdzierający puste przestrzenie. Kiedy mój autobus telepał się ciężko przez New Cross tego pierwszego dnia, szkolny mundur kleił mi się do ciała od potu i wiedziałam, że te kilka miesięcy, zanim się zaczną wakacje, to będzie długich kilka miesięcy. Marzyłam o papierosie.

To było siedem lat temu. Kiedy byłam inną osobą. Kiedy miałam trzynaście lat i byłam jeszcze Anitą. Kiedy nie znałam Kyle'a.

Kiedy miałam jedenaście lat, moja mama umarła nagle - na dobrze skrywaną chorobę. W jednej minucie stała w naszej dawnej kuchni w Leeds, mieszając ryż w garnku, w następnej skręcała się na podłodze, ściskając kurczowo lewe ramię. Nie jestem ekspertem (a może i jestem), ale to była osobliwa śmierć, naprawdę. Pamiętam, że poczułam się wtedy trochę głupio, aż zaczęłam się śmiać, ponieważ to było jak dziwaczny żart - w poniedziałek, o siódmej wieczór.

- Żałosna ściema - powiedziałam, wstając od swoich zadań domowych, żeby lepiej widzieć. Jeżeli chodzi o udawanie umierania, mojej matce zdecydowanie przydałoby się parę dobrych rad.

Wtedy zobaczyłam jej twarz.

Wszystko, co ludzie opowiadają na temat szoku, jest nieprawdą. Czas nie staje w miejscu i nie czujesz, jak nogi wrastają ci w ziemię. Darłam się wniebogłosy i biegałam tam i z powrotem jak niedorozwinięta pomiędzy jej ciałem a kuchennymi drzwiami. Kiedy ojciec, brat i siostry zlecieli się w końcu, zastali mnie na kolanach, wrzeszczącą dalej, szarpiącą ją w nadziei, że się obudzi.

„Angina pectoris” - powiedziała później ciotka Joan. Jej serce było tykającą bombą. Żałuję, że tego nie wiedziałam. Gdybym wiedziała, że jej sercu pozostała jeszcze tylko określona ilość uderzeń, liczyłabym każde z nich z osobna.

W ciągu kilku kolejnych miesięcy moja rodzina była skończona. Smutek pożarł mojego tatę całkowicie. Zrujnował go, zniszczył, wykończył. Tata chodził w kółko albo częściej siedział w całkiem przekonującym ojcowskim przebraniu, ale za jego zapatrzonymi w dal oczami zamieszkał zombi - mózgożerca i, nie kryjąc się wcale, robił swoje. Straciliśmy naszego tatę z zasięgu. Nie chciał nas już. Jedyne, co go interesowało, to picie piwa i gapienie się po ciemku w telewizor.

Prosta sprawa, że w takiej sytuacji ja, Push i Esha opuściliśmy się w nauce i zaczęliśmy się włóczyć. Łatwiej było nie szwendać się po domu, gdzie mama rozpieszczała nas swoimi czekoladowymi pączkami, pół - - Yorkshire, pół - Bengali. Prościej było nie patrzeć na rozpadającą się rodzinę, gdy nie było się w domu.

Czas mijał i powoli ślad obecności mamy bladł, a jego miejsce wypełniła pustka. Stopniowo coraz mniej listów adresowanych do niej lądowało w skrzynce. Ktoś, nie wiem kto, usunął jej płaszcz z przedpokoju, jej kosmetyki z łazienki. Nie było nikogo, kto zmuszałby nas do jedzenia posiłków, wracania do domu o właściwej porze, nikt nie kontrolował, co robimy ze swoim czasem, nikt nie zauważał tak naprawdę, gdy czasami w ogóle nie wracaliśmy do domu, ani gdy zdarzyło mi się zapomnieć pójść do szkoły.

W końcu cioteczka Jam zrobiła scenę. Sari cięło z rozmachem powietrze. Ojciec miał pozamiatane - nazwała go pijakiem i pierdołą. Widziała, jak Bela wychodziła z pubu w mieście, usłyszała plotki, że Push pije w parku co wieczór, że Esha prowadzi się z gościem od kebabów. Jeżeli chodzi o mnie, czy ktoś wie, gdzie łąziłam po całych dniach? Bo z pewnością nie do szkoły. Jej oburzony głos, dobiegający spod kuchennych drzwi, świdrował mi uszy na wylot, gdy huśtałam się na poręczy schodów na klatce. „Głupia krowa” - myślałam. Z każdym kolejnym rozwścieczonym słowem podtekst stawał się coraz jaśniejszy. Gdyby ojciec zachował się przyzwoicie i poślubił bengalską

kobietę, nic takiego by nie miało miejsca. Nawet po śmierci matka sprowadza wstyd, a teraz jej żalotne półbiałe dzieci pogrążają rodzinę jeszcze bardziej. Dość tego! Poza tym ciotka ma plany względem naszego domu.

Trzeba uczciwie przyznać, że nim ojciec zebrał się do kupy na tyle skutecznie, żeby dać się przekonać ciotce Jam na zamianę naszego głównianego komunalnego domu w Leeds na jeszcze bardziej główniany w Londynie, Naidusowie nie mieli wielkich szans na nagrodę dla „Najbardziej kochającej się rodziny roku”.

Po pierwszym dniu w Lewisham High wróciwszy do domu, zastałam Pusha i ojca oglądających telewizję w salonie. Siedzieli obydwoj na nierozpakowanych kartonowych pudłach, jedząc ryżowe chipsy, pośród pałających się u ich stóp talerzy z wczorajszej kolacji i pustych puszek po piwie ojca.

Jeśli chcecie, by waszą posesję nawiedziły duchy, wykręćcie numer do Rentaghost. W Rentaghost mamy duchy, upiory, straszidła i klaunów...

Kiedy Push ujrzał mnie w drzwiach, zagaik:

- Jak tam, Nitty (Nitty - zdrobienie od imienia Anita - nawiązanie do ang. nit - „gnida”; przenośnie „idiotka”, „kretynka”.) bez cyca, w porządku? Widziałem cię dzisiaj z twoim nowym przyjacielem - wyszczerzył się do swoich ryżowych chipsów. - Złapałem cię na gorącym uczynku, co?

Posłuchaj, upiór w operze śpiewa straszną pieśń. Pamiętaj, to, co widzisz, to nie tajemnica, to Rentaghost!

- Taa - powiedziałam. - Bardzo śmieszne - i poszłam na górę.

W naszym pokoju Esha i Bela przygotowywały się do wyjścia. Przedarłszy się z trudem przez chmurę lakieru do włosów, stos jeansów, majtek, butów i staników, usiadłam, gapiąc się, na swoim łóżku.

- Zapomnij, Nit (Jak wyżej.) - Esha użyła mojej głowy jako podpórki, wdrapując się na łóżko obok mnie. Rozkładając ręce dla równowagi, oglądała się w połowie lustra wiszącego naprzeciw, chichocząc, podczas gdy Bela wdrapywała się z drugiej strony - udając, że serfują, kołysały się, stojąc na mojej kołdrze w białych szpilkach.

Moje starsze siostry były prześliczne, podobnie jak i Push („Biedna Anita” - powiedziała raz ciotka Jam, rzucając mi nieżyczliwe spojrzenie). Z cerą jak burbońskie herbatniki, miały czarne włosy do tyłka (ja ścięłam swoje kuchennymi nożyczkami, gdy miałam dziewięć lat) i wielkie zielone oczy mamy. Uwielbiały film Desperacko szukając Susan, nosiły białe koronkowe

rękawiczki bez palców i Ray - Bany i używały kilogramami czerwonej szminki, chodząc przy tym ciągle w mini i krótkich bluzkach. Krótko mówiąc - wyglądały zabójczo - żaden facet z Lewisham nie był w stanie się im oprzeć.

Bawiłam się bezmyślnie naszym różowym radio - budzikiem, kręciłam gałką, dryfując między stacjami i wsłuchując się w szumy, aż Bela krzyknęła, żebym przestała, więc poszłam do łazienki pogapić się w lustro. Kiedyś potrafiłam patrzeć na swoje odbicie godzinami. Nie dlatego, żebym myślała, że jestem ładna - wiedziałam, że nie - ale dlatego, że po jakimś czasie, kiedy patrzysz dość długo, przestajesz rozpoznawać samego siebie, znikasz. Tak samo jak wtedy, gdy mówisz w kółko to samo słowo - stopniowo staje się samym dźwiękiem. Nic nieznaczącym. Kiedy wpatrujesz się w swoje odbicie wystarczająco długo, zaczynasz wyglądać jak ktoś inny albo jak zupełnie nikt. Czasami potrafiłam stać tak przez pół godziny, gapiąc się tępo i strasząc samą siebie własnym odbiciem.

Moja twarz jest ciemna, oczy też - ciemne i podkrążone, jakby ktoś przyłożył mi z piąchy. Dwa sińce takie jak u ojca. Odziedziczyłam jego rany. Wierzchy moich dłoni, kolana i stopy są ciemniejsze od reszty i, tak jak mówiłam, zawsze obcinam na krótko moje czarne włosy. W jasnym świetle moje ramiona wyglądają jak pokryte futrem - jak u pająka. Jestem mała na swój wiek i chuda. Kiedy miałam trzynaście lat, nosiłam częściej ubrania po Pushu niż po moich siostrach i nieznajomi, o ile w ogóle zwracali na mnie uwagę, brali mnie za chłopca.

Później, kiedy moje siostry wróciły pijane, ojciec spał na wersalce i Push też poszedł do łóżka, ja leżałam, nie śpiąc, i słuchałam Beli i Eshy szepczących po ciemku. W ciągu kilku miesięcy, od kiedy się tam wprowadziliśmy, zdążyły zakochać się na amen w swoim nowym życiu. Oszalały na punkcie Londynu. Nigdy nie rozmawiały o Leeds, o swoich starych znajomych ani o mamie.

Rzuciły się w wir zaliczania pubów w Deptford i New Cross, zaczęły chodzić do college'u i planowały uciec od ojca, naszego gównianego domu i ode mnie. Miały po szesnaście lat i były znudzone na śmierć tematem śmierci. Miały dość smutku. Miały dość dołów. Rzewna piosenka w radio? Depreeecha! Zmieniały stację. Tragiczny film w telewizji? Nuuuuda! Pędziły Pusha, żeby przełączył. Tata siedzący z piwem po ciemku? Olać go, starego zgreda. Nie chciały mieć z tym nic wspólnego. Życie jest za krótkie. Włączcie muzykę, weselmy się, bawmy się!

Kiedy tak słuchałam po ciemku ich szeptów, przypominałam sobie, jak

po śmierci mamy zaczęłam nagle widywać ją wszędzie. Kątem oka dostrzegałam ją w najdziwniejszych miejscach. Kiedy włóczyłam się po ulicach, w czasie gdy powinnam być w szkole, zdyszany śmiech, mignięcie czerwonego płaszcza albo powiew perfum sprawiały, że odwracałam instynktownie głowę lub węszyłam powietrze jak pies.

Mama miała jasność w spojrzeniu i w całej sobie - i obdarzyła nią Pusha i bliźniaczki, ale zapas wyczerpał się najwyraźniej, kiedy przyszła moja kolej. Tylko ja jedna byłam jak ciemny fus z filiżanki ojca. Ale kochała nas wszystkich i nasz dom był dzięki temu szczęśliwym miejscem. Tatę, nijakiego i cichego, spędzającego czas głównie na grzebaniu w przechodzonym starym fordzie albo w rabatkach na podwórku, kochała miłością zaborczą i opiekuńczą. Kiedy znajdowała go zagapionego w przestrzeń lub rozmyślającego w samotności, zaczynała się krzątać, wydawać mu polecenia, całując i przytulając - tak samo jak robiła z nami - wtedy wracał do świata żywych ze zdziwionym, rozradowanym uśmiechem. Czasami znajdowałam ich siedzących razem na kanapie albo przy stole w kuchni - mama śmiała się, a wielkie czarne sińce oczu ojca wpatrzone były w jej twarz z wyrazem czułego zdumienia.

Była życiem naszego domu, była naszym życiem. Życiem, spoiwem, esencją. Jej wyraźny akcent z Yorkshire, jej czułość, jej śmiech i jej miłość potrafiły łagodnie pohamować energię rozpierającą Pusha, skłonić moje siostry, by podzieliły swój sekretny bliźniaczy świat z resztą z nas, wyciągnąć ojca z jego faz milczenia i przebaczać, przebaczać, i przebaczać mnie - uparcie, niezłomnie - za to, że jestem taka, jaka jestem.

Więź, która łączyła naszą rodzinę, jest nierozzerwalna, myślałam. Silna. Po śmierci mamy wślizgiwałam się często do jej szafy, po to tylko, żeby stać w ciemności wśród płaszczy i sukienek i przesiąkać jej zapachami. Perfumy mieszały się ze słodko - kwaśną wonią potu, proszku do prania i idealnym zapachem, który należał tylko do niej. Ale za każdym kolejnym razem zapach wydawał się coraz słabszy, jak perfumy na kawałkach tektury w sklepach, wyrzucanych do kosza po jednorazowym użyciu. Eau de Mama. Aż w końcu ktoś spakował jej rzeczy, któregoś dnia, gdy mnie nie było. Mama została ułożona starannie, brutalnie, po cichu, w pudłach na strychu, i tyle.

Kiedy moje siostry w końcu zasnęły tej nocy, uklęknęłam na łóżku i uniosłam firanki, żeby zapalić w oknie fajkę, którą im zwinęłam. Przez jakiś czas puszczałam kółka w zabarwioną pomarańczem ciemność i wtedy zobaczyłam Kyle'a wychodzącego spod trzydziestki trójki. Stał przez chwilę na progu, a ja zerknęłam na radiobudzik. Było dobrze po drugiej. Widziałam, jak ukląkł, by założyć buty, które trzymał w ręku, cicho zamknął

frontowe drzwi i zniknął w mroku ulicy.

2.

Szpital New Cross. 4 września 1986. Zapis rozmowy między doktorem C. Bartonem a Anitą Naidu. Kopia policji

Kyle nie żyje. Oni wszyscy nie żyją. Nie chcę o tym rozmawiać. Nie chcę o tym rozmawiać. Nie chcę o tym rozmawiać.

Ludzie, którzy mieszkają w tym bloku, na pewno myślą, że jestem dziwaczką. To głównie studenci. Oczywiście zmieniłam nazwisko i nie rozpoznają we mnie tej małej, ponurej dziewczynki z czarną opaską na oczach z gazet sprzed siedmiu lat. Nie rozpoznają mnie, a pewnie rozpoznałoby, gdyby na moim miejscu, korytarzu albo schodach pojawił się Denis, Katie lub Kyle (zwłaszcza Kyle). Ponieważ pozostałam żywa - jedyna ocalała - i wciąż byłam dzieckiem, miałam ten luksus, że moja tożsamość podlegała ochronie. Nie, moi sąsiedzi widzieli jedynie chudą, krótko ściętą chłopczycę, która nie przyjmowała gości i nie odwzajemniała uśmiechów. Rzeczywiście, nie licząc Malcolma, nie odezwałam się chyba ani razu do nikogo, kto tu mieszka.

Przyjechałam tu, do Bristolu, niedługo po tym całym lecie. Tak było najlepiej, po rozważeniu wszystkich za i przeciw (nie bardzo mogłam wrócić po tym do szkoły, prawda?). Zostałam wzięta na wychowanie przez tutejszą rodzinę, przeszkoloną w temacie, jak radzić sobie z takimi jak ja. Kiedy skończyłam szesnastkę, dostałam pracę w fabryce i zwyczajnie zostałam.

Od czasu do czasu słyszę, jak ktoś wspomina moje imię - mam na myśli moje prawdziwe imię - i zamieram ze strachu. Gzy padnie podczas rozmowy moich koleżanek z pracy, czy w jakimś programie telewizyjnym, czy gazety przypomną sobie o nas w związku z inną sprawą (jak na przykład przypadek Johna Bulgera), moja reakcja jest zawsze taka sama. Narastający z wolna przeraźliwy strach, chorobliwy lęk, że zostanę zdemaskowana. Na szczęście dziewczyny z fabryki od dawna uważają mnie za dziwaczkę - przywykły do mojego milczenia i samotności, nie zauważają, że reaguję w ten sposób.

Na początku, gdy wprowadziłam się do tego bloku, moi sąsiedzi - ci młodszy - próbowali się ze mną zapoznać, myśląc pewnie, że jestem studentką tak jak oni. Walili w moje drzwi, prosili o pożyczenie otwieracza do butelek, zapraszali na imprezy. Zajęło im wieki, zanim pojęli, że nigdy nie przyjdę. Widuję ich czasem przez okno, gdy nie mogę spać, patrzę, jak wracają z baletów, słyszę na korytarzu, jak przechwalają się wyrwanymi facetami, zaliczonymi dziewczynami. Patrzę, jak wracają do domu, zataczając się, o piątej, szóstej, siódmej rano, obejmując się za ramiona, a potem leżą w łóżku i

nawet nie zdając sobie z tego w pełni sprawy, znowu jestem tam, na nowo przeżywam tamto lato, zastanawiając się, kiedy to się zaczęło, i próbuję odnaleźć moment, w którym mogłam jeszcze być może coś zrobić, żeby skończyło się inaczej, niż się skończyło.

Następny dzień w szkole minął dokładnie tak samo jak pierwszy, w towarzystwie radosnej paplaniny Denisa. W ciągu kolejnych tygodni przyzwyczaiłam się do niego i nawet trochę mi go brakowało, gdy chodził na swoje „specjalne zajęcia” beze mnie. Z dumą oświadczył mi, że ma trudności z nauką („Nie pierdziel” - pomyślałam) i że to właśnie na specjalnych zajęciach poznał Kyle’a. („Kyle jest inny - wyjaśnił. Kyle ma zaburzenia OSOBOWOŚCI”). Widywaliśmy Kyle’a, jak prześlizguje się samotnie po korytarzach, chowając się w cieniu, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Miał tłuste włosy, nosił mundurek o za długich rękawach i za krótkich nogawkach. Chudy jak tyczka, był rodzajem małolata, który sprawia takie wrażenie, jakby roztałcał subtelny zapach szczyzny. Rodzajem małolata, którego nikt nie zauważa, a jak już zauważy, to nie zapamięta. Oprócz mnie - do dziś nie wiem, dlaczego.

Tak samo było każdego popołudnia. Wychodziłam z bramy z Denisem, po czym ten wymykał mi się, by czekać na Kyle’a, a ja musiałam wracać do domu sama. Ale raz wyszliśmy z klasy trochę później i Kyle czekał pierwszy. Tym razem nie dałam się Denisowi spławić i podeszłam z nim do Kyle’a. Musiał nas widzieć, ale patrzył w jakiś punkt poza nami. Przez chwilę nikt nic nie mówił. Denis wpatrywał się w czubki swoich butów, przerażony, jakby ktoś właśnie chciał wyruchać jego matkę. Nie było dobrze.

- W porządku? - zagałam w końcu. - Jestem Anita. Mieszkam naprzeciwko.

Kyle spojrzał ostro na Denisa, który mruknął:

- Chodzi ze mną do klasy.

Kyle skinął głową powoli, po czym zapatrzył się w głąb ulicy, czekając, aż sobie pójdę. Nie wierzyłam własnym oczom. Byli największymi zerami w szkole i nawet oni nie chcieli się ze mną zadawać. Nie darowałabym sobie jednak, gdybym odpuściła tak szybko.

- Gdzie idziecie? - powiedziałam jakby nigdy nic. - Mogę iść z wami?

W końcu na mnie spojrzał. Jego oczy były niesamowite. Błada, rozmyta szarość, kolor słupów i rynien, kolor deszczu. Ogromne w drobnej twarzy o ostrych rysach. Ewidentnie nie był zachwycony tym, co ujrzał. Skinął głową na Denisa i ruszył nagle przed siebie, a Denis potruchtał za nim jak duży,

tlusty, niezgrabny piesek. Nie obejrzeli się za siebie.

„Dupki, dupki, dupki” - myślałam, idąc wściekła do autobusu. Dlaczego tak mnie to ruszyło? Nie byłam zbyt towarzyska - zawsze wolałam, prawdę mówiąc, włóczyć się samotnie. Dużo wagarowałam, nosiłam beznadziejne ciuchy, fryzurę na chłopaka i gównu mnie obchodził Duran Duran. Nie miałam o czym gadać z innymi małodatami. Nie zwracały na mnie uwagi i właśnie o to mi chodziło.

Stopień, w jakim mnie olewano, był doskonały - osiągnięcie takiego stanu wymagało prawdziwego mistrzostwa. Trzeba niemałego wysiłku i lat ćwiczeń, żeby mieć pewność, że jesteś konsekwentnie niezauważany. Byłam osobą zepchniętą w cień, dzieckiem ginącym w tłumie.

Zawsze na uboczu, chodzący szyld PROSIMY NIE PRZESZKADZAĆ! Nikt nie zawracał sobie mną głowy i miałam zamiar utrzymać ten układ. Byłam niewidzialna. A jednak. Coś w Kyle’u uderzyło mnie, pociągało. Coś musiałam w nim dostrzec. Myślę, że samą siebie.

No i, przede wszystkim, Kyle i Denis sprawiali wrażenie, jakby mieli jakiś wyższy cel. Pluli na szkołę i wszystkie inne małodaty. Chciałam się dowiedzieć, dokąd chodzą, co kombinują po ostatnim dzwonku, gdzie Kyle chodzi po nocach. Chciałam i już. I strasznie pragnęłam mieć jakiś powód, by nie wracać zaraz po szkole do domu.

Czy żałuję dzisiaj, że się z nimi zadawałam? Czy gdy patrzę wstecz, przeklinam moment, w którym zobaczyłam pierwszy raz Kyle’a? Żałuję tylko, że go tu nie ma. Wie pan, wciąż za nim tęsknię.

Parę dni później wróciłam do domu i zastałam tatę pijącego herbatkę w towarzystwie jednej z naszych sąsiadek. Janice miała czterdziecę na karku, była ruda, gruba, a każda z jej piersi była większa od mojej głowy. Pudru miała na twarzy tyle, jakby sypnęła go sobie na twarz z wiaderka, i nosiła ciuchy w stylu, który pasował może moim siostram, ale nie było niczym przyjemnym widzieć je na kimś jej pokroju.

Tata wyglądał na przerażonego - na tle wielkiego, połyskującego lycrą ciała sąsiadki i jej przeszywającego śmiechu wyglądał jak glut napluty na kolorowy billboard. Przy niej zdawał się jeszcze bardziej nijaki i beznadziejny niż zwykle. Trzeba przyznać - jeszcze nigdy nie widziałam, żeby tak ucieszył się na mój widok.

Zauważyła mnie, zanim zdążyłam się wymknąć.

- Ty na pewno jesteś Anita - wrzasnęła podekscytowana.

Zacząłam wycofywać się do drzwi, ale tata już w panice zarzucił na mnie lasso.

- Anita, to jest nasza sąsiadka Janice.

Wstał i wykonywał rozpaczliwe ruchy jak chory na Alzheimera, ściskając w ręku puszkę tennentsa.

- Nie wstydź się, kochanie, chodź i siadaj - uśmiechnęła się promiennie i poklepała siedzenie krzesła stojącego obok. Usiadłam na innym, najbliższej drzwi.

- Pomyślałam, że będę dobrą sąsiadką i wpadnę - powiedziała z południowolondyńskim zaśpiewem, który wkrótce miałam znienawidzić.

Jej zęby były bardzo małe i żółte w wielkich różowych ustach.

- Odbyliśmy przemiłą pogawędkę z twoim tatą. Opowiedział mi o tobie wszystko.

Popatrzyłam na tatę, który zaczął studiować jeden z guzików swojego swetra.

Janice przycisnęła filiżankę do dekoltu, jej świńskie, opływające tuszem oczka wypełniły się współczuciem.

- To straszne, co przeszedł, wychowując was wszystkich samotnie.

Spojrzała na mnie tak, jakby to była moja wina, że mama umarła.

W końcu Janice zakumała, że jestem cichym, gapiowatym dzieckiem, wprawiającym dorosłych takich jak ona w zakłopotanie, i się zamknęła. Obydwie wpatrzyłyśmy się w ojca, który zagapił się z kolei w swoją puszkę z piwem. Na szczęście dla Janice w tym momencie zjawił się Push.

Mój brat nie był jednym z tych, którzy wpadaliby zaraz w onieśmienie na widok jakiegoś tam pokaźnego biustu i kiedy została dokonana wzajemna prezentacja, rozsiadł się swobodnie i zaczął sprawiać wrażenie piętnastolatka, który właśnie odkrył, że mieszka obok samej Samantha Fox.

Będę wpadał po cukier - powiedział, mrugając porozumiewawczo, a Janice zachichotała i przyklepała włosy.

Zarozumiały, przystojny, rubaszny Push. Nie po raz pierwszy tata i ja patrzyliśmy na niego ze zdumieniem. „W kogo on się wdał?” - zachodziliśmy w głowę.

Po trzuminutowym słowotoku Pusha na swój temat zaczęłam zbierać się do ucieczki. Ale zastygłam przy drzwiach, kiedy Janice powiedziała:

- Lewisham High, tak? Więc musisz znać tego Kyle'a Kite'a.

Po raz pierwszy usłyszałam jego nazwisko, ale wiedziałam momentalnie, o kim mowa. Zabawne, gdy się pomyśli, jak wszechobecne to imię jest teraz, jak jednoznacznie kojarzy się z czymś, o czym wtedy nie miałam prawie pojęcia. Wtedy odwróciłam się od drzwi i poczułam przeszywającą ciekawość, kiedy patrzyłam, jak sąsiadka zasysa policzki, wznosi brwi i patrzy na tatę, jakby chciała powiedzieć: „No to ładnie!”.

- Kyle? - spytałam. - Ten Kyle, który mieszka naprzeciwko?

- Ten, ten! Pod trzydziestką trójką - pokręciła głową, jakby miała zamiar „ładniować” na nowo. - Fatalna sprawa.

- Jaka sprawa? - usiłowałam z niej wydusić.

- Jego mała siostrzyczka nazywała się Katie Kite! - wypowiedziała to nazwisko triumfalnie. I spojrzała wyczekująco.

Ja, tata i Push popatrzyliśmy po sobie, coś nam jakby gdzieś zadzwoniło, ale nie wiedzieliśmy, w którym kościele. Gdzieś słyszeliśmy to imię, ale gdzie? Spojrzeliśmy na nią ponownie, kręcąc przeczącą głowami. Sorry, kto?

- Mała Katie Kite! - powiedziała Janice z irytacją. - Boże Wszechmogący, nie czytacie gazet?

Janice westchnęła i nas oświeciła. Jednego dnia rano przed rokiem mama Kyle'a (miła kobieta, tylko trochę nie tego, wiecie...) poszła obudzić małą Kattie, ale okazało się, że jej nie ma. Siedem lat miała, śliczne dzieciątko. Rozpłynęła się. Kamień w wodę.

- Musicie pamiętać! Było na pierwszych stronach gazet!

Faktycznie. Przypomnieliśmy sobie nagłówki, zdjęcia małej dziewczynki, apele o pomoc. Pamiętaliśmy, ale słabo - myśli wypełniał nam wtedy nasz własny koszmar.

- Nigdy jej nie znaleziono! - Janice przycisnęła mocniej do siebie filizankę. - Po prostu zniknęła i nikt nie ma pojęcia, jak to się stało. - Wzdrygnęła się. - Jej matka zupełnie przestała wychodzić z domu. Biedny Kyle robi wszystkie zakupy. Pomaga im jeszcze jego przemiły dziadek.

Nawet Push był pod wrażeniem:

- To co, ktoś ją porwał?

- W tym cała rzecz, kochanie. Nikt nic nie wie. Policja szukała całe wieki. Ani śladu włamania. Nie znaleźli kompletnie nic. Totalna porażka w pełnym tego słowa znaczeniu. Wzięli na spytki połowę okolicy, rozważyli

wszystkie możliwości. Wyciągnęli nawet jej eks - męża Bóg wie skąd, ale ani śladu. Biedne maleństwo po prostu zniknęło i jeden Stwórca wie, co się z nim stało.

Janice spojrzała na nasze rozdziawione z przejęcia twarze z głęboką satysfakcją i dopiła herbatę.

Tygodnie przed końcem roku szkolnego wlokły się w nieskończoność. Denis i ja trzymaliśmy się razem w ciągu dnia. Czasami gdzieś w szkole natykaliśmy się na Kyle'a, ale zawsze olewał nas wtedy z góry na dół. Za to często spotykał się z Denisem po lekcjach, na które zresztą - na sto procent - sam nie chodził. Udało mi się przełamać zwyczaj Denisa odpowiadania debilnymi pytaniami na moje pytania, ale na temat Kyle'a milczał jak grób. Mózg mi się lasował. O ile wcześniej byłam zainteresowana Kyle'em, o tyle teraz wręcz mnie fascynował. Wyobraża pan sobie poznać kogoś, czyja siostra po prostu się rozplynęła?

Raz zapytałam Denisa, czy był kiedyś u Kyle'a w domu. Spojrzał na mnie nieco podejrzliwie i starał się zmienić temat na dinozaury, batoniki curly wurly czy inne pierdoły w jego stylu. Ale gdy dalej go męczyłam, powiedział w końcu:

- Yyy, w sumie to nie. Raczej chodzimy i robimy różne rzeczy.

Zapytałam, co takiego.

- Noo, łazimy i szukamy czegoś do roboty. Nad rzeką. Spojrzałam na niego, przybierając wyraz twarzy z cyklu: „Przestań pierdolić”.

- Szukamy jaskiń - powiedział.

Jaskiń? Jakich jaskiń? Ale Denis uciekł już na lekcję ekonomiki domu do swojej klasy dla niedorozwojów uczyć się robić zapiekankę z ziemniaków i tyle się dowiedziałam.

Ostatnie dni przed końcem roku ślimaczyły się niemiłosiernie, każdy taki sam jak poprzedni, aż raz zdarzyło się coś dosyć dziwnego. Do tego czasu zdążyłam już nieco przywyknąć do Lewisham High. Nauczycielom odpowiadało, że jestem dzieckiem, które chodzi z opuszczoną głową i gębą na kłódkę, toteż nie czepiali się i nie interesowali mną. Byłam praktycznie pozostawiona samej sobie. Tamtego dnia siedziałam razem z Denisem w najsłabszej klasie - on z powodów oczywistych, a ja dlatego, że łatwiej jest udawać idiotę i przerabiać program dla niedorozwojów, niż przemęczać się i udzielać w towarzystwie paru nielicznych kujonów w szkole, których miałam głęboko gdzieś. Nauczyciele byli zbyt zajęci, starając się zapobiec

wybuchowi trzeciej wojny światowej, żeby zajmować się takimi przypadkami jak mój.

Tak więc po matematyce wyszliśmy z klasy i spotkaliśmy na korytarzu Kyle'a. Stał spokojnie, bez ruchu, z zaciśniętymi pięściami i wzrokiem wbitym w podłogę, ale wiedziałam, że robi dokładnie to samo, co robiłam czasami ja - udaje, że go tu nie ma, że jest gdzie indziej. Rozpoznałam od razu ten klimat - był tam, a jakby go nie było - nawet gdy patrzyło się wprost na niego, sprawiał wrażenie, jakby widziało się go tylko kątem oka. Człowiek w cieniu. Mało kto tak potrafi.

Stał w towarzystwie trójki smarkaczy, którzy robili sobie z niego jaja. Naśmiewali się z niego, a on stał wciśnięty w ścianę, jakby chciał się w nią wtopić. Nazywały go „głupim łajzą”, „świrusem” - czy jakoś tak. Jak to zwykle gówniarze naszego pokroju. Takie rzeczy można olać. Ale nagle jakaś wysoka, chuda panna zawołała: „Gdzie jest twoja siostra, co?” i wybuchnęła śmiechem, takim, wie pan, wysilonym „ha, ha, ha”, jak to robią dzieciaki, gdy się zorientują, że ich dowcip nie był zbyt zabawny.

I wtedy właśnie to się stało. Kyle podniósł głowę, spojrzał prosto na dziewczynę i nagle wszystko, co tkwiło gdzieś tam w jego wnętrzu, a co tak skrętnie skrywał, udając, że jest kimś innym, niż był - pojawiło się z tak gwałtowną siłą, że cała jego złość i nienawiść do nich wszystkich skoncentrowała się w jednej chwili w jego oczach z prędkością kuli armatniej. Dziewczyna od razu przestała się śmiać, jakby ktoś wymierzył jej policzek. Jej twarz zapadła się, zrobiła się biała jak ściana. Zrobił krok w jej stronę, jakby chciał ją uderzyć. Zaczęła uciekać, ruszyła pędem przed siebie tak szybko, jak potrafiła, ale Kyle wprost rzucił się za nią.

Przez ten czas zdążył się zebrać mały tłumek, tak więc wszyscy popędziliśmy za nimi, inne dzieciaki wrzeszczały: „Dawaj!, Dawaj!, Dawaj!, Dawaj!”. Lecieliśmy za nimi przez cały korytarz, potem po schodach, w końcu dopadliśmy ich na samej górze. Kyle trzymał dziewczynę za gardło. Była przechylona do połowy przez poręcz, niemal wisiała w powietrzu - było naprawdę wysoko. Kyle zaciskał kciuki na jej tchawicy, oczy wychodziły jej z orbit. Wszyscy zamilkli.

Wtedy zjawił się nauczyciel i przerwał całe to zajście, chwycił Kyle'a za rękę, odciągając od dziewczyny, zaprowadził do gabinetu dyrektora i na tym się skończyło. Pamiętam, że pomyślałam wtedy, że zrobiłabym praktycznie wszystko, żeby zdobyć przyjaźń Kyle'a.

W końcu przyszły wakacje. Przede mną rozciągała się perspektywa siedmiu długich tygodni bez szkoły, a ja nie miałam co z nimi począć. Parę

dni zwyczajnie przesiadywałam w słońcu na schodach przed domem, patrząc na przechodzących ludzi. Push znalazł pracę na wakacje, a moje siostry włóczyły się po parku z nowo poznanymi kołesiami, których naciągały na wino i fajki. Czasami widywałam Denisa, jak przychodzi po Kyle'a, pod jego dom. Nieraz, jak mnie zauważył, machał do mnie, ale Kyle nigdy nie spojrzał w moją stronę, gdy szli gdzieś dalej razem. Kilka razy widziałam starszego mężczyznę, kierującego się pod trzydziestkę trójkę, lecz nigdy nie zauważyłam śladu obecności matki Kyle'a. Próbowałam sobie wyobrazić, jak wygląda wewnątrz ich dom, ale zasłony były zawsze zaciągnięte i mogłam jedynie patrzeć oczami wyobraźni na ciemne, puste pokoje za nimi.

Tamten dzień, po którym zmieniło się wszystko, to była sobota. Miałam już cholernie dość szwendania się po domu i patrzenia, jak ojciec ogląda kreskówki w telewizji, toteż postanowiłam udać się do Lewisham. Był upał nie do zniesienia.

Ulice w tamtej części Brockley są szerokie i długie - stoją tam wysokie obskurne domy, które wydają się pochylać do przodu, jakby miały za chwilę runąć na człowieka - mają sterczące dachy i wielkie wykuszowe okna, wyglądające jak rozdziawione usta. Trawniki wysadzone są drzewami - tak wielkimi, że korzenie wypychają asfalt ulicy, niczym uwięzione ramiona. Potykałam się o nie na początku setki razy.

Szłam przed siebie, aż znalazłam się na wzgórzu prowadzącym do Lewisham. Przed sobą miałam tereny Crystal Palace i Forest Hill, poniżej rozciągały się Dept - ford i Greenwich. Można stamtąd dojrzeć maszty „Cutty Sark” („Cutty Sark” - XIX - wieczny żaglowiec, zbudowany w celu przewozu herbaty z Chin. Obecnie jedyny zachowany kliper herbaciany na świecie, stoi przy nabrzeżu w Greenwich jako statek - muzeum.), dalej rzeka zakręca. Autobusy przetaczały się koło mnie z warkotem, gdy schodziłam ze wzgórza. Soulowi muzyka dudniła zza otwartych drzwi, a witryny karaibskich sklepów straszyły jaskrawymi barwami w pyle ulicy, z brudnych okien rozsypujących się domów z cegły oblażyły czarno - białe plakaty reklamujące kampanię na rzecz rozbrojenia nuklearnego z krzykliwymi napisami „BOMBOM STOP!”. Szłam przed siebie z wzrokiem wbitym w swoje klapki pokonujące z trudem wertepy wypalonych słońcem trawników.

Na ulicach Lewisham panował piekielny tłok. Gdy doszłam do głównej ulicy, poczułam się nagle przytłoczona tłumem sobotnich sklepikarzy, nastolatek z wózkami, bezdomnych ściskających puszki, świrów wykrzykujących nawiedzone hasła, wydobywającą się z samochodów dudniącą muzyką. Na przystanek podjechał autobus 180, a ja - nie dbając, dokąd jedzie - wsiadłam do środka.

Dopiero kiedy usiadłam na górnym piętrze, zdałam sobie sprawę, że naprzeciwko znajdują się Kyle i Denis. W pierwszej chwili mnie nie zauważyli. Kyle siedział grzecznie na brzeżku fotela, wpatrując się w napięciu w tłustą dziewczynę pochłaniającą hamburgera. Denis, zajmujący większą część siedzenia, machał nogami, wygwizdując przez zęby w kółko tę samą żalostną melodię. Zauważyłam zdegustowanie na twarzy Kyle'a, gdy patrzył, jak grubaska wgryza się w bułę, a tłuste krople majonezu i sosu kapią jej po rękach. Autobus telepał się w nieznośnym upale w stronę Greenwich.

Wtedy nagle z otoczonych oparami papierosowego dymu tylnych siedzeń dobiegł komentarz:

- To te pieprzone łajzy z naszej budy.

Kyle patrzył dalej prosto przed siebie, ale Denis i ja odwróciliśmy się jednocześnie i nasz wzrok spotkał się na chwilę - instynktownie przeculiśmy, co to oznacza. Na tylnym siedzeniu siedział Mike Hunt i jego dwóch kumpli - Lee i Marco. Chodziłam do Lewisham High wystarczająco długo, by wiedzieć, że to zdecydowanie nie wróży nic dobrego. Zdziwiło mnie, że znaleźli czas, żeby zaobserwować Kyle'a i Denisa - w przerwie swoich stałych pilnych zajęć, do których należało przypalanie sobie nawzajem fajek i ćpanie kleju w kiblu - na tyle, że byli w stanie ich rozpoznać. Mieli tyle lat co mój brat i byli największymi psycholami w całej szkole. Mike miał taką reputację, że nikt nigdy nawet nie odważył się zaśmiać z gównianego brzmienia jego nazwiska (Mike Hunt brzmi podobnie do my cunt (ang.) - wulgarne określenie na kobiecy narząd płciowy.). Jego starszy brat siedział za pokrojenie jakiegoś faceta, a Mike, zdaje się, nie był lepszy. Podobno został wylany z poprzedniej szkoły za przystawianie się do nauczycielki. On i jego kumple byli w Lewisham High objęci odrębnym programem nauczania, w ramach tak zwanego (optymistycznie) „Centrum Rozwoju”. W rzeczywistości siali postrach na korytarzu i na boisku, staczając się stopniowo na dno. I szli właśnie w naszą stronę.

Gruba wstała, Mike i Marco wtoczyli się na jej miejsce, Lee siadł koło mnie. Mike był jasnym blondynem, tak bladym, że żyły przebijały przez cienką skórę jego twarzy.

- Co to, dauny mają dziś wychodne? - zapytał. Denis spojrzał na Kyle'a z niepokojem.

- Ej! - Mike wydarł się tak głośno, że wszyscy pasażerowie zatłoczonego autobusu odwrócili głowy. - Pytam cię, kurwa, o coś. - Zaśmiał się głośno przeszywającym, piskliwym jak u dziewczyny śmiechem. - Widziałeś, co oni mają na sobie? - zwrócił się do Lee.

Marco, facet o twarzy szarej i tłustej jak surowy hamburger, splunął z pogardą na głowę Denisa. Rozmowy pasażerów umilkły.

Denis spojrzął z poczuciem winy na swoje i Kyle'a ciuchy. Miał na sobie przyciasny T - shirt z wizerunkiem inspektora Clouseau na piersiach, podpisanym zawijanymi literkami: „Gdzie jest ta żalonna pantera?”. Kyle ubrany był, jak zwykle, byle jak - w to, co nosił przy każdej okazji i pogodzie, czyli w tweedowe spodnie dwa numery za duże i koszmarną brązową nylonową bluzę. Kościste łokcie wystawały mu przez przetarte rękawy. Szczerze mówiąc, wyglądali jak dwie łajzy. Ale Kyle wciąż patrzył wprost przed siebie, jakby ich nie zauważył.

Marco zwrócił się do Kyle'a, z dumą wskazując swój podkoszulek.

- Kappa, trzydzieści osiem funtów, kumasz? Mój stary kupił to w sklepie na West Endzie.

Mike prychnął pogardliwie:

- Pieprzony badziew. - Wskazał na swoją cytrynowo - zieloną bluzę. - Lacoste. Czterdzieści trzy funty w Romford, więc spierdalaj. - Skierował swą uwagę z powrotem na Kyle'a i Denisa. - To gdzie jedzicie, panienki?

Kyle westchnął, wstał i skinieniem głowy dał znać Denisowi, żeby zrobił to samo. Jakiś nagły podszept brawury nakazał mi wstać także i prześliznąć się obok Lee za nimi. Wszyscy trzej podnieśli się, by zagrozić nam drogę.

- Wybieracie się gdzieś, wieśniaki? - Marco zwrócił się miękko do Kyle'a.

Mike zauważył mnie dopiero wtedy.

- Jak się masz, Arabusie. Szukasz czegoś? Odwrócił się do swoich koleś i zarżał:

- Widzieliście tę paradę ciot?

Lee pochylił się nad Denisem:

- Wyskakujcie z piątała i spadowa.

Denis wyglądał tak, jakby za chwilę miał się posrać. Wtedy odezwał się Kyle - głosem śmiertelnie poważnym i pełnym współczucia, jak lekarz mający do zakomunikowania bardzo złą wiadomość..

- Mike - zaczął spokojnie, a większość pasażerów zapuściła z zainteresowaniem żurawia w jego stronę. - Twoja matka jest lesbą, twoja siostra pieprzy się z każdym, a twój stary ciągnie druta. A teraz daj mi z łaski swojej wisiąść z tego jebanego autobusu.

Nastąpiła chwila ciszy, a za moment - ze strony stłoczonego z przodu tłumu czarnych dzieciaków wybuchł histeryczny śmiech, po czym nagle cała reszta autobusu śmiała się i kręciła głowami z niedowierzaniem. Mike wyglądał tak, jakby dostał cegłówką w twarz.

- He? - zdołał wykrztusić.

Jeden z czarnych dzieciaków wrzasnął:

- Pozwól im wysiąść z tego jebanego autobusu, świrze!

Jakaś gruba dziewczyna z warkoczami wstała i wykonała w ich kierunku gest, jakby chciała przepędzić natrętne muchy.

Z drogi, zasrane gnojki!

Jej chłopak, wielki i groźny, wycodził przez zęby w stronę Mike'a:

- Puszczasz ich, człowieku, czy mam ci skopać tę chudą dupę?

Jego koledzy roześmiali się, strzelając palcami prawych dłoni i krzycząc:

- Ooobciach!!! Wiooooocha!!! - podczas gdy dziewczyna, zwijając się ze śmiechu, rzuciła:

- Biedak! Mama lesba! - udała, że obciera dłonią łzy. - Boże, to straszne!

Mike'owi nie pozostało nic innego, jak udąć obojętność. Ze wzruszeniem ramion odsunął się, pozwalając nam przejść. Denis i ja wysiedliśmy za Kyle'em. Autobus jechał obok nas przez chwilę, gdy szliśmy przed siebie, nie odzywając się. Kiedy w końcu skręcił, okienna szyba zsunęła się i zza małego kwadratowego lufciku wynurzyła się twarz Mike'a. Splunął trzykrotnie w naszą stronę - trzy strużki plwociny wylądowały precyzyjnie na naszych głowach.

3.

W zakładzie, w którym pracuję, robi się telefony. Jestem tu od czterech lat. Codziennie od czterech lat przyklejam firmowe znaczki na słuchawki. Przykleiłam już miliony takich naklejek, niczym nieróżniących się jedna od drugiej. Jestem dobrym pracownikiem, panie doktorze. Cichym, sumiennym i zawsze wyrabiającym normę. Z początku inni pracownicy mieli do mnie z tego powodu żal, ale w końcu zdali sobie sprawę, że nie zwracam uwagi na ich docinki i rozgoryczone spojrzenia i dali sobie spokój.

Teraz traktują mnie mniej więcej tak, jak część ławki, na której siadam każdego dnia.

Dni i tygodnie wymieszały się ze sobą, jeden taki sam jak drugi. Odmierzam każdy z nich dokładnie, minutę po minucie, chwilę za chwilą, aż do wieczora, kiedy mogę pójść do domu i czekać, aż wróci Malcolm.

Malcolm ma dziewiętnaście lat, jest młodszy ode mnie o sześć miesięcy i mieszka z matką w moim bloku. Pracuje na zmywaku w meksykańskiej restauracji o nazwie „Speedy Gonzales”. Od razu wiedziałam, że jest w nim coś, co wyróżnia go spośród innych. To znaczy poczułam, że reaguję na niego inaczej niż na innych. Nie bałam się go. Na jego widok nie miałam odruchu, żeby schować głowę w ramiona, uciec czym prędzej i zakopać się w łóżku. Zwykle unikam kontaktu wzrokowego z innymi, podobnie jak i on, ale po jakimś roku od czasu, gdy się wprowadziłam, powoli, mijając się na schodach albo w korytarzu, nauczyliśmy się nie odwracać natychmiast oczu. Nie uśmiechaliśmy się do siebie ani nie rozmawialiśmy ze sobą - nic z tych rzeczy - ale zdarzało nam się czasami patrzeć na siebie przez chwilę. A to już dużo, strasznie dużo dla takich przypadków jak ja i Malcolm.

Wysiedliśmy z Denisem i Kyle'em w centrum Greenwich - targowiska pełnego straganów i knajp, wypływającego turystów przybyłych w celu kupienia tanich antyków oraz jeansów firmy second - hand. Zmierzaaliśmy w stronę rzeki i wysokich masztów „Cutty Sarka”. Kiedy dotarliśmy do łodzi, zatrzymałam się. Denis spojrzał na mnie pytająco: „To idziesz z nami?”.

Popatrzyłam na Kyle'a, mrużącego oczy przed słońcem, bawiącego się bezmyślnie wyciągniętym z kieszeni niedopałkiem papierosa. Wzruszył ramionami i skinął głową w przyzwoleniu. Ruszyliśmy wszyscy razem dalej przed siebie.

Wryła mi się w pamięć nadnaturalnie intensywna jasność tego dnia. Niebo było takie niebieskie - zdawało się, że wystarczy wyciągnąć rękę, by oderwać sobie kawałek. Zatrzymaliśmy się na chwilę przy brzegu rzeki, by

popatrzeć na turystów wsiadających do wycieczkowego statku. Jakaś kobieta rozdawała dzieciom lody, a jej mąż pstrykał zdjęcia z pomostu. Kyle gapił się przez chwilę na majaczące w oddali ugory Isle of Dogs, po czym wskazał wzrokiem na zbudowane z cegły, kryte szklanym dachem wejście do tunelu dla pieszych. Denis pokręcił głową.

- Nie idę - powiedział. Najwyraźniej nie było to nic nowego. Wzdrygnął się i powiedział do mnie: - Nie lubię być pod ziemią.

Kyle wzruszył ramionami i zawróciliśmy w stronę chłodnego, ocienionego bulwaru prowadzącego wzdłuż brzegu Tamizy do Woolwich.

Szliśmy gęsiego, prowadził Kyle. Nie odzywaliśmy się do siebie, ciągnęliśmy dłonie po czarnej żelaznej poręczy, gapiąc się na rzekę, wężąc jak psy za ciepłym pienistym podmuchem, słuchając delikatnego plusku, dochodzącego z dołu. Po naszej prawej stronie wznosił się zimny biały gmach Royal Naval College, dostojny i wspinały w południowym skwarze.

Szliśmy dalej, mijając hałaśliwe puby, brukowane uliczki, a potem znów opuszczone wąskie ulice wschodniego Greenwich. Nagle zrobiło się zupełnie pusto, zniknęli turyści i tubylcy spędzający weekendy na zakupach. Znajdowaliśmy się na niewielkim osiedlu domów z czarnej cegły, tonących w ponurym cieniu gigantycznych rozmiarów elektrowni - skazanych na wieczne zapomnienie. Bary na rogu ulic, otoczone aurą pijackich awantur, stanowiły tu jedyną oznakę życia - przez szparę w drzwiach jednego z nich mignęli nam siedzący w mroku samotni starcy z petami w dłoniach i wzrokiem utkwionym w kufel piwa.

Znowu wyszliśmy nad rzekę, kierując się w stronę zarośniętych, płonących w słońcu ugorów, rozciągających się pośród hal magazynowych. Usiadłszy na kupie złomu w opuszczonym porcie, zapaliliśmy fajki, które podprowadziłam siostrze. Powietrze było przesycone zapachami rzeki i zamglone z gorąca. Odległy szcęk żelastwa dolatujący ze złomowiska mieszał się z wybuchami śmiechu docierającymi z pobliskiego knajpianego ogródka, a u naszych stóp Tamiza chlupotała jak morze. Zapach melasy z pobliskiej fabryki karmy dla zwierząt rozchodził się w powietrzu i wsiąkał w światło i w dźwięki jak płyn, słońce paliło nasze głowy i dłonie. Patrzyłam na rwące prądy i zakola rzeki i myślałam, że gdzieś musi być miejsce, gdzie Tamiza wpada do morza, gdzieś daleko, gdzie nigdy nie byłam.

- Wiesz o tym - powiedział ni stąd, ni zowąd Kyle - że gdyby dwoje ludzi trzymało się za ręce przez wiele lat, nigdy nie puszczając (nie musieliby jeść, chodzić do szkoły i tak dalej, tylko trzymaliby się przez cały czas za ręce) - ich skóra w końcu by się zrosła i połączyliby się na zawsze?

Denis spojrział na niego z niemym zachwytem, a po chwili zapytał:

- A co by zrobili, gdyby nie byli w tej samej klasie?

Siedem lat minęło od tamtego lata. Teraz, kiedy patrzę z okna swojego pokoiku na spokojne ulice Clifton i odległe wzgórza i łąki, wciąż widzę przed sobą brzegi Tamizy. Tego dnia zaczęło się to wszystko, wszystko pod tytułem „ja, Denis i Kyle”. I wbrew temu, co nastąpiło potem, wciąż uśmiecham się na myśl o naszej trójce. Prawda wygląda tak, że tych kilka pierwszych tygodni, które spędziliśmy razem, to był najlepszy czas mojego życia. Wygląda pan na zdziwionego, panie doktorze. Niech pan nic nie mówi. Proszę słuchać dalej.

Tego dnia nie zamieniliśmy z Kyle'em wielu słów. Te kilka razy, kiedy odezwałam się do niego, było jak rzucanie kamienia do głębokiej studni. Patrzył na mnie nieobecny, aż to, co powiedziałam, w końcu osiągnęło dno, aż było niemal słychać dalekie „chlup” - po czym mrugał oczami i albo odpowiadał, albo nie. Większość czasu siedziałam milcząco, paląc szlugi, słuchając nieskładnych opowieści Denisa albo wrzucając do wody patyki. Nie mogłam się jednak oprzeć ciągłemu spoglądaniu na twarz Kyle'a - czujną, myślącą twarz o oczach przyczajonego kota. Oczach o idealnie szarej barwie - jak kamień, jak rzeka. Jego twarz - rozjaśniana z rzadka półuśmiechem - który pojawiał się niespodziewanie jak wiązka światła w ciemnym pokoju, wprawiała w stan osłupienia.

Miałam wrażenie, że nie jest zachwycony moją obecnością i, choć zdążył przywyknąć do głupich gadek i pytań Denisa, to mnie zaledwie toleruje.

- Idziemy szukać jaskiń? - spytał Denis, kiedy siedzieliśmy przez chwilę beczynn timer. Sposób, w jaki Kyle spojrział na niego w odpowiedzi, mówił wszystko. Nie byłam osobą godną zaufania.

Patrzyliśmy na łódki - mijające nas w oszalałym pędzie jachty japiszonów, przepływające z wolna ekipy wioślarzy, a raz nawet łódź policyjną, która pruć szarą taflę rzeki, powodując poruszenie wśród łabędzi i rozrzucając na dwie strony kawałki drewna i dryfujące błogo plastikowe butelki. Po naszej prawej stronie majaczył różowo - niebieski skład żelastwa na tle klekoczących pomarańczowych dźwigów. Kiedy słońce zaczęło zachodzić, powlekliśmy się z wolna z powrotem brzegiem rzeki, bocznymi ulicami Greenwich, nie odzywając się do siebie.

Kyle zauważył ich pierwszy.

Szłam zasłuchana tępo w miarowy rytm swoich kroków, zahipnotyzowana widokiem swoich stóp w klapkach (raz - dwa, prawa - lewa,

klap - klap - klap - klap) i prawie weszłam na Kyle'a, nie zauważywszy, jak nagle się zatrzymał. Podniosłam wzrok, kiedy usłyszałam kwik przerażonego Denisa. Kiedy podążyłam za wzrokiem Kyle'a, przeszła mi przez głowę tylko jedna myśl: „Rozniosą nas na miazgę”, i poczułam, jak krew uderza mi do głowy.

Jakieś niecałe sto metrów od nas znajdowali się Mike, Lee i Marco w towarzystwie czterech innych koleś. Stali pod sklepem w końcu ulicy - kopali puszki albo opierali się o stojące samochody, a wszystkich otaczała aura nudy i papierosowego dymu. Kyle bez słowa chwycił za ramię Denisa i zaczęliśmy spieszyć tam, skąd przyszedliśmy, ale byliśmy zbyt blisko, żeby nas nie zauważyli. Biegając, usłyszeliśmy, jak Mike drze się w ekstazie do swych kumpli.

Kucnęliśmy za niskim murkiem znajdującym się na tyłach portu. Usłyszeliśmy uderzenia o asfalt siedmiu par nitek, które ucichły tuż obok miejsca naszej kryjówki. Mijające sekundy zdawały się trwać całe lata. Spojrzałam w wytrzeszczone oczy kucającego obok mnie, trzęsącego się ze strachu Denisa. Przyszedł mi na myśl obraz zbitego psa, żałośnie skulonego w oczekiwaniu na rozkaz swego pana.

- Chodźmy w NASZE miejsce, Kyle - powiedział przerażony. - Do naszej kryjówki.

Ale Kyle podniósł dłoń na znak, by się uciszył. Tamci kłócili się, dokąd mogliśmy uciec. Kyle wskazał dziurę w ogrodzeniu jakieś pięćdziesiąt metrów dalej.

- Te schody prowadzą nad rzekę - jego szept był ledwie słyszalny. - Jeżeli jest odpływ, będziemy mogli przedrzeć się skrajem brzegu z powrotem do Greenwich.

Denis i ja przytaknęliśmy. Usłyszeliśmy, jak cała banda oddała się, by przeszukać przeciwległy parking. Skuleni rzuciliśmy się w kierunku schodów. Kiedy udało nam się je dopaść, dobiegł nas równocześnie krzyk Mike'a. Widzieli nas.

Niemal zjechaliśmy po tych całych schodkach, ślizgając się po zapyziałym mchu. Modliłam się: „Boże, błagam, Boże, błagam, Boże, błagam, żeby był odpływ”. Na dole musieliśmy brnąć przez ponadpółmetrowej głębokości mulisty zielony szlam, cuchnące fale oblewały nam stopy. Nie widziałam ani nie słyszałam wokół siebie prawie nic, tylko ślepo biegłam za Kyle'em. W głowie tętniło mi z wysiłku, każdy ruch odczuwałam tak, jakby ktoś z całej siły ścisnął mnie za gardło. Spojrzałam za siebie. Denis z wyciągniętą do przodu brodą, wytrzeszczonymi oczami i

zagryzionymi wargami telepał się jak oszalały słoń kilka metrów za mną. Mike z kumplami byli już prawie na samym dole.

W końcu zobaczyliśmy kolejny rząd schodów prowadzących na górę. Ostatnim wysiłkiem dopadłam do Kyle'a i wyguzdraliśmy się razem po wilgotnych zielonych kamieniach. Obejrzeliśmy się za Denisem.

- Denis, do kurwy nędzy, szybciej - wrzasnął Kyle. - Szybciej!!!

Szlochając i dysząc, z oczami wbitymi tępo w Kyle'a, Denis wreszcie wyczołgał się na górę.

Jak tylko znaleźliśmy się na chodniku, wparowaliśmy w tłum turystów i na najbliższym rogu skręciliśmy w stronę „Cutty Sarka”. Znaleźliśmy się w końcu na jakieś dwadzieścia sekund poza zasięgiem wzroku Mike'a. Nie mieliśmy zupełnie gdzie się schować na tej otwartej przestrzeni. Kyle spojrzał w stronę wejścia do tunelu dla pieszych. Z trudem łapiąc oddech, chwycił Denisa za ramię i wydyszał z wysiłkiem:

- Słuchaj. Den. Musimy. Iść. Tędy.

Spanikowany Denis zaczął oglądać się z przerażeniem to na wejście do tunelu, to na róg, zza którego za sekundę miał wynurzyć się Mike i cała reszta.

- Nie mogę, Kyle. Po prostu nie mogę. Nie chcę.

- Denis, posłuchaj. Rozniosą nas. Chodź, kurwa, chodź!!!

Po czym pobiegł w stronę ceglasto - szklanego sklepienia tunelu. Niespełna sekundę później Denis i ja pobiegliśmy za nim.

Żeby dostać się do tunelu, trzeba pokonać tysiące krętych schodów albo zjechać tysiącletnią skrzypiącą windą. Dopadliśmy windy tuż przed zatrzaśnięciem metalowych drzwi. Kiedy byliśmy wreszcie w środku wyłożonej drewnem kabiny, którą opuszczaliśmy się powoli pod poziom Tamizy, rzuciliśmy się, dysząc ciężko, na ławkę, z przerażeniem w oczach. Człowiek w niebieskim kombinezonie i para niemieckich turystów spoglądali na nas z nieukrywanym niepokojem.

Nie wiem, czy był pan kiedyś w tunelu pod Greenwich, ale to wyjątkowo upiorne miejsce. Czujesz się jak w lodowatym oślizgłym wnętrzu ogromnego węża. Kiedy wysiadasz z windy, temperatura jest o dwadzieścia stopni niższa, a przed oczami wylania się bezkresny tunel. Woda z Tamizy przecieka przez sufit, tworząc połyskujące w żółtym świetle kałuże. Tunel powoli opada i po chwili rozpoczynasz pośpieszną wędrówkę, która wydaje się nie mieć końca. Ale najbardziej przerażające ze wszystkiego jest echo - każdy hałas wraca zwielokrotniony tysiąc razy. Biegliśmy w głąb tunelu, nasze kroki odbijały się

o dach, wydając pogłos rodem z koszmaru. W końcu zwolniliśmy. Zgubiliśmy ich. Nie było szans, żeby mogli nas tu złapać. Zaśmiałam się i klasnęłam w dłonie, co zabrzmiało w tym miejscu jak grzmot. Nawet Kyle wydał krótki, przenikliwy okrzyk radości. Denis szedł wciąż ze spuszczoną głową i zaciśniętymi z przerażenia dłońmi aż do chwili, kiedy wyszliśmy bezpiecznie na zewnątrz.

Ale najważniejsze było to, że uciekliśmy Mike'owi i że dokonaliśmy tego wspólnie. Coś mówiło mi, że to wiele znaczy. Coś zaczynało się dziać, a ja w końcu brałam w tym czymś udział.

Nie ma innej drogi z Isle of Dogs do Greenwich niż tamten tunel. Droga do domu trwała wieki. Przemierzając tę portową dzielnicę, tę ziemię niczyją samotnie stojących budynków i bezładnie rozrzuconych domów, zaczęliśmy dostrzegać tu i ówdzie dyskretne ślady odnowy - znak chwały, która miała nadejść. Samotna koparka, dźwig, wisząca w powietrzu atmosfera niespiesznych zmian i nadziei. Jak w przypadku zniszczonej życiem kury domowej, której nagle ktoś obiecuje gwiazdkę z nieba, ale jest zbyt zmaltretowana, żeby w to uwierzyć. Niewiele, ale zawsze coś. Miejsce, które pragnie wierzyć, że stoi u wrót czegoś wielkiego. Tak samo jak my.

W końcu dotarliśmy do autobusu, który jechał w stronę naszych domów. Ja i Denis wymienialiśmy przez całą drogę uwagi na temat tego, co nas spotkało. Śmialiśmy się na wspomnienie naszego sprytu i szczęścia. Paliliśmy na spółkę jednego papierosa na tyłach górnego piętra pojazdu, braliśmy po machu i przekazywaliśmy sobie dalej, trzymając nogi rozwalone na przeciwległym siedzeniu. Nigdy nie zapomnę tego powrotu, tego jak bardzo czułam się szczęśliwa, że jestem z nimi.

W pewnym momencie Denis spojrzał z podziwem na Kyle'a.

- Nie mogę uwierzyć, że powiedziałaś Mike'owi, że jego stary ciągnie druta - powiedział stłumionym, pełnym respektu głosem.

Kyle wzruszył ramionami i spojrzał przez okno, ale widziałam, jak się uśmiechnął.

Kiedy Denis wysiadał kilka przystanków przed nami, pomachał nam ze schodków i powiedział: - To co, widzimy się wkrótce, nie? - na co ja i Kyle przytaknęliśmy i odpowiedzieliśmy: - Jasne.

Ale kiedy jechaliśmy dalej Myre Street, zapadła między nami cisza. Twarz Kyle'a stała się ponownie napięta, głowę zwiesił w dół, prawie na piersi, i kiedy dotarliśmy pod mój dom, ledwie zauważył, że powiedziałam mu „cześć”. Patrzyłam ze swoich schodów, jak podchodzi do drzwi i

widziałam, jak jego wystające łopatki napinają się pod cienką bluzą. Kiedy stanął przed domem, w drzwiach pojawił się siwowłosy mężczyzna i, powiedziawszy coś, wpuścił go do środka. Ciężkie drzwi zamknęły się z trzaskiem, a światło, które padło na chwilę z korytarza, błyskawicznie znikło.

4.

Szpital New Cross. 4 września 1986. Zapis rozmowy między doktorem C. Bartonem a Anitą Naidu. Kopia policji

Zamknął mnie tam razem z nimi, zarygłował i zatarasował drzwi, nie mogłam się wydostać. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobił. Z jakiego powodu. Dlaczego trzymał mnie tam z tamtymi dwoma, którzy już nie żyli? Mówią, że był stuknięty, ci wszyscy gliniarze tak twierdzą, ale był moim najlepszym przyjacielem. Siedziałam tam godzinami. Objęłam dłońmi kolana i zacisnęłam powieki, bo nie chciałam widzieć, jak strasznie jest ciemno, i nie chciałam niczego dotykać ani żeby coś dotykało mnie. I nie wiedziałam, co jest gorsze - przez te wszystkie godziny, kiedy tam tkwiłam, nie byłam w stanie sobie wyobrazić, co może być gorsze: to, że tam jestem, czy jego powrót.

Następnego dnia wstałam przed ósmą, ubrałam się i zaczęłam gapić przez okno, jak pies czekający na spacer. Czy Denis powiedział „Widzimy się jutro”, kiedy wysiadał z autobusu zeszłego wieczoru, czy tylko „Widzimy się wkrótce?”. Zwracał się do nas obojga czy tylko do Kyle’a? Co, jeżeli wczorajszy dzień był jednorazową przygodą? W końcu porzuciłam mój punkt obserwacyjny za zasłoną okna w salonie i powlokłam się, wściekła, na górę.

Moje siostry leżały w łóżku, wspominając poprzedni wieczór. Esha, z papierosem w jednej ręce i puszką coli w drugiej, puszczała w sufit kółka z dymu, podczas gdy Bela malowała sobie paznokcie u nóg na różowo. Obydwie miały rozmazany na policzkach wczorajszy tusz do rzęs i takie same dwa Troskliwe Misie (Troskliwe Misie - (ang.) The Care Bears, amerykańsko - kanadyjsko - francuski serial animowany opowiadający o przygodach grupy misiów, które uczą ludzi, jak troszczyć się, dbać o drugiego człowieka.) leżały na ich poduszkach. Pograżone były w rozmowie na amen. Esha nawijała:

- Wtedy on podszedł do mnie i spytał: „Czy twoi starzy mają równo pod sufitem?”.

Bela podniosła głowę, przerywając na chwilę swoje zajęcie.

- Palant! Po cholere mu to wiedzieć?

- Tak właśnie mu odpowiedziałam - odrzekła Esha.

- Wtedy powiedział: „Bo, kochanie, masz w sobie coś naprawdę specjalnego!”.

Bela podniosła głowę na chwilę, żeby pomyśleć, pędzelek od lakieru do paznokci zastygł w powietrzu.

- Jasny gwint! I co mu powiedziałaś? Powiedziałam mu tak:

- Wielkie dzięki! W takim razie mam zamiar napić się martini i lemoniady.

Zachichotały obie wdzięcznie.

- Wtedy - Esha przeszła mnie wzrokiem i ściszyła głos - on na to: „Chcesz wyjść ze mną zobaczyć mój motor?”.

- No, nie!

- Tak! To ja na to: „Nie ma takiej cholernej możliwości. Jesteś za stary - mógłbyś być moim ojcem!”.

- Tak jakby - zgodziła się Bela.

Esha zagapiła się w zamyśleniu na swego papierosa.

- Ale wyszłam w końcu, jakby. Później.

- Taaa - powiedziała Bela, oglądając swe paznokcie u nóg.

- Kurde, naprawdę kupił mi sześć martini i lemoniad! - Esha na to.

- To miło z jego strony, nie? - skomentowała Bela.

- Boże, Nit! - ni stąd, ni zowąd wrzasnęła Esha. - Czy możesz łaskawie to stąd zabrać?

- Niby co? - spytałam, wystukując palcami o szybę okna dżingiel z audycji „Mecz dnia”.

- To!!! - rzuciła poduszką w moją głowę. Zabrałam się z powrotem na dół.

Perspektywa siedmiu długich tygodni, wypełnionych w całości beznadziejnymi budżetami, skłoniła mnie w końcu do wyjścia - najpierw na schody przed domem, potem na krawężnik przed kamienicą numer 33, gdzie usiadłam i gapiłam się na drogę, czekając, że może zobaczę Denisa.

Dwie godziny później tkwiłam tam nadal. Wzięłam ze sobą Pac Mana (Pac Man - nazwa gry.) mojego brata i w końcu tak mnie pochłonęło pobijanie rekordu, że nie usłyszałam otwierających się za sobą drzwi. Kiedy uniosłam głowę, zobaczyłam wpatzonego we mnie starszego mężczyznę - tego samego, którego widziałam poprzedniego dnia. Kyle włókł się tuż za nim i najwyraźniej nie był podekscytowany moim widokiem - tkwiącej tam, na tym krawężniku, jak kiep w rynsztoku.

- Cześć - powiedziałam.

Kyle skinął głową pośpiesznie. Starszy mężczyzna spojrzał na mnie zdziwiony.

- Witaj, skarbie - powiedział. - Czy czekałaś właśnie na Kyle'a?

Miał uprzejmy głos, z lekkim szkockim akcentem albo coś takiego. Był ubrany w elegancką tweedową marynarkę, jakby wybierał się w jakieś szczególne miejsce.

Wzruszyłam ramionami i spojrzałam na Kyle'a.

- Wybieracie się gdzieś dzisiaj z Denisem? Kyle ledwie na mnie spojrzał.

- Nie - powiedział.

- Aha - odrzekłam. - OK.

Spojrzałam na dziadka Kyle'a, który uśmiechał się teraz, jakby było w tym coś śmiesznego. Ale miał miły wyraz twarzy. Popatrzyłam na jego białe krzaczaste brwi. W końcu, by przerwać ciszę, powiedziałam:

- Mam na imię Anita.

Zobaczyłam, jak Kyle przewrócił oczami. Starszy człowiek wyciągnął do mnie rękę.

- Miło cię poznać. Jestem Patryk.

- Mieszkam naprzeciwko - wymruczałam, wskazując głową przeciwną stronę ulicy.

Starszy pan spojrzał uprzejmie w stronę naszego obskurnego domku, postawionego, by zasłonić ślad po bombie, która tu kiedyś wybuchła. Puszki po piwie i opakowania po smażonym kurczaku z Kentucky wysypywały się ze śmietnika na nasze schody. Poczerwieniałam ze wstydu, zdając sobie sprawę, jak obleśnie to wygląda w porównaniu z ich domem i innymi wielkimi, staroświeckimi kamienicami stojącymi przy naszej ulicy.

- Rozumiem - powiedział. - To co, czekałaś tu na mojego wnuka?

Popatrzyłam na Kyle'a i rzuciłam żaloszny tekst:

- Tak się zastanawiałam, co będziecie dzisiaj robić z Denisem.

Kyle spojrzał w moją stronę. Wyraz jego oczu sprawił, że uczucie nadziei, które pulsowało mi przez całe rano w okolicy klatki piersiowej, teraz spłynęło mi ciężko na stopy i wysączyło się koniuszkami palców.

- Jest niedziela - oznajmił. - Denis na pewno jest teraz w kościele.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Denis chodził do kościoła? Była to dla mnie zupełna nowość.

- To do zobaczenia - rzekł starszy pan i, czyniąc dyskretny ukłon jak džentelmeni na starych filmach, położył dłoń na ramieniu Kyle'a i odeszli razem ulicą.

„Super! - pomyślałam. - Zajekurwastycznie”.

- Gównu - powiedziałam do siebie.

Tej nocy leżałam w łóżku, nie śpiąc, słuchając kłótni sąsiadów za ścianą. Jednostajne crescendo pijackiego bełkotu tłustego brodatego gościa spod trzydziestki czwórki i biadolenie jego żylastej żony o złośliwych oczkach podjudzały się nawzajem, ich głosy ścierały się, pieniały i wsiąkały w naszą cienką ścianę, wysączać się przez tapetę jak woda przez nieuszczelną rurę. W końcu dobiegł nagły wrzask, łomot i nastąpiła cisza. Wstałam zapalić.

Wychyłona z okna sypialni patrzyłam na laski i pijaków, przemierzających chwiejnym krokiem Myre Street.

Około wpół do pierwszej ujrzałam Kyle'a, jak wyłazi ze swojej bramy i pryska w ciemność nocy.

Dokąd idziesz? - spytałam cicho. - Dokąd chodzisz po nocach?

Pałałam papierosa i myślałam o Katie Kite. Wyobrażałam sobie małą blondyneczkę o wielkich, szarych oczach Kyle'a i zastanawiałam się, kto ją porwał i dokąd. Gapiłam się na spokojny, ciemny dom naprzeciwko i próbowałam sobie wyobrazić, co wydarzyło się tam przed rokiem. Zastanawiałam się, czy żyje czy nie, i czy ten ktoś, kto włamuje się do domów i porywa dzieci, powróci jeszcze kiedyś wkrótce na Myre Street. W końcu wyrzuciłam niedopałek w ciemność, położyłam się do łóżka i starałam się nie myśleć o niczym.

Minęło kilka pustych, nudnych dni. Nie było nigdzie śladu Kyle'a ani Denisa, a moja rodzina doprowadzała mnie do szału. Kiedy Push był w domu, chodził tak znudzony jak ja i gdy tylko znaleźliśmy się razem w jednym pokoju, po paru minutach skakaliśmy sobie do gardeł. Tata albo logował się przed telewizorem ze swoim browcem, albo wysłuchiwał w kuchni pierdół opowiadanych przez Janice.

Któregoś dnia, gdy Pusha nie było w domu, weszłam do jego sypialni w poszukiwaniu Pac Mana. Esha i Bela wciąż leżały w łóżku w sąsiednim pokoju, oglądając czarno - białą telewizję. Lubiłam pokój Pusha, jego zimne niebieskie ściany i niezakłócony spokój były dla mnie błogosławieństwem po dusznym, śmierdzącym lakierem do włosów chaosie naszej sypialni. Ten pokój nie był nasłoneczniony jak nasz, leżałam na plecach na jego łóżku w chłodzie, bezwiednie wsłuchując się w telewizor za ścianą i wybuchy

śmiechu Janice na dole (była jedyną osobą, która wciąż uważała tatę za zabawnego). Cieszyłam się na myśl, że Push byłby wściekły, gdyby wiedział, że tu jestem. Przewróciłam się na bok twarzą do okna i wyczułam pod kołdrą coś twardego.

Widziałam oczywiście wcześniej pornograficzne czasopisma - na półkach w sklepie, ale to był pierwszy raz, kiedy zajrzałam do środka jednego z nich. Choć nie było nikogo w pokoju prócz mnie, czułam, że policzki płoną mi ze wstydu, gdy przerzucałam kartki. Gapiłam się na trzy kobiety na rozkładówce - z nienormalnie wielkimi piersiami i rozłożonymi nogami, o wyrazie twarzy wskazującym na stan pomiędzy zaćpaniem a zdziwieniem.

- Co ty sobie, do kurwy nędzy, myślisz! Skoczyłam na równe nogi, gazeta spadła na ziemię, otwierając się na zdjęciu dziewczyny, która ssła swe własne sutki, masując palcami podbrzusze. Push stał w drzwiach, jego zielone oczy były zimne i wściekłe.

- Nic - powiedziałam. - Ja...

Push popatrzył na mnie i na magazyn, i wparował do pokoju.

- Ty mała dziwko! - krzyknął. - Ty sprośna, mała dziwko! Napatrzyłaś się, co? - był czerwony ze wstydu.

- Szukałam Pac Mana - powiedziałam łamiącym się głosem. Nie mogłam spojrzeć mu w twarz i ledwo stałam na nogach, jak gdyby to moje nagie zdjęcia znajdowały się w gazecie.

Teraz rozumiem, jak musiał czuć się wtedy Push. Niełatwo było zadziałać coś w tych sprawach z jego wyglądem. Wszystkie te blond panienki o wielkich cyckach z Lewisham High, które wybrałyby raczej śmierć niż pokazanie się na randce z kolorowym, plułyby sobie pewnie teraz nieźle w brodę, gdyby mogły zobaczyć, na jakiego wyrósł faceta. Gdyby tylko potrafiły ujrzeć wtedy to kielkujące piękno! Ale wtedy, w tamtym pokoju nie myślałam oczywiście w ten sposób. Byłam jeszcze zupełnie niewinna - te zdjęcia były jak policzek wymierzony w twarz, jak brutalne przebudzenie.

- Zostaw mnie - powiedziałam. - Nic nie zrobiłam.

- Trzymaj się, kurwa, z daleka od mojego pokoju! - krzyknął. - Popatrz na siebie. Ubierasz się jak facet i gapisz na babskie cycki! Jesteś cholerną lesbą czy co?

Nagle poczułam dzwonienie i ból w lewym uchu, w które wymierzył mi cios. Patrzyliśmy sobie w oczy przez parę sekund, po czym wypadłam z pokoju, rzuciłam się na dół i wybiegając na ulicę, zderzyłam się z Denisem, który właśnie zamierzał nacisnąć nasz dzwonek.

Denis truchtał koło mnie, kiedy ja powoli dochodziłam do siebie. Kątem oka widziałam jego powyciągany podkoszulek. Zatrzymaliśmy się przy moście kolejowym i patrzyliśmy ponad murem na tory. Most był cały pokryty napisami - rozpoznałam jedno z haseł. Widziałam to samo słowo malowane w różnych kolorach i kształtach na wszystkich ścianach, latarniach i mostach południowo - wschodniego Londynu. ENROL - głosiło hasło i ten, kto był jego autorem, musiał być bardzo zapracowany. Stojąc tam w towarzystwie Denisa, złapałam się na myśleniu o tajemniczym „Enrolu” - skąd wzięła się potrzeba reklamowania siebie w taki sposób - wielkimi kulfoniastymi literami - gdziekolwiek się nie ruszył. „Może chciał po prostu udowodnić swoją obecność - pomyślałam. - Pokazać światu, że istnieje”. Kiedy tak gapiłam się na jego imię powtórzone pięćdziesiąt razy na murze, wydawało mi się, że to dziwna potrzeba. A jednak myślę teraz o nim czasem - co się z nim stało, gdzie jest. Jego plan działa - nie zapominałam o nim. Czy nie o to chodziło?

- Widziałas Kyle'a? - spytał nagle Denis.

Spojrzałam na niego i poczułam się nieco lepiej. Dobrze było go widzieć, nawet mimo tego, że cuchnął tego dnia jak skunks.

- Nie - powiedziałam.

Wyciągnął z kieszeni marsa i zaczął powoli przeżuwać.

- Ja też nie.

Poszliśmy dalej, w stronę Deptford.

- Jak myślisz, gdzie jest? - spytałam.

- Nie wiem - odrzekł. - Mówił coś o Point Hill.

Nie miałam pojęcia, gdzie jest Point Hill, i nie zależało mi specjalnie, czy znajdziemy Kyle'a czy nie. Fajnie było wyjść z domu i iść przed siebie, mniejsza o to, gdzie. Denis opowiadał mi długą i skomplikowaną historię o swoim wujku Richardzie, który mieszkał w Broadstairs i kiedyś spotkał Supertatę (Big Daddy - komedia z Adamem Sandlerem w roli nieudacznika, który chcąc zaimponować swojej dziewczynie, adoptuje kilkuletniego chłopca.). Wsiadliśmy do autobusu jadącego do Blackheath. Stamtąd poszliśmy przez błonia w kierunku Greenwich Park, ale zamiast pójść w stronę oślich torów i wozów z lodami, Denis zaprowadził mnie na mały boczny skwerek - miejsce na szczycie Blackheath Hill, skąd rozciąga się widok na cały Londyn. Wskazał na postać siedzącą na ławce. To był Kyle.

Kiedy podeszliśmy, nie sprawiał wrażenia szczególnie zdziwionego i ledwie zaszczycił nas spojrzeniem. Wyglądał na zmęczonego, jego oczy były

matowe i zapadnięte w chudej twarzy. Siedzieliśmy przez chwilę w ciszy, słuchając, jak Denis nabiera ponownie powietrza, i patrzyliśmy na miasto pod nami. Rzeka połyskiwała w dole na zielono i srebrno, pośród magła, szamotaniny i bezgłośnego nieładu ulic, parków, dźwigów i budynków, a biliony okien mrugały do nas porozumiewawczo. Denis skoczył kupić lody na patyku i jedliśmy je, leżąc na brzuchu na szorstkiej żółtej trawie.

- Pod wzgórzem jest jaskinia - odezwał się w pewnym momencie Kyle.

- Wiem - powiedział Denis, ssąc duży palec lodu w kształcie stopy.

- Nie mówiłem do ciebie - rzekł Kyle. Radość przeszła mnie na wylot.

- Nazywa się Pieczara Cade'a - pieczołowicie miażdżył mrówki patyczkiem od lodu.

Słuchałam opowieści Kyle'a. Jego twarz stała się w jednej chwili tak żywa jak twarz dziecka. Opowiadał o tunelach i jaskiniach biegnących pod Greenwich. Kopalnie kredy - największa z nich znajduje się dokładnie pod naszymi brzuchami. Teraz od dawna zamknięta, mówił Kyle, ale dwieście lat temu przemytnicy właśnie tam chowali swoje łupy.

Nikt nie wie jednak, gdzie jest wejście. Przeszukałem wzgórze setki razy, ale wszędzie tylko trawa i nic więcej.

Jedliśmy przez chwilę w milczeniu lody. Po chwili Kyle odezwał się znowu:

- Są jeszcze inne, bliżej centrum Greenwich - groty, z których wydobywano piach, i ukryte bunkry z czasów wojny. Niektórzy wiedzą o tunelach przemytników nad rzeką, kopalni kredy pod Blackheath, rzecz jasna, oraz kanałach w parku.

Trudno mi było uwierzyć, że patrzę na tego samego Kyle'a - jego bezbarwne, zazwyczaj matowe oczy lśniły teraz z całą mocą.

- Przeczytałem o nich wszystko - powiedział. - Ale są w tej chwili zamknięte. Obniżył głos i spojrzał na mnie ostrożnie. Wstrzymałam oddech.

- Ale prawdziwy skarb to piaskowe groty i cała reszta, która na pewno tam jest. Miejsca, których nikt do tej pory nie odkrył.

- I zrobi to Kyle! - powiedział z dumą Denis. - I zamieszka w jednej z nich jak Seany Bean!

- Seany jaki? - spytałam.

- Gość ze Szkocji, który żył w jaskini z całą swoją rodziną, zakładał pułapki na ludzi, rabował ich, wciągał do jaskini i zjadał!

- A! - powiedziałam.

- Zamknij się, Denis - uciał Kyle.

W końcu wstaliśmy i poszliśmy do Greenwich. Dzień był upalny i pełen światła. Gdy schodziliśmy z góry, powiedziałam do Kyle'a:

- Twój dziadek wygląda na fajnego gościa. Kyle spojrzał na mnie i szybko odwrócił wzrok.

- Mieszka z wami? - pytałam dalej. Kyle pokręcił głową.

- Przyjeżdża na weekendy i na wakacje, żeby się mną zajmować.

- Aha - powiedziałam. - To miło.

Przed nami niespodziewanie zawiął lekki wiaterek i zdmuchnął z kwitnącego drzewa deszcz różowo - białych płatków. Denis zagapił się jak w transie na to zjawisko.

- Śnieg! - krzyknął.

Podbiegi i stanął pod drzewem, unosząc twarz ku spadającym kwiatom. Potem zbierał z ziemi płatki, rzucał je w powietrze i we mnie, a ja śmiałam się i odrzucałam je w jego stronę. Kyle stał przez chwilę, patrząc na nasze wygłupy, po czym wzruszył ramionami i poszedł dalej.

Szliśmy dalej w kierunku wschodniego Greenwich, zanurzając się od czasu do czasu w ciepłe brukowane aleje, wydzielające zapach gorącego kurzu i drożdży, dające chwilowe wytchnienie od palącego słońca. Przecieliśmy niegościnnie, puste uliczki, potem wlekliśmy się przez puste ugory, a rzeka wijąca się gdzieś w dole wciąż nas wabiła, kusiła, łąsiła się do nas jak kot ocierający się o kostki.

Podeszliśmy nad brzeg i oparci o balustradę obserwowaliśmy ludzi z metalowymi detektorami odkurzającymi plażę poniżej.

- Patrzcie - powiedziałam, zauważywszy rodzinę kaczek. Kyle podniósł z ziemi patyk i cisnął go w ich stronę.

- Nie! - powiedziałam odruchowo, kiedy stado rozpierzchało się już, przestraszone, w różne strony.

- Jedna została - rzekł Denis, wpatrując się w jakiś punkt.

Na plaży jedna stara kaczka usiłowała się podnieść. Za każdym razem, gdy udało jej się wstać, zaraz przewracała się ponownie. Patrzyliśmy przez chwilę w milczeniu.

- Chyba umiera - powiedział w końcu Denis.

Kyle zaczął grzebać w stojącym za nami klombie w poszukiwaniu kamieni i kawałków żwiru. Patrzyliśmy, jak celuje jednym za drugim w kaczę

głowę. Ptak opuścił ciężko długą szyję, jego łeb uderzył o ziemię. Najwidoczniej miał zamiar się poddać.

- Zostaw! - powiedziałam jeszcze raz.

Ale Kyle najwyraźniej nie miał zamiaru mnie słuchać. Przeskoczył przez poręcz na plażę. Denis i ja spojrzeliśmy na siebie, zanim poszliśmy jego śladem. Kyle przykucnął nad kaczką z wielkim kamieniem w dłoni. Wciąż żyła, jej oczy patrzyły na Kyle'a, dziób otwierał się, ale nie wydobywał się z niego żaden dźwięk. Bez entuzjazmu zatrzepotała skrzydłami. Kyle walnął ptaka kamieniem w głowę, nim ja lub Denis zdążyliśmy powiedzieć choć słowo, po czym grzmocił go w amoku raz za razem, aż ten zamienił się w krwawą miazgę i cząstki mózgu, dzioba i piór przykleiły się do spodu kamienia. Denis odszedł i siedział na schodach do czasu, aż się to skończyło. A Kyle wciąż walił kamieniem w ptaka, jak gdyby to był jedynie drugi kamień, kurewsko długo po tym, jak zwierzę było absolutnie, na amen, martwe.

W końcu wstał, patrząc ze zdziwieniem na wyraz niesmaku na mojej twarzy.

- Co? - spytał. Na brak odpowiedzi wzruszył ramionami i rzucił: - Oddałem mu tylko przysługę.

Bez słowa poszliśmy na przystanek, zostawiając unicestwione zwierzę. Kyle zachowywał się, jak gdyby nic się nie stało. Denis zjadł parę czipsów. A ja? Zapanowałam nad mdłościami, które wzbierały w moim żołądku.

Spędzaliśmy prawie każdy dzień tego lata nad rzeką. Uwielbialiśmy to. Nawet gdy zapuściliśmy się do parku czy na wrzosowisko, staraliśmy się mieć rzekę w zasięgu wzroku, tak jakbyśmy nie mogli znieść całkowitego z nią rozstania i wcześniej czy później zawsze kończyliśmy przy jej brzegu. I zawsze kiedy wracaliśmy, była to zupełnie inna rzeka niż ta, którą dopiero co opuściliśmy. Czasami woda kurczyła się, odsłaniając nagie szczątki wybrzeża. A niekiedy była tak wysoka, że lizła nasze stopy, gdy staliśmy na chodniku. Chwilami była brązowym, niesfornym z powodu gorąca, wielkim dyszącym psem. W inne dni spokojna i błyszcząca jak bladezielone szkło, cuchnęła niczym przeterminowana ryba na półce marketu w Lewisham. O zmierzchu połyskiwała różem i złotem, dotykana czule kałużami błękitnego światła, a pachniała drożdżami i czymś słodkim. W nocy pluskała i mlaskała o brzegi, czarna i wściekła w księżycowym blasku, roztaczając dokoła woń ścieków.

Kochaliśmy to. Kochaliśmy jej nastroje, zakręty i odory, które

wydzielała, uwielbialiśmy przeczesywać mulisty brzeg w poszukiwaniu wypłukanych rupieci, włóczyć się po bezpańskich terenach i portach otaczających wybrzeże. Kochaliśmy widok miniaturowych domków stojących wzdłuż pobliskich brukowanych uliczek, elektrowni i przybrzeżnych pomostów, łodzi i ubłoconych łabędzi, wyrzuconych na brzeg gałęzi, dźwigów i piętrzących się gór żelastwa, odbijających się w jej rozedrganym lustrze. Uwielbialiśmy to.

Któregoś wieczoru w powrotnej drodze do domu zatrzymaliśmy się nad Quaggy (Quaggy - rzeka w południowo - wschodnim Londynie.) zapalić fajkę. Staliśmy oparci o balustradę, gapiąc się na gnijący zielony szlam. Obok nas piętrzyła się sterta puszek po piwie. Kyle wskazał na sklepowy wózek do połowy zanurzony w bagnie.

- Zakład, że trafię pierwszy?

Podzieliliśmy puszki pomiędzy siebie i zaczęliśmy celować. Ja pierwsza trafiłam w kółko wózka, a Kyle spojrzał na mnie i obdarzył mnie jednym ze swoich rzadkich uśmiechów.

- Nieźle - powiedział, zaciskając usta i kiwając głową z uznaniem. - Całkiem nieźle.

Uczucie szczęścia przeppełniło mnie od stóp do głów. Spojrzałam na niego jak kretyńka, zbyt zachwycona, żeby chociaż spróbować wyglądać cool.

Wtedy się to stało. Nikt z nas ich nie zauważył. Mike, Marco, Lee i ten jeszcze jeden - Dean pojawili się nagle znikąd. To było tak, jakby ktoś niespodziewanie spuścił na nas czarną zasłonę. Marco i Lee chwycili mnie i Denisa, a Mike i Dean Kyle'a. W jednej sekundzie przetrzucili go przez balustradę i, trzymając za kostki u nóg, trzymali zwisającego głową w dół dwadzieścia metrów nad rzeką. Próbowałam się wyrwać, ale Marco chwycił mnie jeszcze silniej.

- Myślisz sobie, że jesteś zajebiście dowcipny, nie? - darł się do Kyle'a Mike. - Że jesteś szalenie zabawny. Teraz ci, kurwa, nie do śmiechu, co? Ostatni gość, który miał waty do mojej rodziny, skończył w szpitalu, zasrana cioto!

Byłam pewna, że chcą puścić Kyle'a na dół, i nie wiedziałam, co robić. Za każdym razem, gdy próbowałam się szarpać, Marco walił mnie po głowie i zwiększał uścisk. Wydawało mi się, że trwało to godzinami.

Ale nagle Lee wrzasnął:

- Stary Bill! - i aż rozplakałam się z ulgi, zobaczywszy zatrzymujący się koło nas wóz policyjny. Dwóch gliniarzy spojrzęło na nas przez szybę znudzonym wzrokiem, silnik warczał z irytacją. W jednej sekundzie Mike i Dean wciągnęli Kyle'a z powrotem przez poręcz. Rzucili się przez ulicę, znikając w bocznej alejce. Policjanci nawet nie zadali sobie trudu, żeby wysiąść z samochodu, rzucili tylko przelotnie okiem na zszokowanego, dyszącego ciężko na chodniku Kyle'a, po czym pojechali w swoją stronę.

Spojrzeliliśmy po sobie, zbyt oszołomieni, żeby wydukać słowo. Nagle Kyle ruszył pędem przed siebie, przebierając tyczkowatymi nogami z niesamowitą szybkością. Kiedy Denis i ja w końcu go dogoniliśmy, nawet nie spojrzeliśmy w naszą stronę.

- Jak jeszcze raz zobaczę tego pedała na oczy, zabiję go - powiedział głosem ściśniętym z wściekłości. Patrzył prosto przed siebie, z napięciem, zaciskając pięści. - Zajebię go. Wezmę siekiere i porąbię mu łeb na miazgę. Albo wezmę nóż i pokroję mu głowę. Będę stał na jego gardle, aż przestanie oddychać. Zrobię to, kurwa, żebyście wiedzieli!

Odwrócił się i popatrzył na mnie, jakbym zamierzała się kłócić. Nie byłam w stanie wykrztusić słowa, patrzyłam tylko na niego jak zahipnotyzowana.

Kilka dni później Kyle przyszedł po mnie i poszliśmy razem do Denisa. Odkryłam z ulgą, że miejsce, w którym Denis mieszka, jest tak samo główniane jak moje. Nacisnęliśmy dzwonek w żółtych, obłazłych z farby drzwiach, który zagrał melodyjkę marszu Naprzód, żołnierze chrześcijanie!. Drzwi otwarły się natychmiast, stanęła w nich pani mojego wzrostu, z hełmem włosów niczym figurka z Playmobila (Playmobil - firma produkująca zabawki.), jak gdyby czekała tam przez cały czas w gotowości, na wypadek gdyby ktoś zadzwonił. To była Gloria, matka Denisa. Jej skóra była czarna i lśniąca jak u chrząszcza. Wszystko w niej było maleńkie: dłonie, oczy, kaptur na nogach. Spojrzała na mnie podejrzliwie, marszcząc nos jak rodzynek. Nie mogłam uwierzyć, że między nią a Denisem istnieje pokrewieństwo. Był dwa razy większy od niej.

- Tak, skarbie?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, dostrzegła stojącego za mną Kyle'a.

- A, to ty - powiedziała chmurnym głosem, nie kryjąc rozczarowania.

- Czy jest Denis? - spytałam.

Zrobiła krok do tyłu, wpuszczając nas do środka.

- No, chodźcie.

Cmoknęła cicho z niezadowoleniem, kiedy weszliśmy za nią do ponurego przedpokoju.

- Den! - krzyknęła, stanąwszy przy schodach, zadziwiająco mocnym głosem. - Goście!

Skinieniem głowy zaprosiła nas do kuchni, usiadła przy stole i utkwiała kamienny wzrok w Kyle'u, który odwzajemnił jej spojrzenie. Rozejrzałam się dookoła. Pomieszczenie było plastikowe i lśniło czystością - stanowiło idealny kontrast dla bałaganu, jaki panował u nas. Z radia płynęła muzyka gospel. Na ścianach wisiały święte obrazki w krzykliwych kolorach, jakie można kupić w supermarkecie w Deptford za pięćdziesiąt pensów. Plastikowy Jezus na plastikowym krzyżu wisiał na ścianie nad zlewem, wyraz cierpienia wykrzywił w karykaturalny sposób jego jaskrawą twarz.

Na przykrytej serwetką półeczce nad palnikiem stało włożone w ramki zdjęcie Denisa. To, które później można było oglądać we wszystkich gazetach. To najstynniejsze, na którym ma na sobie czerwono - niebieską bluzę, a jego twarz jest okrągła, lśniąca i przepelniona szczęściem, trochę jak u tego dzieciaka z Different Strokes (Different Strokes - właśc. Diffrent Strokes - sitcom amerykański.). Myślę, że ci ludzie z gazety specjalnie wybrali tę fotkę - na której wyglądał jak kompletny przygłup. Z tego samego powodu robili tyle szumu na temat jego chodzenia do kościoła oraz problemów z nauką i wybrali z kolei takie zdjęcie Kyle'a, na którym ten wyglądał na jeszcze bardziej cwanego i wyrachowanego, niż był w rzeczywistości. Bóg jeden wie, czym kierowali się, wybierając moje. Myślę, że to sprawka Pusha.

Spojrzałam na hasło przyklejone do licznika prądu: Błagajcie za grzechy, a będzie wam odpuszczone. Mama Denisa powędrowała za moim wzrokiem.

- Jak ci na imię, moja droga? - spytała, więc jej powiedziałam.

- Czy odnalazłaś już Jezusa na swej drodze, Anita? Utkwiłam wzrok w ziemi.

- Yyyy - zagryzłam wargi.

- Błogosławieni czystego serca - powiedziała surowo Gloria. - Albowiem oni Boga oglądać będą. Mateusz, rozdział piąty, wers ósmy (Przekład według Biblii Tysiąclecia, wydanie IV, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań - Warszawa 1984.) - jej małe brązowe oczy przewiercały mnie na wylot.

Usłyszałam głośny oddech Kyle'a siedzącego koło mnie i zobaczyłam kątem oka, jak jego wargi wykrzywają się drwiąco. Na całe szczęście w tej chwili wbiegł w podskokach Denis. Jak zwykle jego wielka, tępawa twarz rozpromieniła się ze szczęścia na nasz widok. Było wręcz niemożliwe złapać go na złym nastroju. Jego matka momentalnie zerwała się z miejsca i zaczęła się z nim cackać. Strzepywała niewidzialne pyłki z jego T - shirtu i podciągała mu spodnie.

- Nie ubrudź się przypadkiem za bardzo, Denis, dobrze? - powiedziała, ujmując w drobną dłoń jego pulchny policzek. - I nie wracaj późno. Mamy układać kwiaty jutro w kościele i nie zapomnij, że obiecałeś wielebnemu Gary'emu, że będziesz czytał przez całe lato.

Usłyszałam zduszony kwik wydany przez Kyle'a i wiedziałam, że gdyby nasz wzrok się spotkał, zaczęlibyśmy obydwójce sikać ze śmiechu. Denis rzucił w naszą stronę podejrzliwe spojrzenie.

- Oj, mamó. Dobrze. Daj spokój!

Wytoczyliśmy się w końcu na ulicę. Denis szedł przez chwilę w milczeniu, posyłając niespokojne spojrzenia to na mnie, to na Kyle'a. Ale nie pisnęliśmy słowa. Trzymaliśmy nos w swoich sprawach, nigdy nie wtrącając się ani nie wnikając w cudze problemy. Będąc razem, mieliśmy lepsze rzeczy do roboty.

5.

Szpital New Cross. 4 września 1986. Zapis rozmowy między doktorem C. Bartonem a Anitą Naidu. Kopia policji

Było naprawdę zimno. Pod koniec byłam tak zziębnięta, że cała się trzęsłam i szczękały mi zęby. Próbowałam utrzymać świadomość, jak długo tam jestem, ale to trwało i trwało w nieskończoność. Godzinami. Miałam w kieszeni latarkę, ale nie byłam w stanie się zmusić, żeby ją zapalić. Nie chciałam na nich patrzeć. Umierałam ze strachu na samą myśl o tym. Ale w końcu ją wyjęłam. Ręce trzęsły mi się tak, że wypadła mi na ziemię, i to wtedy, zdaje się, natrafiłam na to, na ten bucik. Macałam rękami po ciemku w poszukiwaniu latarki i nagle poczułam coś, jakąś małą mokrą rzecz, podniosłam ją i krzyknęłam, nie mogłam nad tym zapanować - krzyczałam i krzyczałam, darłam się wniebogłosy, nie mogąc przestać, bo to był malutki dziewczęcy bucik, mały, różowy dziewczęcy bucik. To było z tego wszystkiego najstraszliwsze, struchlałam z przerażenia, bo wiedziałam, co to oznacza, wiedziałam, do kogo należał. Wybiegłam na górę po schodach i rzuciłam się na drzwi, waliłam w nie i waliłam, wrzeszczałam i wrzeszczałam, ale nie ustąpiły, nawet nie drgnęły, aż w końcu zesłam z powrotem i skuliłam się na ziemi, bo wiedziałam już, że nie ma żadnego sensu, by dalej krzyczeć. Nie miałam pojęcia, że może istnieć tak potworny strach.

Dzisiejszego dnia Linda Bennet, nowa dziewczyna pracująca przy pakowaniu, obcięła sobie gilotyną palec. Zdałam sobie sprawę z tego, co się stało, dopiero gdy podniosłam wzrok i zobaczyłam otaczający ją tłum. Dopiero wtedy dotarł do mnie jej krzyk. Ktoś zawinął jej odcięty palec w chusteczkę, obwiązał też jej ranną dłoń i Linda trzymała swój zakrwawiony palec w zakrwawionej dłoni i krzyczała, krzyczała i krzyczała. Niekonczący się zawodzący lament - straty, szoku i grozy. Głowa zaczęła mi pękać. Powlokłam się z powrotem do swoich naklejek i uciekłam myślami do czasów, kiedy byłam małą dziewczynką w Leeds.

Musiałam mieć wtedy jakieś pięć lat. Moją najlepszą przyjaciółką była Susan Price. Chodziła ze mną do klasy, mieszkała dwie ulice dalej i wszystko robiłyśmy razem. Tamtego mroźnego, słonecznego zimowego dnia moja mama zawiozła nas do parku naszym białym fordem, który miał wyblakłe czerwone siedzenia ze skóry i strasznie rzucał. Susan i ja siedziałyśmy obok siebie na tylnym siedzeniu, każda zakutana w kurtkę, szalik i rękawiczki, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie będziemy na huśtawkach. Zdawało nam się, że ta droga trwa wiecznie. Krzyczałyśmy, śmiałyśmy się i kłóciły,

doprowadzając się do szaleńczego chichotu, zdecydowane uciec z gorącego samochodu do parku, na huśtawki, zjeżdżalnie i gonitwy pod otwartym niebem. Wioząc nas zalaną słońcem drogą, mama śpiewała piosenkę, która leciała przez radio.

Kiedy samochód w końcu się zatrzymał, Susan i ja wygramoliłyśmy się na zewnątrz i nie słuchając wołania mamy, żebyśmy zawróciły, pomknęłyśmy na strome, trawiaste wzgórze na skraju parku. Tylko spojrzałyśmy na znajdujące się daleko w dole huśtawki, zjeżdżalnię i staw, po którym pływały kaczki, i bez słowa, dokładnie w tym samym momencie, obydwie padłyśmy na ziemię i zaczęłyśmy się turlikać w dół. Miałam na sobie różową, puchową nylonową kurtkę z kapturem i kiedy tak obracałam się, wciąż szybciej i szybciej, kaptur spadał mi raz za razem na twarz, zasłaniając oczy. Turlikałam się wciąż szybciej i szybciej, i z każdym obrotem spotykałam się kolejno z zimną twardą trawą i błotem, różowym nylonowym kapturem, a następnie rozświetlonym niebem. Trawa, kaptur, niebo, trawa, kaptur, niebo. Pamiętam, że byłam zgrzana i spocona pod kurtką, pamiętam swój zimny nos i zapachy trawy, i głos mamy, wołający do mnie z góry, śmiech i uczucie rozpierającej radości. Kaptur, trawa, niebo, kaptur, trawa, niebo, obrót za obrotem, w dół i w dół, owinięta w gorącą, wilgotną różowość, aż śmiałam się tak, że aż brakowało mi tchu.

Na dole Susan i ja zderzyłyśmy się i leżałyśmy przez chwilę jedna obok drugiej, patrząc na słoneczne, błękitne niebo poprzecinane pierzastymi chmurkami. Pamiętam, jak przeszła mi przez głowę myśl, że to wygląda tak, jakby jakiś olbrzym w siedmiomilowych butach zostawił na błękitnie ślady mąki. Wtedy Susan i ja spojrzałyśmy na siebie i śmiałyśmy się bez opamiętania, ogrzane powietrze wylatywało obłoczkami pary z naszych ust w mroźne niebo. Każda cząstka mnie się śmiała, nawet moje rzęsy przepęniało szczęście.

Kiedy mama w końcu nas dopadła, zagniewana, bez tchu, patrzyła na nas przez chwilę - dyszące z wyczerpania i parszające z radości - po czym pokręciła głową, westchnęła, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Wy małe, śmieszne paskudy. Co ja bym bez was zrobiła?

TO było szczęście. TO była miłość.

Najwyraźniej musiałam się uśmiechać, bo nagle Candice Stamp, która też pracowała przy naklejkach, wlepiła we mnie swą białą, nalaną twarz i syknęła jak ulatniający się gaz:

- To nie jest śmieszne, ty cholerna wariatko!

I znów znalazłam się tam, w fabryce - przesywające zawrodozenie Lindy dotarło do mnie ponownie.

Wczoraj skończyłam dwadzieścia lat. Proszę spojrzeć, tam na stole są życzenia od Malcolma. Zaraz koło kolekcji gazetowych wycinków - o terrorystach z podstawówki, małoletnich oprawcach, minimordercach.

Sześć tygodni temu, wróciwszy do domu z zakupów, zastałam go pod swymi drzwiami. Stał tam i patrzył w ziemię. Nie miałam pojęcia, co zrobić. „Idiota” - pomyślałam, ale tak odwykłam od rozmawiania z ludźmi, że w pierwszej chwili nie mogłam sobie przypomnieć, jak się to robi. Dla kogoś stojącego z boku musieliśmy wyglądać komicznie. Tkwiliśmy tak oboje zmrożeni, on wpatrzony w swoje buty, ja wgapiona w drzwi, nie odzywając się słowem.

Przez jakiś czas nic się nie zdarzyło. W końcu on odezwał się pierwszy:

- Jestem Malcolm - zaciął się lekko przy swoim imieniu.

- Anita - powiedziałam. Zabrzmiało to jak jakiś pisk. Spytał, czy chciałabym pójść z nim w sobotę rano na spacer.

- Dobrze - powiedziałam.

Wtedy on na to, że będzie na mnie czekał przed blokiem o dziesiątej. Skinęłam głową. Postaliśmy jeszcze przez chwilę w milczeniu, po czym odwrócił się niespodziewanie i poszedł korytarzem, naprawdę szybkim krokiem, do swojego mieszkania. A ja byłam tak zszokowana, że stałam jeszcze przez jakiś czas, wpatrując się w puste miejsce, gdzie był przed chwilą. Kiedy weszłam do mieszkania, usiadłam na łóżku w płaszczu, wciąż trzymając w ręku plastikową siatkę z fasolą i mlekiem, z sercem walącym jak dzwon, i siedziałam tak do chwili, gdy zdałam sobie sprawę, że zrobiło się zupełnie ciemno i że kwitnę tak już z tymi zakupami od bardzo dawna.

Czasami leżę w łóżku i słucham głosów dzieci bawiących się na dole - ich złośliwych uwag i wrzasków, przenikających moje okno, śmiechu przepelnionego bezsensownym okrucieństwem, wypowiedzianych bez żenady gróźb. Szybko wracają wspomnienia. Niemal czuję słodko - mdlący odór melasy, dobiegający z fabryki zwierzęcej karmy, i promienie słońca na twarzy, widzę mulistą rzekę, wyglądającą jak rozwinięta rolka, słyszę brednie wypowiedziane przez Denisa. Pamiętam widok roztaczający się z Point Hill - zatoczkę pełną kaczek, sklepowych wózków i martwych konarów o gałęziach jak rozcapierzone, zakończone pazurami palce, kiedy ja i Denis chwytałyśmy się kurczowo każdego słowa, które padło z ust Kyle'a.

Co dzień rano Kyle pukał do moich drzwi i szliśmy razem po Denisa.

Kiedyś zabrali mnie do swojej kryjówki. Samo miejsce nie zrobiło na mnie wrażenia, ale byłam wniebowzięta, że dostałam tego zaszczytu. Poszliśmy wzdłuż rzeki, mijając elektrownię, połacie tych całych śmierdzących piżmem krzaków o białych kwiatach, gazownię i złomowisko, w końcu znaleźliśmy się na terenie opuszczonej fabryki. Kyle i Denis zaprowadzili mnie do rozsypujących się resztek niewielkiej przybudówki z czerwonej cegły. W środku nie było nic, nie licząc kilku połamanych krzeseł i uszkodzonej metalowej skrzyni.

Kyle otworzył ją i wyjął ze środka kartonowe pudło zawierające sekretny ekwipunek poszukiwacza jaskiń. Obejrzałam te skarby: książki z biblioteki (których termin zwrotu upłynął sto lat temu) o podziemnym Londynie, mapa brzegów Tamizy od Woolwich do Rotherhithe, plan parku Greenwich autorstwa Kyle'a, z czerwonymi krzyżykami naniesionymi, na pierwszy rzut oka, bezładnie (później dowiedziałam się, że oznaczają wejścia do kanałów), latarkę, linę i mały, o raczej badziwnym wyglądzie, scyzoryk.

Zaczęłam kartkować jedną z książek. Otworzyła się na czarno - białym szkicu jaskini, o której opowiadał Kyle - kopalni kredy umiejscowionej pod Point Hill. Kyle patrzył, jak zareaguję.

- Są jeszcze inne w pobliżu - powiedział. - Kopalnie piasku. W większości można się do nich dostać jedynie przez cudze ogrody. - Z wyrazu jego twarzy domyśliłam się, że już próbował.

„Więc to tam chodzisz po nocach” - pomyślałam.

Wyjął mi książkę z ręki i kartkował przez chwilę, aż otworzył na stronie, której szukał.

- Posłuchaj - powiedział i zaczął czytać: „Sprawozdanie Rady Dzielnicy Greenwich z 1914 roku opisuje inną znajdującą się w okolicy kopalnię piasku. Raport donosi: »Można powędrować czymś w rodzaju wspaniałego labiryntu tuneli o pokaźnych rozmiarach«. Kopalnia opisana na poprzedniej stronie nie jest ani trochę tak pokaźna, jak sugeruje ów raport, a zatem musi istnieć albo zawałone wyrobisko, albo inne miejsce, jak dotąd nieodkryte”.

Kyle zatrzasnął z hukiem książkę i powtórzył z błyskiem podniecenia w oku:

- Inne miejsce, jak dotąd nieodkryte. Ja mam zamiar je odkryć. Odkryję je, choćby za cenę życia.

Te długie letnie dni zdawały się trwać w nieskończoność. Lato rozciągało się przed nami w całej okazałości, a dla mnie ten czas był bardziej prawdziwy niż całe moje dotychczasowe życie, w każdym razie od momentu, kiedy się

nad tym zaczęłam zastanawiać. Tak jakby wszystkie moje komórki utknęły na zawsze w wydarzeniach tych kilku tygodni, które przyćmiły wszystko inne, całą moją przeszłość i przyszłość. Tamto lato było jak płomienisty meteor wdzierający się w czarną nicość. I przeczuwałam, że zawsze, do końca życia będę już tak o nim myśleć.

W chwilach, gdy nie szukaliśmy jaskiń, przeczesywaliśmy park w poszukiwaniu tuneli. W pozostałe dni wsiadaliśmy do autobusu jadącego do Woolwich, gdzie oglądaliśmy łódki, a właściwie głównie szwendaliśmy się po bulwarach Greenwich, włączając przez parkany do starych portów albo włamując się na złomowiska w poszukiwaniu przedmiotów, które warto było zwędzić. Czasami Denis przynosił z domu jakieś jedzenie i rozpalaliśmy ognisko, żeby je upiec. Smakowało za każdym razem jak gówno, ale pozwalało nam to wyobrazić sobie, że jesteśmy nieustraszonymi bohaterami, potrafiącymi przetrwać w każdej sytuacji dzięki swojemu sprytowi i kilku spalonym kawałkom boczku.

Ani Kyle, ani ja nie byliśmy gadułami i większość czasu spędzaliśmy, wysłuchując paplaniny Denisa - niekończących się historyjek i przeskakiwania z tematu na temat - od jaskiniowców do ulubionego rodzaju ciasta - ten nieprzerwany podkład dźwiękowy towarzyszył każdej naszej czynności. Kiedy mówił Kyle, wszystkie jego słowa pozostawały w mojej głowie jak wykute w marmurze - bawiłam się nimi w myślach także później, gdy zostawałam sama. I, jak powiedziałam wcześniej, nigdy nie wspominaliśmy słowem o naszych rodzinach, choć oczywiście byłam desperacko spragniona informacji o domu Kyle'a. Dlatego pamiętam dokładnie, jak zdziwiło mnie to, co powiedział któregoś dnia.

Siedzieliśmy nad rzeką, jak zwykle, i słuchałam jednym uchem opowieści Denisa o afrykańskich krokodylach. Właściwie dotarło do mnie, o czym mówił, dopiero w chwili, gdy powiedział:

- Tam właśnie jest mój tata.

Spojrzałam na niego unosząc brwi, a on upierał się dalej:

- To prawda! Bez ściemy! Mój tata jest misjonarzem w Afryce.

Prawdopodobnie rzuciłam coś w stylu: „Taaa, jasne”, albo może: „Gówno prawda!”, bo pamiętam, jak Denis zarzekał się:

- Bez ścierny! JEST w Afryce, naprawdę, mama mi mówiła.

Najwyraźniej bardzo mu zależało, żebyśmy w to uwierzyli, więc dalej o tym nawijał, roztrzásając szczegóły, a ja nadal siedziałam z wyrazem twarzy

mówiącym: „Gówno prawda!”, bo chciałam, żeby w końcu się zamknął.

- Jeździ po całym świecie, powaga - mówił Denis.

- Przemierza świat, który stworzył nasz Pan! - powiedział to z taką powagą, że parsknęłam śmiechem. Paplał dalej z desperacją: - Może zresztą nawet nie jest już w Afryce, pojechał pewnie teraz do Stanów, jest w Disneylandzie z...

- Z kim? - spytałam, zaśmiewając się.

- Z Edwardem Woodwardem - powiedział bez przekonania i zagryzł wargi, podczas gdy ja zarykiwałam się ze śmiechu.

Wtedy odezwał się Kyle, nie patrząc na nas, jakby do siebie:

- Mój ojciec jest w Ameryce.

- Naprawdę? - spytałam, nieco zbyt gorliwie.

- Wyjechał, gdy rozstał się z mamą - powiedział. Potem spojrzał na mnie swymi ciemnoszarymi oczami i dodał: - Chciał zabrać mnie i siostrę ze sobą, ale...

- w tym momencie przerwał i zapatrzył się w jakiś niewidzialny punkt przed sobą.

Skinęłam bez słowa, chcąc nakłonić go, by mówił dalej.

- Ale oni by tego nie przeżyli. Dziadek i mama. Nie daliby rady. Więc wprowadziliśmy się tutaj. A tata wyjechał do Ameryki.

Wzruszył ramionami, odwracając wzrok, i ponownie zaczął wpatrywać się w rzekę. Byłam tak poruszona informacją, że Kyle wychowywał Katie, że nie wiedziałam, co powiedzieć. Umierałam z ciekawości, co stało się z jego siostrą, desperacko pragnęłam go o to zapytać, ale byłam pewna, że jest to temat zakazany do tego stopnia, że prawie wątpiłam, czy rzeczywiście o niej wspomniał. Próbowałam zebrać się na odwagę, żeby zadać mu to pytanie, ale wiedziałam, że to bez sensu - w momencie gdy odwrócił ode mnie swoje ogromne zimne oczy, był już gdzieś daleko. Zaraz zresztą wstał, podszedł do brzegu i zaczął puszczać kaczki na wodzie.

Kilka dni później, idąc w stronę Greenwich, zatrzymaliśmy się na chwilę, by popatrzeć na siedzącego na ławce przy moło kloszarda. Z jakichś powodów Denis podniecał się w nieskończoność na widok wszelkich lumpów. Ten grzał wino z butelki i rozmawiał z samym sobą. Od czasu do czasu podnosił wrzask i wymachiwał rękami, rozlewając trunek na spacerujących turystów. Kiedy na to patrzyłam, przyszedł mi na myśl mój ojciec. Wyobraziłam go sobie, ubranego w zaszczane ciuchy, bez zębów, z

długą syfiastą brodą. Złapałam się na tym, że zastanawiam się, jak daleko jest od siedzenia dzień w dzień przed telewizorem, na zasiłku starczającym ledwie na piwo - do stanu chłania na ulicy i wydzierania się na latarnie. Wzdrygnęłam się, spojrzałam na Kyle'a - i osłupiałam na jego widok.

Zdażyłam się już przyzwyczać do jego zmiennych nastrojów, do tego, jak zapadał się czasem w sobie bez śladu niczym butelka wypełniona brudną wodą z rzeki. Potrafił stać koło ciebie, sprawiając wrażenie, jakby go tam nie było. To bywało niepokojące, nawet przerażające. Jak uczucie, kiedy wchodzisz do pokoju i wydaje ci się, że czuć uchodzący gaz, ale nie można tego stwierdzić na pewno. Denis i ja zwykle przeczekiwaliśmy po prostu te jego humory, rozmawiając ze sobą do chwili, gdy znów do nas powracał. Ale kiedy ujrzałam, jak patrzy na tego włóczkę, poczułam, że tym razem jest gorzej - było coś szczególnie dziwnego w tej jego zastygłej, milczącej pozie.

- Kyle? - powiedziałam, ale sprawiał wrażenie, że nie słyszy.

Miał na sobie tamtego dnia ten swój wielki płaszcz i pamiętam, jak pomyślałam, że wygląda na mniejszego niż zwykle, jakby nagle zamienił się w małego chłopca.

Dotknęłam jego ramienia i wtedy odwrócił się, by na mnie spojrzeć. Pamiętam, jak cofnęłam się tak błyskawicznie, że nadepnęłam Denisowi na nogę i usłyszałam, jak ten jęknął.

Wyglądał na kogoś zupełnie innego, jakby ktoś, kto nienawidzi mnie na śmierć, wśliznął się do jego głowy i właśnie patrzył na mnie oczami Kyle'a. Poczułam się tak, jakby rzucił się na mnie i złapał mnie za gardło. Jeszcze pięć minut temu wszystko było w porządku i ta zmiana nastąpiła tak nagle i niespodziewanie, że naprawdę piekielnie się przestraszyłam. I na dodatek dotarło do mnie podświadomie, że ten obcy zawsze czaił się gdzieś w jego wnętrzu, jak rwący wir pod łagodną powierzchnią rzeki.

- Kyle? - powtórzyłam. - O co chodzi?

I wtedy nagle on zerwał się i poszedł przed siebie. Po prostu wystrzelił do przodu, jakby strasznie się gdzieś śpieszył. Denis i ja staliśmy przez chwilę, oglądając jego plecy znikające w tłumie turystów, po czym pośpieszyliśmy za nim.

Była ósma - zwykle o tej porze zaczynaliśmy powoli zbierać się do domu, więc zdziwiło mnie, że idzie bez zastanowienia w kierunku Deptford. Kiedy tak szliśmy, niebo powoli zmieniało kolory - z błękitu w róż, z różu w pomarańcz, w końcu zaczęły je przecinać czerwone smugi jak otwarte żyły.

Idąc w górę rzeki, mijaliśmy komunalne budynki o podwórkach rojących

się od dzieciaków i poobijanych samochodów, na balkonach suszyły się sari i dresy, muzyka dobiegająca zza cienkich szyb rozlegała się nad Tamizą dudniącym echem.

Zatrzymaliśmy się przy rzędzie domków na kółkach, ustawionych kawałek od plaży. Tuż obok gnieździło się kilka łodzi mieszkalnych. Podobnie jak Kyle sforsowaliśmy nadrzeczną balustradę i szliśmy po chrzęszczących, pokrytych mułem kamieniach. Zachodzące słońce roztaczało nad nami różową poświatę, przepelnioną zapachem rzeki. W ukrytym zakolu dojrzelismy małą wiosłową łódkę, przywiązaną do drewnianego kołka. Weszliśmy do środka i usiedliśmy obok siebie na jednej z ławek, patrząc w kierunku Isle of Dogs. Tutaj turyści się już nie zapuszczali, nikt nawet nie mógł nas tu zobaczyć, chyba żeby wychylił się specjalnie przez balustradę.

- Na pewno należą do Cyganów - powiedziałam, wskazując skinieniem głowy na łodzie i karawany. Czuć było zapach gotowanego jedzenia, z najbliższej łodzi dobiegał stłumiony gwar głosów i śmiechy. Pamiętam, że pomyślałam, jak ciepło i miło to brzmi, i że sama chciałabym być jedną z nich.

- Idziemy - powiedział Kyle.

- Dokąd? - spytał Denis.

Myślę, że zaczynał się martwić o swoją kolację. Kyle uśmiechnął się ledwo dostrzegalnym uśmiechem, takim, od którego ciarki przechodzą po plecach.

- Płyniemy na małą wycieczkę.

Wstaliśmy i wysiedliśmy z łódki. Miałam nadzieję, że stroi sobie żarty, ale zaczął odwiązywać linę.

- Nawet nie mamy wiosła - powiedziałam. Spojrzałam w stronę rzeki. Wydała się nagle bardzo

szeroka. Podwójna kopuła tunelu po drugiej stronie była hen daleko, daleko, światełka lamp stojących na odległym tysiące mil brzegu łączyły się w pomarańczowe smugi na tle ciemniejszej głębi.

- A właśnie, że mamy - rzekł Kyle. Przeskoczył na drugą stronę łodzi i wyciągnął dwa wiosła z miejsca, gdzie były ukryte. Nagle stał się pełen energii i chęci działania i jak tylko skończył odwiązywać łódź, spojrzał na mnie i Denisa z niecierpliwością.

- Dobra, pomóżcie mi pchać, co?

Denis spojrział na łódkę niepewnie i zaczął gryźć paznokcie.

- Kyle - powiedział. - Ja nie umiem pływać.

- Dobra, nie musisz umieć pływać. Mamy pierdoloną łódź, kumasz?

Zamarłam, zmrożona ostrym tonem głosu Kyle'a. Denis dołączył do niego niechętnie i zaczęli obaj pchać łódź. Ja nadal stałam nieruchomo w miejscu.

- Naprawdę myślę, że to niezbyt dobry pomysł. Poważnie, facet.

Kyle przestał pchać. Podszedł do mnie, jego oczy przeszły mnie na wylot. Zrobiłam krok do tyłu.

- Albo pomagasz nam pchać, albo wypierdasz do domu! - jego spokojny głos, z nosowym londyńskim akcentem przeszył ze świstem parne powietrze.

Stał jeszcze przez chwilę, po czym poszedł z powrotem w kierunku łodzi. Dołączyłam do nich.

Kiedy łódka w końcu zaczęła bujać się na wodzie, wsiedliśmy do środka - Denis i ja po jednej stronie, Kyle naprzeciw nas. Użył pagaja, żeby odepchnąć się od brzegu, i po chwili płynęliśmy, nasza mała łupinka kołysała się miękko na powierzchni rzeki. Kyle poruszał wiosłami tak zajadle, że w jednej chwili znaleźliśmy się dziesiątki metrów od lądu. Woda, wyglądająca tak niewinnie przy brzegu, zaczęła falować wokół nas coraz bardziej agresywnie, znosząc naszą łódź coraz dalej w kierunku głównego nurtu. Minęliśmy barki mieszkalne - dwoje niechlujnie ubranych dzieci pomachało nam z pokładu jednej z nich.

Denis chwycił się kurczowo burty i próbował sprawiać wrażenie, że świetnie się bawi. Oglądałam się raz za razem na brzeg, zastanawiając się, w jaki sposób w ogóle zamierzamy tam wrócić. Słońce było czerwone i wisiało nisko nad ziemią. Przybrzeżne domy, bloki i puby niknęły w szarości wieczoru, a w oknach zaczęły zapalać się pierwsze światła. Jacyś dwaj faceci przy jednym z karawanów coś do nas wołali, ale nie byłam w stanie usłyszeć, co.

Znosiło nas na środek rzeki, łódź płynęła coraz szybciej w kierunku Rotherhithe. Kyle wciągnął wiosła do środka, usiadł z tyłu i zapalił szluga, wyjętego z kieszeni. Nie czułam się najlepiej w tak bliskim kontakcie z wodą. Push postraszył mnie kiedyś, że pełno w niej ciał samobójców i pijaków. Wiedziałam, że gadał pierdoły, ale i tak się bałam. Filtrowałam wzrokiem mętną wodę w poszukiwaniu zwłok, a potem spojrzałam na Kyle'a,

zapatrzonego ślepo w dal. Tęczowe fale i tajemnice, które skrywały, odbijały się w jego oczach. Próbowałam powstrzymać drżenie głosu.

- Kyle - powiedziałam - myślę, że chyba powinniśmy...

Ale to nie miało żadnego sensu. Był poza zasięgiem. Siedział bez ruchu, zaciągając się swoim szlugiem, wpatrzony nieobecny wzrokiem w bajoro na dnie łodzi, z niezmiennym półśmiechem. Wątpię, czy w ogóle słyszał, co do niego mówię. Fale zaczęły uderzać w nas z coraz większą siłą. Ujrzałam płynący z naprzeciwka prom, kończący swój ostatni tego dnia kurs. Kołysaliśmy się coraz gwałtowniej, woda zaczęła wdzierać się zza burty, zalewając nam stopy. Postanowiłam wziąć sprawy w swoje ręce.

- Denis - powiedziałam, starając się ukryć panikę w głosie. - Podaj mi wiosła.

Denis sięgnął po wiosła, ale Kyle postawił stopę na jego nadgarstku.

- Zostaw!

- Kyle, do kurwy!

Za bardzo byłam przerażona, żeby przejmować się jego humorami. Ale zapatrzył się znowu w kałużę błota i zdałam sobie sprawę, że ma wszystko gdzieś. Naprawdę, miał głęboko w dupie, że możemy wszyscy utonąć. Świadomość tego zmroziła mi krew w żyłach. Zaczęła ogarniać mnie panika. Nagle rozległo się przeciągłe wycie syreny. Dokładnie w naszą stronę płynął prom, a nasza łódeczka kołysała coraz bardziej szaleńczo, jej brzegi z każdą chwilą zanurzały się głębiej. Denis rozryczał się.

Chwyciłam za wiosła. Kyle kopnął moją dłoń.

- Zostaw to, ty pierdolona pakistańska cipo! - Jego głos należał do tamtego obcego.

Kopnął moją rękę z całej siły - spojrzałam na niego, nie wierząc własnym uszom.

- Jak do mnie powiedziałeś? - spytałam idiotycznie.

Ale nie było czasu, by to roztrząsać. Denis zerwał się w nagłej panice i rzucił w stronę wiosła. Co wydarzyło się później, sama nie jestem pewna. Czy Kyle rzeczywiście celowo pchnął go do wody, czy chciał tylko odepchnąć od wiosła? Nie ma to zresztą żadnego znaczenia, biorąc pod uwagę skutek. Denis stracił równowagę i wypadł tyłem przez burzę.

To dziwne, jakie rzeczy widzi się w momencie paniki. Pamiętam, że wychyliłam się, chcąc chwycić Denisa za młóćącą wodę na oślepe ramiona,

kiedy zanurzał się z pluskiem i wynurzał, pamiętam twarze pasażerów promu, wychylających się przez barierkę, żeby nas lepiej widzieć. Pamiętam twarz małej, jasnowłosej dziewczynki, śmiejącej się, jakby cieszyło ją, że poniżej grube dziecko topi się i krzyczy w śmiertelnej panice. Odwróciłam się do Kyle'a i powiedziałam, prawie płacząc:

- Pomóż mi. Pomóż mi go wyciągnąć.

I w ułamku sekundy, w jednym mgnieniu, oczy Kyle'a rozbłysły i chwycił Denisa za ramiona.

Wtedy dobiegło nas z tyłu wycie silnika, głos wołający przez megafon, z promu rozległy się krzyki. Za moment była przy nas niebiesko - czarna policyjna motorówka.

Nikt z naszej trójki nie odezwał się słowem w wozie policyjnym, który wiózł nas z powrotem z Rotherhithe. Ociekający wodą Denis dygotał na tylnym siedzeniu między mną i Kyle'em. Za to dwaj policjanci mieli mnóstwo do powiedzenia przez całą drogę i nie zamierzali najwyraźniej nic z tego pominąć. Dowiedzieliśmy się, że jesteśmy głupimi gnojkami i że mają lepsze rzeczy do roboty niż wyławianie z Tamizy złodziejskich zasrańców.

Najpierw zatrzymaliśmy się koło domu Denisa. Wysoki, chudy, jasnowłosy gliniarz zakotłosał się na piętach na dźwięk hymnu, który rozległ się po naciśnięciu dzwonka. Z tego, co widziałam przez okno samochodu, Denis srał ze strachu. W końcu Gloria otworzyła, jej małe oczy zwięzły się do jeszcze mniejszych rozmiarów, gdy patrzyła podejrzliwie na mężczyzn w mundurach, towarzyszących jej synowi. Policjant mówił, Gloria wznosiła ręce ku niebu, a Denis stał ze zwieszoną głową. Na koniec powiedziała coś do gliniarza, pomachała mu palcem przed nosem, po czym wciągnęła Denisa do domu i trzasnęła drzwiami. Zanim jednak to zrobiła, rzuciła ponure, złe spojrzenie w kierunku tylnych miejsc samochodu, gdzie siedzieliśmy ja i Kyle.

- Pieprzona wariatka - mruknął policjant, usiadłszy z powrotem koło swego kumpla.

Pojechaliśmy dalej.

Następnym przystankiem był dom Kyle'a. Policjanci kazali mi zostać na swoim miejscu, po czym oboje wysiedli i odprowadzili go pod drzwi. Kiedy stanął w nich Patryk, zauważyłam jakiś dziwny wyraz na jego twarzy. To trwało moment - ten strach, który odbił się w jego oczach - ale zdecydowanie coś takiego się pojawiło. Dosłownie w ułamku sekundy - spojrzał na Kyle'a i jakby się śmiertelnie przeraził. Po chwili jednak zmieniło się to w wyraz

czulego zatroskania - kiedy słuchał tego, co gliniarze mieli do powiedzenia. Zaraz potem zaczął mówić i - choć nie mogłam usłyszeć słów tego starszego człowieka, widziałam, że z jego zachowania biła duma i inteligencja - rodzaj spokoju, który dostrzegało się i wyczuwało nawet z tylnego siedzenia zamkniętego samochodu. Widać było także - ze sposobu, w jaki gliniarze słuchali i przytakiwali - że byli pod jego wrażeniem. Darzyli go szacunkiem, na jaki nie zasłużyła sobie Gloria i na jaki - wiedziałam - nie zasłuży sobie mój ojciec. Na koniec Patryk musiał sypnąć jakimś dowcipem, bo policjanci nagle porzucili swoją pozę wkurzonych wszystkowiedzących i wybuchnęli śmiechem, po czym unieśli kapelusze i wrócili do wozu, do mnie.

Minęły wieki, zanim otworzyły się drzwi mojego domu. Policjanci stali z kamiennymi twarzami przed naszą niezbyt szpanerską chatą, gdzie wszyscy troje czekaliśmy w milczeniu. Patrzyli z dezaprobatą na nasze sfatygowane drzwi. Miałam ochotę im powiedzieć, że to nie moja wina, że wiele lat temu spadła tu bomba, niszcząc wspaniałe domy, jakie powinny nadal tu stać. To nie moja wina, że zamiast tego postawiono tu rząd bloków komunalnych. To, że Kyle okazał się pieprzonym lunatykiem, to też nie moja wina. Ale trzymałam gębę na kłódkę i tylko nie mogłam się doczekać, aż ktoś w końcu raczy zejść i otworzyć drzwi.

Kiedy Push ujrzał mnie w towarzystwie dwóch policjantów, zrobił wielkie oczy z podniecenia.

- Tataaaaaaaa! - wrzasnął przez ramię i wpatrzył się we mnie z otwartą gębą.

Po paru minutach pojawił się ojciec - ubrany w swój pulower, skołowany i bezradny. Gliniarze spojrzeli na niego z góry, a on skulił się, zakłopotany.

- Pan Naidu? - powiedział pierwszy gliniarz. - To pańska córka?

Ojciec spojrział na mnie, jakby się zastanawiał.

- Tak?

- Znaleźliśmy ją w Tamizie, panie Naidu. Ona i jej koledzy ukradli łódź.

Push zagwizdał z uznaniem i spojrział na mnie podekscytowany.

- Ukradłaś pieprzoną łódź? - Machnął prawą dłonią w geście podpatrzonym w szkole u czarnych. - No, facet!

Jasnowłosy gliniarz spojrział na mojego ojca i brata z niesmakiem. Nie miał okazji zrobić wielkiego wrażenia przed domem Patryka i myślę, że zamierzał nadrobić tę stratę teraz.

- To była potencjalnie bardzo niebezpieczna sytuacja, panie Naidu! - zaczął, wyprężając się, by zaimponować swym wzrostem, i napinając mizerne ramiona. - Patrzył w swój notes i przemawiał jak prokurator przed ławą oskarżonych w Old Bailey (Old Bailey - sąd karny w Londynie.). - Ten incydent stanowił nie tylko kradzież prywatnej własności, panie Naidu, ale także zagrożenie dla życia wielu obywateli.

I tak dalej, i tak dalej. Policjant mówił i mówił, prawdopodobnie usiłując wymusić na tacie jakąś reakcję. Mogłam im powiedzieć, że mogą sobie w ten sposób gadać całą noc, ale czułam, że lepiej trzymać język za zębami. W końcu zjawiła się Janice i przepchnęła się przed tatę, błyskając okazałym biustem. Uśmiechnęła się promiennie do blondyna, chwyciła mnie za ramię i pociągnęła stanowczo za sobą do środka. Wchodząc po schodach, słyszałam, jak nawija:

- To dobra dziewczyna, panie władzo, ale niedawno umarła jej matka i obawiam się, że....

Zamknęłam za sobą drzwi i położyłam się do łóżka.

Po dziesięciu minutach wszedł ojciec. Chyba nigdy wcześniej nie widziałam go w swoim pokoju. Usiadł na łóżku Beli i rozglądał się ze zdziwieniem dookoła, jego wzrok zatrzymał się w końcu na parze rajstop owiniętych wokół butelki po wódce. Obydwoje milczeliśmy. Bawiłam się kawałkiem obdartej tapety i patrzyłam na niego. W końcu uśmiechnął się niezręcznie i powiedział:

- Nie podejrzewałem, że jesteś typem żeglarza, Ani.

Nie znosiłam, kiedy tak mnie nazywał. Wzruszyłam ramionami:

Sprawy wymknęły się spod kontroli. Tata spojrzał na mnie i westchnął:

- Czy ty...

- Co? - przerwałam bardziej agresywnie, niż miałam zamiar.

Ojciec zawahał się.

- Przykro mi, Nita - powiedział w końcu. Pokręcił głową i zaczął jeszcze raz: - Przykro mi, że nie byłem...

Boże, tylko nie to! To była ostatnia rzecz, której teraz potrzebowałam. Przerwałam mu:

- Dobra, tato, w porządku. Naprawdę. Nie martw się.

Odwrociłam się i zaczęłam grzebać przy telewizorze.

Siedział jeszcze parę minut, aż w końcu dał za wygraną i otworzył drzwi. Wychodząc, odwrócił się i powiedział:

- Dobrze. Gdybyś jednak... - spojrzał na mnie, po czym, powłócząc nogami, wyszedł z pokoju. Dwadzieścia sekund później usłyszałam muzykę z bullseye'a dobiegającą z przedpokoju.

Leżałam i zastanawiałam się, jak do tego doszło, że ja i mój tata nie jesteśmy w stanie wytrzymać ze sobą choćby przez chwilę. W którymś momencie po śmierci mamy pojawił się jakiś lodowaty wiatr, zimno, które krążyło i krążyło w poszukiwaniu swojego miejsca, aż w końcu, bez ostrzeżenia, wkradło się między nas dwoje. Nieustępliwy, czujny, niespokojny duch.

A może zawsze było właśnie tak. Dziwne, bo pod wieloma względami ja i ojciec byliśmy tacy sami. Ale mimo to nie czuliśmy się ze sobą dobrze - woleliśmy zdecydowanie towarzystwo mamy, Pusha czy bliźniaczek - zachowywaliśmy się bardziej naturalnie wśród szczęśliwych ludzi z zewnątrz, którzy nie chowali się przed światem tak jak my. Być może przeżywaliśmy śmierć mamy bardziej od nich, może cierpieliśmy mocniej. Ale świadomość tego zdawała się jeszcze pogarszać stan rzeczy. Więc unikaliśmy siebie nawzajem, udając, że nie dostrzegamy, jak fatalnie się to na nas odbiło.

A może po prostu ojciec nie mógł mi wybaczyć tego, jak wiele czasu mama spędzała ze mną, zanim umarła, jak wiele uwagi mi poświęciła. On nigdy nie widział takiej potrzeby.

Pomyślałam o rzeczach, które zaczęły mi się przytrafiać dawno temu - to przez nie musiałam trzymać się z daleka od świata i starać się nad sobą panować - nie chciałam, by moje tajemnice zostały odkryte. Wiedziała o nich tylko mama. Poczułam się nagle bardzo zmęczona tym wszystkim, bardzo z tym wszystkim samotna.

Najwyraźniej musiałam zasnąć, bo następną rzeczą, jaką pamiętam, była nieprzenikniona ciemność, moje walące serce i poduszka mokra od łez. Śniło mi się, że biegnę bardzo długim, wąskim tunelem. Gonił mnie Kyle i choć biegłam co sił, wiedziałam, że depcze mi po piętach. Przed sobą, za każdym zakrętem, słyszałam wołanie mamy: „Biegnij, Anita, biegnij. Jestem tu”. Ale za każdym razem, gdy myślałam, że pojawi się za najbliższym zakrętem, tunel znowu zakręcał, naśmiewając się ze mnie, a przede mną była tylko ciemność.

Kradzież łodzi oraz to, że o mały włos nie roztrzaskaliśmy jej w drobny mak w zderzeniu z promem, nie mogły oczywiście ujść nam na sucho. Ale

wtedy zdałam sobie sprawę, że Patryk jest znany miejscowym glinom. Musiał wcześniej jakoś dogadać się z policją - najprawdopodobniej wykorzystał swój osobisty urok, bo ukarano nas jedynie upomnieniem. Nie wiedziałam jednak o tym jeszcze, kiedy Patryk i Kyle przyszli po mnie dwa dni po całym zajściu, by zabrać mnie ze sobą na posterunek policji w Brockley, i замуrowało mnie ze strachu.

Poszliśmy najpierw po Denisa - Kyle i ja milcząc, Patryk mruczając coś do siebie pod nosem. Kiedy Denis stanął w drzwiach, rzucił na nas troje śmiertelnie przerażone spojrzenie, po czym wpuścił Patryka do środka, a sam wyszedł do nas, na ulicę.

Staliśmy na trawniku i czekaliśmy na powrót Patryka.

- Myślicie, że wsadzą nas do więzienia? - spytał Denis. Wyglądał, jakby miał za chwilę wybuchnąć płaczem.

Kyle wydawał się znudzony.

- Jasne, że nie, wieśniaku - powiedział. - Dzieci nie wsadza się do więzienia.

- Mama mówiła, że pójdziemy wszyscy do piekła - powiedział Denis. - Za kradzież.

Kyle rzucił mu pogardliwe spojrzenie, ale nie odezwał się. W końcu zjawiał się Patryk. Zobaczyłam stojącą za nim Glorię, ale ona nie mówiła ani słowa.

Znalazłszy się na posterunku, skierowaliśmy się do recepcji, gdzie siedziało za biurkiem dwóch policjantów. Nie zauważyli naszego wejścia. Jeden z nich - łysy i gruby - pochłonięty był ścieraniem niewielkiej kałuży rozlanej kawy.

- Kurza dupa, Alan - mówił. - Jesteś taką pierdzieloną ciamajdą.

Drugi policjant uśmiechnął się głupawo.

- Daj spokój, Jim, to tylko kilka kropel kawy. Nie rób zbrodni z byle gwałtu!

Obydwaj ryknęli śmiechem.

Patryk odchrząknął i uśmiechnął się szczerze, a dwaj mężczyźni oblali się rumieńcem i usiedli sztywno wyprostowani.

- Posterunkowy Baxter? - spytał Patryk. Podeszedł do policjanta i wyciągnął dłoń. - Rozmawialiśmy przez telefon. Nazywam się Patryk Morgan.

- A tak, oczywiście, pan Morgan - łysy grubas zaprowadził nas do niewielkiego pomieszczenia i wyszedł, zostawiwszy nas tam. Kiedy wychodziliśmy z recepcji, usłyszałam, jak ten drugi, Alan, odchrząknął i powiedział:

- Mam nadzieję, że nie będzie pan miał mi za złe tego, co powiem, ale pamiętam pana z tej, no..., sprawy z zeszłego roku. Na pewno musi być panu nadal z tym ciężko...

Ale Patryk uciał jedynie chłodno:

- Owszem.

Pozostawiono nas samych na czterdzieści minut. Siedzieliśmy w milczeniu, patrząc na wskazówkę minutnika, oznajmijącą głośnym klikaniem upływ każdego kolejnych sześćdziesięciu sekund. Po kwadransie Denis zaczął pociągać nosem, próbując powstrzymać łzy.

- Nie przejmuj się - powiedziałam, udając pewność siebie. - Opierdolą nas i tyle.

Denis otarł rękawem zasmarkany nos.

- A jak nas wsadzą do więzienia, to co? - spytał. Kyle kopnął z irytacją nogę od stołu.

- Skończ z tym pedałstwem, Denis - powiedział. - Ukradliśmy tylko pierdoloną łódkę. Nikogo nie zabiliśmy.

W końcu weszło dwóch gliniarzy. Wrzeszczeli na nas przez dziesięć minut, że marnujemy czas policji, że jesteśmy złodziejami i że jeżeli kiedyś jeszcze zrobimy coś takiego albo cokolwiek - cokolwiek! - innego - będzie nam cholernie, ale to cholernie przykro! Denis i ja tkwiliśmy ze wzrokiem wbitym w ziemię. Usłyszałam, jak Denis znowu się rozkleja.

Do końca lata, rzecz jasna, byłam zmuszona przyzwyczać się do policyjnych klimatów. Jednak wtedy to był mój pierwszy raz na posterunku i byłam naprawdę przerażona.

Łysy glina zakończył swoją przemowę słowami:

- Jesteś bezczelnym, zasranym gnojem, co? Podążyłam za jego wzrokiem i spojrzałam na Kyle'a, patrzącego arogancko na policjanta. W końcu wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. Wreszcie nas wypuścili.

Kiedy wyszliśmy, nie odezwałam się słowem do żadnego z nich. Poczułam nagle, że mam po dziurki w nosie tego całego Kyle'a, mordowania kaczek, że rzygam na samo wspomnienie o nim podczas kradzieży łódki i

mam gdzieś rozgryzanie jego humorów i sekretów.

Więc zostawiłam ich bez pożegnania, mówiąc sobie, że Kyle może się walić - musiałabym być zdrowo pierdolnięta, żeby mieć ochotę się z nim jeszcze kiedyś spotkać.

6.

Po zdarzeniu z łódką trzymałam się z dala od Kyle'a przez kilka dni. Zdawało mi się, że trwało to tygodniami. Wiem, że trudno to panu zrozumieć, panie doktorze. Jak mogłam tęsknić za kimś, kto zachował się tak jak on? Jak mogłam polubić kogoś takiego? Proszę pozwolić mi wyjaśnić. Nigdy nie spotkałam nikogo takiego. Był tak pewny siebie, było mu totalnie obojętne, co kto o nim myśli. Miał w sobie determinację i taką pogardę dla „właściwego” sposobu postępowania, że - muszę przyznać - niesamowicie mi to imponowało. I kiedy okazywał zainteresowanie tym, co mówię, czułam, że coś znaczę. Po prostu. Kiedy odwracał się ode mnie, czułam się jak roślina bez światła.

Cokolwiek robiliśmy, gdziekolwiek chodziliśmy, zawsze był to jego pomysł. To on wiedział o kopalniach pod Greenwich, to on wymyślił, że musimy odnaleźć jaskinię, w której możemy pobyc - choćby jeden dzień - sami w naszym małym podziemnym świecie. Byliśmy dziećmi, czy pan rozumie? Zwykłymi dziećmi, które nie mogły odrzucić przyjaźni z powodu jakichś tam chwilowych objawów szaleństwa. Kiedy jesteś dzieckiem, wzorem dla ciebie są twoi kumple. Bo i tak nigdy nie są do tego stopnia walnięci, co rodzice.

Tak więc, po kilku dniach spędzonych bez nich, zaczęłam tęsknić za Kyle'em i Denisem jak wariatka. Denis i ja nigdy nie chodziliśmy po Kyle'a - takie było nasze niepisane prawo - więc mogłam tylko siedzieć i czekać, aż sam się zjawi. Oczywiście nie zrobił tego. W końcu któregoś dnia ojciec dał mi parę groszy, prosząc, żebym skoczyła do Lewisham kupić jakiś prezent dla cioteczki Jam. Kiedy indziej byłabym wściekła, mając robić coś dla tej suki, ale dzięki temu miałam pretekst, żeby wyjść z domu i zajrzeć do Denisa - byłam ciekawa, czy chce się ze mną widzieć.

Nikt nie odpowiedział na moje pukanie, więc poszłam do marketu Army&Navy sama. W sklepie nie było nikogo. Sade śpiewała przez głośniki do pustej sali, wydzielającej obecny zwykle w podupadających sklepach natrętny, nienaturalny zapach, próbujący zamaskować coś zapyziałego i beznadziejnego. Jak perfumy na nietrzymającej moczu staruszce.

Poszwendalam się trochę pod światłem jarzeniówek, wśród alejek z przyborami toaletowymi, mijając kostki kąpielowe, waciki do twarzy i mydełka na pokrytych kurzem półkach. W końcu wepchnęłam pod T - shirt kilka opakowań talku i wyszłam najbliższym wyjściem. Okazało się to tak proste jak zwykle - w te dni, kiedy wagarowałam całymi długimi tygodniami w Leeds po śmierci mamy. Ucieszyło mnie, że nie wyszłam z wprawy.

Kiedy z kieszeniami wypchanymi proszkiem znalazłam się na Myre Street, skierowałam się pod numer 33. Dom Kyle'a zawsze wyglądał na opuszczony, ale wiedziałam, że to niekoniecznie musi znaczyć, że nikogo nie ma w środku. Okna były zasłonięte jak zwykle, światło słoneczne podkreślało niezmiennie czarny kolor szyb. Kiedy wróciłam do domu, okazało się, że wszyscy gdzieś sobie poszli. Z góry nie dochodziła żadna muzyka, przed telewizorem nie siedział jak zazwyczaj ojciec, z kuchni nie dobiegał śmiech Janice. Ta pustka była tak nietypowa, że stałam w korytarzu, z zaczynającymi mnie uwierać pudełkami talku i nasłuchiwałam przez chwilę. Panowała idealna cisza i pamiętam, jak pomyślałam, że to jest bardzo przyjemne. Kiedy tak słuchałam pustego domu, zaczęłam wychwytywać wyłaniające się z ciszy odgłosy - brzęczenie lodówki, radio nadające w czyimś ogrodzie, szczekanie psa u sąsiadów. I cichy, stłumiony kobiecy płacz, dobiegający nie wiadomo skąd.

Co to mogło być? Od pewnego momentu słyszałam już tylko ten jeden dźwięk. Ledwie słyszalny szloch, którego miejsca pochodzenia nie mogłam zidentyfikować. Poszłam w kierunku schodów - moje ruchy momentalnie go zagłuszyły. Ale za chwilę pojawił się znowu. Wyszłam na górę i stał się głośniejszy. Myśląc, że to któraś z moich sióstr, otworzyłam drzwi do naszej sypialni. Była pusta i wtedy zdałam sobie sprawę, że głos dobiega z pokoju ojca. Drzwi były uchylone - otworzyłam je na oścież.

Musiała minąć dłuższa chwila, zanim pojęłam, o co chodzi. Janice klęczała, goła, na łóżku ojca. Stałam w drzwiach, totalnie oszołomiona widokiem jej wielkiego, spoconego w południowym upale ciała, które huštało się i trzęsło jak galareta z puszki, jej piersi zwisały prawie do pępka, rude kępkki włosów połyskiwały pod pachami i na kroczu. Z kretyńskim uczuciem przerażenia patrzyłam na jej podskakujące i wirujące masywne biodra, na wściekle czerwone rowki biegnące wokół miejsca, w którym wcześniej znajdowały się gumki od majtek, i zastanawiałam się, jakie szaleństwo ją do tego pchnęło. Wydawało mi się, że znajdowała się w stanie jakiegoś potwornego transu. Oczy miała zamknięte i wciąż wydawała ten jęczący dźwięk, który usłyszałam z dołu. Zaczęłam się zastanawiać, co, do cholery, zrobić, żeby ją obudzić.

Ale byłam głupia, nie? Bo przecież, rzecz jasna, widziałam coś brązowego i kościstego, wijącego się między jej udami. Nie dostrzegłam go wcześniej, bo w połowie zakrywała go Janice i kołdra, ale to był on - mój ojciec - nagi i niepozorny, przywalony masywnym ciężarem naszej sąsiadki. Nie widziałam jego twarzy, ale poznałam go po dłoni, którą wyciągnął nagle, by ująć bez entuzjazmu jedno z różowobiałych wymion Janice. Poznałam, że

to mój ojciec po obrączce, którą wciąż nosił na palcu.

Odeszłam spod drzwi, zesłam na dół i opuściłam dom, wślizgując się w pałacy południowy skwar. Nie pamiętam momentu, w którym podjęłam decyzję, żeby tam pójść, pamiętam tylko swoje walące serce, rodzaj przytłaczającego wstydu i wściekłość, kiedy ujrzałam swoją własną dłoń sięgającą do masywnej kołatki. Było za późno, gdy zdałam sobie sprawę, jaki popełniam błąd - mogłam już tylko gapić się z przestachem na czteropiętrowy kolos z żółtej cegły, ciemne, niegościnne okna i wysoki spadzisty dach, wiedząc, jak wściekły będzie Kyle, kiedy mnie tu zobaczy, i że jest za późno, by uciekać. Drzwi otworzyły się i stanął w nich Patryk, mrużąc oczy w słońcu.

- Anita! - powiedział i muszę przyznać, że było mi miło, kiedy zwrócił się do mnie po imieniu. Dziadek Kyle'a miał wpływ na ludzi, nie da się ukryć.

I jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie, jakbym miała w zwyczaju codziennie ot tak, po prostu wpadać, zrobił krok w tył, uśmiechnął się i zaprosił mnie do środka. Zapomniałam w tym momencie o Janice i ojcu.

Zastanawiałam się tyle razy, jak wygląda dom Kyle'a w środku, że byłam w stanie tylko rozglądać się w głuchym milczeniu, jak dziecko na szkolnej wycieczce w muzeum, przytłoczona innością tego miejsca od wszystkich miejsc, które do tej pory widziałam. Korytarz wydawał się ciemny po oślepiającej jasności ulicy. Było tu cicho i spokojnie - czarno - białe płytki na podłodze w kształcie rombów, nagie ściany, ciężkie i wilgotne powietrze sprawiały wrażenie, jakby od dawna nikt tu nie mieszkał. Nigdy wcześniej nie byłam w takim domu. Szczerze mówiąc, nigdy nie byłam w żadnym domu, który by nie był nowoczesny, mały i gówniany, jak nasz i Denisa.

Patryk zaprowadził mnie do salonu i patrzył z zainteresowaniem, jak zamieram ze zdziwienia. Pokój był ogromny. Czerwone story zasłaniały wysokie okna, przedostające się przez nie światło słoneczne wypełniało salon miękkim, pomarańczowym blaskiem. Przez szpary w storach przedzierały się grube promienie światła, w których wirował kurz. Było duszno, cicho - i niesamowicie. Wokół pełno antycznych mebli, ściany pokryte złoto - zieloną tapetą. Na parkiecie leżał wielki perski dywan, a przed ogromnym marmurowym kominkiem stała chińska waza pełna pawich piór.

Stałam oszołomiona, rozglądając się po pokoju, aż ujrzałam pod oknem duży dębowy stół, na którym znajdował się niewielki model sceny bitewnej. Zauważywszy moje zainteresowanie, Patryk uśmiechnął się i poprosił, bym podeszła bliżej. Wśród zielonych wzgórz i krętych dolin znajdowały się setki

maleńkich, prześlicznie pomalowanych ołowianych figurek.

- Bitwa pod Borodino - wyjaśnił Patryk. Musiałam wyglądać niekumato, bo dodał: - Z czasów wojen napoleońskich. Żołnierze w czerwonym to Rosjanie, w niebieskim - Francuzi.

Wpatrywałam się w model dłuższą chwilę. Część żołnierzyków siedziała na perfekcyjnie odlanych konikach, w różnych stadiach szarży lub upadków, były też armaty i wozy z amunicją, zakrwawione ciała i porzucone bagnety - wszystko rozmieszczone z niesamowitą precyzją w niekończącej się krwawej masakrze. Twarz każdego żołnierza w niepowtarzalny sposób oddawała agresję, strach czy śmierć. Na najwyższym ze wzgórz stała samotna, pękata figurka Napoleona, patrzącego z góry na rozgrywającą się w dole rzeź.

- Arcydzieło - powiedział Patryk, podnosząc przebitą bagnetem figurkę. - Popatrz tylko na szczegóły! - Odwrócił żołnierzyka i pokazał mi miejsce, w którym miecz przeszył plecy - z rany wyłaziły na wierzch jasnoczerwone wnętrznosci podobne do surowego mięsa.

- Bomba - powiedziałam, co zdaje się usatysfakcjonowało Patryka ogromnie, bo uśmiechnął się do mnie promiennie, jakbym była najbardziej czarującą i elokwentną osobą, jaką spotkał.

Zaczęłam się ponownie rozglądać po pokoju. Na pierwszy rzut oka był elegancki, wielki i pełny drogocennych rzeczy, jednak gdy przyjrzało się bliżej, wychodziło na jaw, że wszystko jest jakieś upieprzone. Blaty uwalane były jakimś syfem: rozlana kawa, puste filiżanki, walające się książki, poobijane ozdoby, kurz. Spojrzałam na piękny jedwabny abażur i dostrzegłam, że jest obdarty. Zauważyłam, że dywan i stopy są wyświechtane i poplamione, że kanapa zapada się w miejscach, gdzie popękały sprężyny.

Na końcu popatrzyłam na Patryka. Wiem, że uzna pan to za głupie, ale nie zależy mi, chcę to powiedzieć. Spojrzałam na dziadka Kyle'a, stojącego pośrodku tego pięknego, chaotycznego salonu i myślę, że w tym właśnie momencie zakochałam się w nim. Oczywiście nie, żeby mnie pociągał jako mężczyzna - był po sześćdziesiątce, a ja miałam trzynaście lat. To było coś innego. Poczułam nagle przytłaczającą zazdrość, że należał do Kyle'a, a nie do mnie.

Wyglądał imponująco jak na swój wiek - był wysoki i przystojny, ubrany w eleganckie ubranie, jakie przystoi starszemu panu, i myślę, że miał w sobie coś - jakąś magię i czar - charyzmę - tak chyba się to nazywa. Ale tym, co ujęło mnie w nim najbardziej, była jego dobroć. Ledwie go poznałam, a już czułam, że jest najlepszym człowiekiem pod słońcem. Kiedy znajdowałam się w jego towarzystwie, od razu czułam się spokojnie i naturalnie, co było w

moim przypadku zupełnie niespotykane.

Zaczęliśmy rozmawiać. Pytał mnie o różne rzeczy - szkołę, Leeds, rodzinę. Powiedziałam mu prawdopodobnie więcej przez te dwadzieścia minut niż jakimkolwiek innemu dorosłemu przez całe swoje życie (z wyjątkiem mamy). W pewnym momencie podeszłam do oprawionego w ramki zdjęcia i wzięłam je do ręki. Była na nim kobieta z kręconymi włosami, obejmująca ramionami Kyle'a i małą, jasnowłosą dziewczynkę. Oczywiście domyśliłam się od razu, kto jest na zdjęciu, i osłupiałam, nie wiedząc, co powiedzieć.

Patryk podeszedł do mnie i delikatnie wyjął mi z dłoni fotografię.

- To Elizabeth, moja córka - powiedział. - I oczywiście Kyle, kilka lat temu. - Wskazał palcem blondyneczkę: - A to mała Katie - ostatnie słowa wypowiedział ciężkim, łamiącym się głosem i wszystko nagle cholera wzięła. I choć go właściwie w ogóle nie znałam, strasznie chciałam coś powiedzieć, cokolwiek, żeby to naprawić, ale nie byłam w stanie nic z siebie wykrzesać.

Na ulicy ktoś uderzał w coś młotkiem i każde uderzenie roznosiło się głośno w gorącym powietrzu popołudnia. Słuchaliśmy przez chwilę tych odgłosów, a kiedy nagle ucichły, echo ostatniego uderzenia wydawało się trwać i trwać, aż salon, ja i Patryk znaleźliśmy się gdzieś pośrodku tego dźwięku. Czy to nie śmieszne, jak jedna chwila potrafi rozciągnąć się, a potem nagle zatrzymać bez ruchu, w jakimś zawieszeniu, niepewności, by w końcu po prostu przeminąć? Czy zauważył to pan kiedyś, panie doktorze?

- Ty i Kyle jesteście dobrymi kolegami, prawda? - zapytał nagle Patryk.

Musiałam wyglądać na niezdecydowaną, ale dalej drażył temat - miękko, z ledwo dostrzegalnym szkockim akcentem, który sprawiał, że miałam ochotę położyć mu głowę na kolanach i zasnąć. Wciąż słyszę ten głos. W sennych koszmarach.

- Mam nadzieję - przerwał, szukając odpowiednich słów. - Myślę, że Kyle bardzo wiele przeszedł. - Popatrzył na mnie, jakbym chciała mu się sprzeciwić, ale nie powiedziałam nic. - Nie wiem, czy kiedykolwiek da sobie w pełni radę z tym, co się stało.

Wstrzymałam oddech i powiedziałam, niemal szeptem:

- Co się stało? Co się stało z Katie, Patryku?

Wpatrywał się we mnie, milcząc, tak długo, że pomyślałam, że palnęłam coś niepotrzebnie, że się wtrącam w czyjeś sprawy i że za chwilę zostanę wyproszona za drzwi - ból, jaki przeszył mnie na myśl o tym, że mogę zostać

wyrzucona z tego domu, był niemal nie do zniesienia. Ale on tylko wyszeptał:

- Nie wiem, moja droga. Naprawdę nie wiem.

W ciszy, jaka zapadła, dobiegło mnie ledwo słyszalne, docierające z góry skrzypienie desek podłogowych, jakby ktoś chodził tam i z powrotem po pokoju, i dyskretny dźwięk muzyki operowej - jakaś kobieta zawodziła lamentującym głosem w obcym języku, niosącym się z jakiegoś odległego pokoju, ale dźwięki te były zdominowane przez ciszę, która zapadła między nami - ciemniejszą i głębszą niż najstraszniejsza jaskinia. Patryk wciąż patrzył na fotografię i pamiętam, że okropnie zapragnęłam dotknąć jego dużej, pomarszczonej dłoni.

- Co tu się, kurwa, dzieje?

Nie mam pojęcia, jak długo Kyle stał w drzwiach, ale jego krzyk sprawił, że obydwój z Patrykiem aż podskoczyliśmy. Wpatrywał się z przerażeniem, jakby złapał mnie na kradzieży czy czymś takim. Nie byłam w stanie wykrztusić słowa na widok zmiany, jaka zaszła w nim od momentu, kiedy widziałam go ostatni raz - wyglądał jak kawał gówna: wymięty, brudny, z oczami zapadniętymi w bladej jak ściana twarzy, tłustymi włosami przylizanymi do skroni i kościstymi, prawie przezroczystymi, ale zaciśniętymi jak do uderzenia pięściami.

Zdziwiło mnie, że ktoś może wyglądać tak krucho, a jednocześnie emanować tak wielką siłą. Wiem - mówi się na to „silna osobowość” albo „indywidualność”, ale ja nie spotkałam nigdy wcześniej nikogo, kto potrafiłby swoim zjawieniem się zmienić jakieś miejsce w zupełnie inne i kto sprawiłby, właściwie bez słowa, że czułabym się tak, jak się czułam w tamtym momencie.

Stał chwilę w drzwiach, jak jakiś żałośnie chudy duch, po czym rzucił się w naszą stronę i wyrwał zdjęcie z rąk Patryka. Ten wyciągnął dłoń i dotknął jego ramienia, na co Kyle wzdrygnął się. Ale nie było w tym nic nadzwyczajnego - nie cierpiał, żeby go dotykać.

Przez chwilę Patryk nic nie mówił, patrząc z grobową miną na Kyle'a, aż w końcu spytał:

- Gdzie twoja matka, Kyle?

To było najzwyczajniejsze w świecie pytanie, ale Kyle spojrział nagle niepewnie, wyraz buntu, który pojawił się w jego oczach, zastąpiło zmieszanie. Spojrzął w górę niemal z przerażeniem. Nagle w ciszy ponownie rozległo się skrzypienie podłogi.

Staliśmy jakiś czas wszyscy troje, nasłuchując, po czym ni stąd, ni zowąd Kyle wcisnął mi w rękę swoje rodzinne zdjęcie i wymaszerował z salonu, a potem z domu, głośno zatraskując za sobą drzwi. Byłam w szoku. Spojrzałam na Patryka, nagle zakłopotana tym, że jestem sama z nim tu, w tym domu, podczas gdy Kyle'a - mojego przyjaciela w nim nie ma. Zmieszana, położyłam na miejsce fotografię i chciałam pójść za nim, ale Patryk wyciągnął rękę, powstrzymując mnie.

- Nie idź za nim, dziecko - powiedział. Nie robiłbym tego, kiedy jest w takim nastroju. - Uśmiechnął się smutno. - Lepiej zostawić go z tym samego. „Ta droga wiedzie ku szaleństwu” (William Shakespeare, Dzieła, przekład Macieja Słomczyńskiego, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1979.). - Puścił do mnie oko.

Spojrzałam na niego, nie kumając, o co chodzi.

- Król Lear - powiedział w wyjaśnieniu. - Czytujesz Szekspira, Anito?

Tak jakby istniało jakiegokolwiek tego prawdopodobieństwo.

- Nie - mruknęłam i usilnie próbowałam wymyślić coś inteligentnego, co mogłabym powiedzieć.

- Przerabiamy teraz w szkole Zabić drozda.

Nie wspomniałam, że książka leży wciąż nietknięta na dnie mojej teczki.

- Ach, tak.

Patryk obdarzył mnie swoim słodkim, pełnym smutku uśmiechem i nie wiedząc, co powiedzieć, za to wiedząc, że powinnam już sobie pójść (czułam się dziwnie nie w porządku wobec Kyle'a), uśmiechnęłam się również. Patryk zaczął grzebać w piętrzącym się w rogu pokoju stosie płyt, wyjął jedną z okładki i uruchomił staromodny gramofon, stojący na jednym z zakurzonych stołów. Po serii zgrzytów i trzasków rozległ się stary kawałek Sinatry:

Somewhere beyond the sea, Somewhere waiting for me, My lover stands on golden sands And watches the ships that go sailing.

Zawsze lubiłam tę piosenkę, mama i tata puszczała ją czasem, kiedy mieszkaliśmy w Leeds. Lubiałam w niej to, że była jednocześnie wesoła i smutna. Powinnam się była czuć głupio, kiedy staliśmy tak w ciszy i słuchaliśmy - w innej sytuacji by tak było, ale wtedy tylko myślałam sobie, jak elegancko i przystojnie wygląda Patryk - jak gwiazdor z jakiegoś starego filmu - jego gęste siwe włosy połyskiwały w promieniu światła, przedostającego się przez szczelinę w zasłonie.

Happy we'll be beyond the sea, And never again, I'll go sailing.

Kiedy piosenka się skończyła, Patryk uśmiechnął się i coś w jego zachowaniu kazało mi się domyślić, że powinnam już iść. Odprowadził mnie do drzwi i niespodziewanie oznajmił:

- W sobotę są urodziny Kyle'a. Kończy czternaście lat. Poczułam się dziwnie. Kyle nie wyglądał na kogoś,

kto obchodzi urodziny, ani nawet na kogoś w jakimkolwiek określonym wieku. Zawsze postrzegałam go jako osobę bez wieku, nie przypominał ani dziecka, ani dorosłego, tylko siebie - Kyle'a.

- Musimy wymyślić coś specjalnego - ciągnął Patryk i spróbowałam - na próżno - wyobrazić sobie Kyle'a w imprezowym stroju. Wtedy, gdy staliśmy w tamtym wielkim, ponurym korytarzu, nagle z góry dobiegł głos małej dziewczynki i poczułam, jak ciarki przechodzą mi po plecach.

- Tatusiu! - Głos brzmiał płacząco, rozdzierająco. Spojrzałam, przerażona, na Patryka.

- Gdzie jesteś, tatusiu? - Rozległo się znowu. A za chwilę: - Kyle? Jesteś tam?

Patryk odwrócił się i zawołał w stronę schodów:

- Idę, Lizzy. Tatuś już idzie!

Wtedy zrozumiałam. Głos nie należał do małej dziewczynki, tylko do matki Kyle'a. Brzmiał jak głos małej dziewczynki i Patryk zwracał się do niej jak do dziecka, ale to nie było dziecko - tylko Elizabeth, matka Kyle'a i Katie. Wszystko nagle w tym korytarzu wydało się dziwne - chore i przyprawiające o mdłości. Wymruczałam pośpieszne „do widzenia” i wyszłam.

Ta noc trwała wiecznie. Zaścieliłam łóżko tak, żeby mieć poduszkę przy oknie i móc stąd patrzeć na ulicę. Prześladowały mnie złe sny, z których budziłam się zlana potem i przerażona. Około piątej obudziłam się któryś raz z rzędu. Niebo zrobiło się fioletowe i kiedy leżałam, gapiąc się na ulicę, dojrzałam przed domem Kyle'a jakiś ruch. To był on, wracający skądś, dokąd wyruszył zeszłego popołudnia. Podniosłam firankę, żeby go lepiej widzieć. Kiedy wchodził do domu, nagle się odwrócił i miałam wrażenie, że patrzy dokładnie w moją stronę. Czy mógł mnie zobaczyć? Opuściłam szybko firankę, padłam na łóżko obok śpiących spokojnie sióstr i wlepiłam wzrok w sufit. Serce waliło mi jak szalone.

7.

Szpital New Cross. 4 września 1986. Zapis rozmowy między doktorem C. Bartonem a Anitą Naidu. Kopia policji

Ten bucik... Trzymałam go w ręce przez kilka godzin... Nie byłam w stanie go wypuścić. Zaczęła prześladować mnie myśl, że to jest najważniejsza rzecz na świecie, ważniejsza niż cokolwiek innego. Trzymałam się tego, jakby mogło mnie to ocalić, jakby to był jedyny sposób na przetrwanie. Czułam, że jak go upuszczę, TO się stanie. To głupie, wiem. Kurewsko głupie. To był tylko zwyczajny but.

Damien, Carrie, Marie Bell, dziewczyna z Egzorcysty, Jon Venables i Robert Thompson, Kyle Kite i cholerne dziecko, Rosemary. Pieprzony pawilon małych drapieżców. Cholerny zestaw nieodrośniętych od ziemi psycholi, torba - niespodzianka pełna niedorozwiniętych freaków: rozetnij i są twoi, kup dwóch, a trzeciego dostaniesz gratis.

Zbliża się 1994 rok i cyrk pod tytułem James Bulger (James Bulger - dwulatek zamordowany 12 lutego 1993 r. w Liverpoolu przez dwóch dziesięciolatków.) przeżywa apogeum. Ciągłe: „dlaczego? dlaczego? dlaczego?”, „jak? jak? jak?”, „powiesić!”, „pomścić!”, „oko za oko!”, „zero tolerancji!”. Narodowa, w dupę, żałoba. Narodowa pieprzona panika. Oglądam raporty tych gnid sprzed sądu i widzę na ich twarzach nienawiść, podobnie jak w oczach dziewczyn z mojej fabryki („Do wora, wór do jeziora!”). Panika w nagłówkach gazet i jad sączący się z telewizji. Bezsensownie narastająca kretyńska wściekłość. Tylko w jakim celu? Czy ktoś w ogóle zadał sobie takie pytanie? „Popatrzcie na własne podwórko - chciałabym im powiedzieć. - Spójrzcie na swoje pieprzone bachory”. Ale ich gniew jest niczym wobec ślepej, totalnej furii, którą odczuwam w każdej cholernej minucie od siedmiu lat - od tamtego dnia pod koniec lata, od tego dnia pod koniec wszystkiego, kiedy miałam trzynaście lat.

Czasami wpada Push. Mówiłam mu, żeby tego nie robił, i czasami nie otwieram mu drzwi, ale wciąż przychodzi, napelniając moją kawalerkę zapachem drogiego płynu po goleniu, błyskiem złotej biżuterii i fałdami kaszmirowego płaszcza. Czasem zajeżdża pod fabrykę swoim bmw („To twój facio, Anita? W porząsiu!”). Zabiera mnie na lunch i opowiada historyjki o swoim mieszkaniu w Docklands, swoich wakacjach i swoich dziewczynach, ale nigdy nie wspomina, skąd właściwie bierze na to wszystko kasę, a ja nie pytam. Nawija i nawija, wgapiiony we mnie przez cały czas, podczas gdy kelnerka gapi się na niego, a ja w stół. Mówi, że się o mnie martwi. Nie mam nic przeciwko temu, żeby przychodził, ale nie lubię, gdy ktoś za bardzo

zaburza rutynę mojego życia. Lubię robić rzeczy w określony sposób. Odmierzam swoje dni dokładnie, z precyzją.

Kiedy to się stało, mój ojciec i Janice przeprowadzili się z powrotem do Leeds (wiele bym dała, żeby zobaczyć minę cioteczki Jam, kiedy to do niej dotarło). Siostry przez jakiś czas próbowały utrzymywać ze mną kontakt, ale w końcu, gdy nie odpowiadałam na ich listy ani telefony, dały sobie spokój. Mają teraz dzieci. Nawet nie tyle dążyłam do całkowitego zerwania z nimi kontaktu, co nie mogłam znieść sposobu, w jaki na mnie patrzyły.

To przez tę krew, tak myślę. Widok, którego nie da się zapomnieć. Tak zapamiętał mnie świat - biegnącą ulicami Greenwich pewnej soboty pod koniec lata, w porze lunchu, w białym T - shircie - całym we krwi. Z krwią we włosach, na twarzy, od ramion po dłonie, nawet na nogach i stopach. Zmieszaną z błotem i piaskiem z kopalni. Przedzierałam się przez tłum turystów niosących kupione na targu farbowane narzuty na tapczan i abażury. Ludzie zatrzymywali się i gapili zszokowani moim wyglądem. Czy widział pan kiedyś taką filmową scenę? Mało prawdopodobne, prawda?

A po pogrzebach i tych wszystkich niekończących się pytaniach, wizytach na policji i przesłuchaniach, dziennikarzach i psychiatrach - kiedy w końcu odwalili się ode mnie (bez urazy), wciąż czułam na sobie te spojrzenia - choćby najbardziej ukradkowe i skrywane. Odwracane w popłochu, przerażone oczy. Dlatego poprosiłam, żeby przeniesiono mnie tutaj.

Może dlatego też byłam w stanie poczuć coś do Malcolma. On nie wie o mnie nic, lubi mnie taką, jaka jestem, tu i teraz. Czuję - nie wiem, jak to ująć, ale zaczęłam wierzyć, że jeszcze nie wszystko stracone. Że nagle pojawiła się dla mnie szansa, że jeszcze mogę coś zrobić ze swoim życiem. Że może nie muszę pozostać trzynastolatką pogrzebaną w tym koszmarze na zawsze.

Gdzie byłam?

Kiedy wyszłam od Patryka tamtego popołudnia i znalazłam się oślepiona słońcem na ulicy, powlokłam się, by usiąść na ławce w pobliskim małym parku. Po raz pierwszy od wielu tygodni na niebie pokazały się drobne chmurki i chociaż było wciąż gorąco, a park wypełniali roześmiani ludzie, muzyka z samochodowych magnetofonów i odgłosy meczu piłki nożnej rozgrywanego niedaleko, miałam uczucie, że lato zbliża się ku końcowi. Przeczynałam, że coś się kończy. Zastanawiałam się, gdzie jest Kyle i o co, do cholery, w tym wszystkim chodzi. Myślałam o tym, jak zniosę powrót do szkoły, czekający mnie za parę tygodni. I wtedy usłyszałam:

- Nit?

Podniosłam głowę i zobaczyłam Eshę i Belę. Miały na sobie obcięte jeansy i staniki od bikini, każda trzymała w ręku butelkę jabłkowego wina. Wyglądały, jakby trochę przygrzało im słońce, były zakręcone i wstawione.

Miały trawę na całym ciele, miękkie spojrzenie i zarumienione od śmiechu twarze.

- Co robisz, Nit? - spytała Esha. Klapnęły na ławce po obu moich stronach.

- Chcesz trochę? - Bela podała mi butelkę. Wzięłam kilka dużych łyków, wino było ciepłe, mdłe

i słodkie.

- Spokojnie! - zaśmiała się.

- A, pieprz to. Daj się jej urznąć, jak chce - Esha dała mi się sztachnąć swoją fajką. - Co tu porabiasz sama? Gdzie twój mały, chudy kolega?

Wzruszyłam ramionami, wzięłam macha papierosa i posłałam go dalej. Bela trąciła mnie łokciem w żebra.

- To twój chłopak, nie?

- Odwal się - powiedziałam. - Jasne, że nie.

- Ojej, tylko żartuję. - Zmierzwiała mi dłonią krótkie włosy i przypatrywała mi się przez chwilę. - Zrobić ci makijaż, Nit, chcesz? - zapytała z nadzieją.

Służyłam moim siostram jako modelka żywcem z dziewczynskiego pisemka, odkąd tylko pamiętam. Ale to było już jakiś czas temu - przed śmiercią mamy. Przeżywałam koszmary, kiedy polowały na mnie ze swoimi kosmetykami, błyskotkami i farbami do włosów w szaleńczych kolorach, jednak od jakiegoś czasu zaczęłam odczuwać nawet coś na kształt tęsknoty za tym wszystkim.

- Nie - mruknęłam jednak. - Wszystko porządku.

Wtedy wstały i od razu zaczęły gadać, w co ubiorą się na dzisiejszy wieczorny obchód po knajpach. Nagle poczułam, że nie chcę, żeby odchodziły. Zapragnęłam posiedzieć tu jeszcze trochę z moimi siostrami, pachnącymi dezodorantem Impuls, w towarzystwie skoszonej trawy, taniego wina i niedopałków połyskujących w słońcu. Więc powiedziałam im o tacie i Janice. Nie zrobiłam tego celowo, jakoś tak mi się wymasknęło. Powiedziałam, że widziałam ich, jak robili „to”, i poczułam się zakłopotana. Czy powinnam powiedzieć, że się „pieprzyli”? A może „rznąli”?

Siostry patrzyły na mnie z rozdziawionymi ustami, w końcu zaczęły zginać się ze śmiechu.

- Neeeeeeeeeeee!!!

- Stary cap! - chichrały się. Nie wyglądały na przejęte tą wiadomością, poszły jakby nigdy nic w stronę domu, wciąż chichocząc, z butelkami w ręku, zostawiwszy mnie samą na ławce. Poczułam się jak kretyńka.

Janice zaczęła bywać w naszym domu od rana do wieczora, można powiedzieć, że się do nas wprowadziła. Za każdym razem, kiedy na nią spojrzałam, czułam coś w rodzaju wzbierających mdłości. Brzydził mnie widok jej sflaczałego brzucha, jej głośny śmiech, sposób, w jaki jadła - napychając sobie wszystko naraz do gęby i obcierając ręce w bluzkę. Nienawidziłam jej ogromnych cycków i spoconych, zarośniętych rudymi włosami pach. Bekąła, śmiała się i mówiła za głośno, pochłaniając sobą zbyt dużo miejsca. Zwracała na siebie uwagę na siłę, czego nie mogłam ścierpieć. Posiadałam pewną cechę, którą dzieliłam z Kyle'em - i on, i ja nie mogliśmy znieść ludzi OBLEŚNYCH. Wie pan, o co mi chodzi? Widziałam w sposobie, w jaki Kyle patrzył czasami na Denisa - jak gapił się na jego tłuste ciało - podskakujące, gdy ten biegł, i jak reagował na dźwięk odgłosów mlaskania, które Denis wydawał przy jedzeniu. Przyuważyłam ten wyraz oczu Kyle'a - trochę jakby było mu niedobrze.

I, podobnie jak ja, Kyle nie znośli być dotykany. Przez nikogo - w tym znaczeniu. Raz, gdy przez pomyłkę otarłam się o niego dłonią, odskoczył jak oparzony. To zabawne, bo miałam to samo. Pod niektórymi względami on i ja byliśmy bardzo do siebie podobni.

Kilka dni później znowu wybraliśmy się razem nad rzekę. Kyle nie wspominał nic na temat tego, co wydarzyło się w jego domu, więc ja także nic nie mówiłam. Poszliśmy do tej fabryki, gdzie znajdowała się kryjówka, a potem na jedno z wielkich złomowisk. Uwielbialiśmy tam chodzić. Stosy samochodów poukładanych jeden na drugim w najróżniejszych pozycjach pieprzenia. I góry poskręcane żelastwa - wszystko w wyblakłych kolorach, pokryte warstwą rdzy - naprawdę cool.

Nie było trudno się tam dostać, kiedy nikt nie kręcił się w pobliżu - wystarczyło przeleźć przez dziurę w drucianym ogrodzeniu, ale często zdarzali się faceci spacerujący z psami, którzy dostawali piany na sam widok nas szwendających się za płotem, i wtedy nie było gadania, musieliśmy wymyślać inne sposoby.

Ale tego dnia nie było nikogo. Znaleźliśmy otwartego mercedesa i wsiedliśmy do środka, Kyle przy kierownicy, ja obok niego, a Denis z tyłu. W

oknach tkwiły resztki szyb, a skóra na siedzeniach była podarta, z głębokich dziur wylewała się żółta gąbka. Jedliśmy musujące landrynki z torebki, którą przyniósł Denis, ssaliśmy je aż do stanu, kiedy nasze wargi były niemal całe pocięte, aż mogliśmy wydmuchiwać przez szpary musujące gluty. Kyle i ja celowaliśmy w pogruchotaną przednią szybę.

Na tylnym siedzeniu Denis rozmawiał sam ze sobą, recytując dialogi z Drużyny A na głosy i robiąc przy tym miny. Przynudzał bez końca, nadając w dusznym upale z tylnego siedzenia. Najpierw robił za Murdocka:

- Powiedźcie, czyż nie jesteśmy grupą zajebistych gości? - Potem odpowiadał sobie głosem Mr. T: - Znowu najadłeś się kwasu?

I tak dalej, i tak dalej, przysięgam, że znał każdy fragment słowa w słowo. W końcu Kyle odwrócił się do niego i powiedział:

- Przestań zachowywać się jak debil, Denis.

- Cholerny świr - powiedział Denis cicho.

- Nedorozwój - powiedział Kyle. Rozmawialiśmy o zamku stojącym niedaleko parku Greenwich, w którym, jak twierdził Kyle, znajdował się w podziemiach sekretny bunkier.

- Chcę iść z tobą - powiedziałam nagle. - Chcę iść tam z tobą, możemy pójść kiedyś w nocy.

Powiedziałam to ot tak, po prostu. Bez owijania w bawełnę. A on tylko wzruszył ramionami i odpowiedział:

- Dobra.

Strasznie było tam gorąco, w tym samochodzie. Brzęcząca ospale mucha wlatywała i wylatywała przez okno, uporczywie przysiadając na głowie Denisa. Za każdym razem, gdy ją odganiał, odlatywała ciężko na chwilę, by zaraz ponownie wylądować na jego dużym, spoconym policzku, uchu albo okularach. Odpędzał ją przez cały czas, w kółko, wcinając przy tym landrynki. Z zapachu, z jakim je pochłaniał, można było wywnioskować, że wciąż odgrywa po cichu, w głowie, sceny z Drużyny A.

Wtedy usłyszeliśmy ich głosy. Dwóch gości rozmawiało głośno ze sobą, o coś się kłócąc. Brzmiało to tak, jakby znajdowali się po drugiej stronie samochodowej sterty. Zanurkowaliśmy w głąb auta i czekaliśmy, co się stanie. Głosy przybliżyły się. Podniosłam się do okna i ujrzałam dwóch facetów stojących niecałe pięćdziesiąt metrów od nas. Mieli ze sobą największego dobermana, jakiego kiedykolwiek widziałam na oczy.

- Cholera - powiedziałam do pozostałych. - Mają pieprzonego psa.

Doberman zaczął szczekać i wyrywać się ze smyczy, wściekle kłapiąc szczęką, błyskając ślepiami i napinając mięśnie. Patrzył prosto w stronę naszego merca. Tamci wciąż nie zwracali na nas uwagi.

- Cholera! Cholera! Cholera! - powtarzałam. Wie, że tu jesteśmy.

Usłyszeliśmy, jak jeden z nich powiedział:

- Zamknij się, Tiffany, ty hałaśliwa suko! - i dalej wyklócał się ze swoim kumplem.

- Musimy spadać - rzucił Kyle.

Popatrzyliśmy w stronę dziury w płocie, na szczęście znajdującej się niedaleko, po przeciwnej stronie niż pies i ci faceci.

Przestali się kłócić. Usłyszeliśmy, jak jeden z nich mówi:

- Chodź, zrobimy szybki obchód i skoczymy na browca.

Jak tylko odeszli kawałek i zniknęli za składem złomu, Kyle i Denis otworzyli drzwi, wysunęli się pochyleni z samochodu i za moment pędzili w kierunku drucianego płotu. Ja właśnie przedostawałam się na sąsiednie siedzenie i miałam zamiar do nich dołączyć, gdy nagle pies pojawił się z powrotem. Był spuszczonej ze smyczy i biegł dysząc za Kyle'em - czarna, lśniąca, zmarszczona, ujadająca masa kłów, śliny i mięśni. Kyle miał jeszcze spory kawałek do płotu, a pies był już tuż za nim, prawie chwycił go zębami za kostkę. Wtedy nawet nie zastanowiwszy się przez chwilę, wypadłam z samochodu, zagwizdałam na psa i wrzasnęłam z całej siły:

- TIFFANY!

Pies zahamował nagle jak Scooby Doo i stanął, oglądając się to na mnie, to na Kyle'a, z wyrazem całkowitej dezorientacji w oczach.

- Tiffany! Tutaj, malutka! - wrzasnęłam, desperacko uderzając dłońmi o kolana jak kretyńka, podczas gdy Kyle rzucił się w stronę dziury w ogrodzeniu.

Wtedy suka zwróciła się w moją stronę. Na widok jak się napęza i gotuje do skoku, rozdziawia gigantyczną paszczę i zaczyna dziko, szaleńczo ujadać, o mało co nie poddałam się i nie padłam na ziemię skulona, czekając, aż rozedrze mnie na strzępy. Jednak wzięłam się w garść i pobiegłam co sił w nogach - dookoła samochodu, a potem przed siebie, w kierunku płotu. Pchana strachem, dopadłam go w jednej sekundzie i przeskoczyłam, rozdierając sobie rękę o sterczący kawał drutu. Słyszałam, jak ci faceci wydzielali się wściekle gdzieś za mną.

Rzuciliśmy się w trójkę do ucieczki i biegliśmy, aż znaleźliśmy się z powrotem w naszej kryjówce. Wybuchnęliśmy śmiechem nie do opanowania.

- Lubię, kiedy plan wypala - powiedział Denis z zadowoleniem głosem Hannibala z Drużyny A.

Kyle przestał się śmiać, chwytając oddech, z utkwionym we mnie wzrokiem.

- Kurna, Anita! - powiedział, a ja poczułam się onieśmielona sposobem, w jaki na mnie patrzył. Cały jego podziw był przeznaczony dla mnie, tylko dla mnie.

Roześmialiśmy się obydwój, a ja spojrzałam skromnie w ziemię, starając się nie okazywać zadowolenia.

- Dzięki - powiedział Kyle, a ja czułam wciąż na sobie jego wzrok. - Mało brakowało, a zmieniłbym się w psie żarcie.

Powiedział to miękkim, łagodnym głosem i kiedy spojrzałam na niego, nie odwrócił wzroku, po czym, po chwili, schylił się i - ku mojemu totalnemu zaskoczeniu - wziął mnie za rękę i zaczął oglądać moją ranę. Ledwo byłam w stanie oddychać. Patrzył, zmarszczywszy brwi, nagle szybko puścił moją dłoń i rzucił z lekceważeniem:

- Przeżyjesz.

Ledwo stałam na nogach, gapiąc się tępo na swoje ramię, podczas gdy Kyle i Denis odeszli na bok, gadając już o czymś innym.

Siedzieliśmy jeszcze jakiś czas w kryjówce, rozmawiając o bunkrze w zamku, snując plany, kiedy się tam wybierzemy. Potem powlekliśmy się nad rzekę, gdzie usiedliśmy w milczeniu, patrząc na dzieciaki grające w piłkę poniżej nad brzegiem. W końcu Kyle spytał Denisa, która godzina. Denis miał cyfrowy zegarek Casio, który dostał na urodziny od swego wujka Richarda. Uwielbiał ten zegarek i szalał z radości, gdy ktoś spytał go o godzinę. Ale wtedy nie odpowiedział. Wpatrywał się tępo w drużynę mrówek maszerujących gęsiego po patyczku od lodu, leżącym pod jego nogami, i przestał istnieć dla świata.

- Denis - powtórzył Kyle. 'Nic.

- Denis! - powiedział jeszcze raz, głośniejszym głosem.

Nic.

- Denis!!

Nic.

- DENIS!!!

Nic.

- DENIS, TY NIEDOROZWOJU!!!

Nic.

W końcu Kyle podniósł z ziemi pustą puszkę po napoju Lilt i cisnął ją w głowę Denisa. Odbiła się od jego starannie przystrzyżonego afro i wtedy Denis przebudził się z wolna, patrząc zdziwionym wzrokiem.

- Kto, ja? - spytał zdumiony.

- Nie! - wrzasnął Kyle, nagle tak głośno, że jego normalnie cichy głos aż zachryplł i oboje z Denisem podskoczyliśmy gwałtownie. - Inny popierdzielony daun o imieniu Denis siedzi na tej ławce.

Zwykle kredowobiała twarz Kyle'a stała się czerwona, jego oczy kipiały gniewem, który nagle pojawił się znikąd, aż zaczęłam się nerwowo chichrać, podczas gdy Denis rozglądał się powoli raz w jedną, raz w drugą stronę, z zakłopotanym wyrazem na swej wielkiej księżycowej twarzy.

- Jezus kurwa, Denis! - Kyle walnął pięścią w ławkę z irytacją. - Jesteś czasami popierdoloną głupią cipą!

Denis patrzył w ziemię, przyglądając się swoim tenisówkom, gdy Kyle egzaminował go od stóp do głów, z obrzydzeniem na twarzy.

- Przyjrzyj się sobie, w jakim jesteś pierdolonym stanie!

Kyle sięgnął nad moją głowę i zdzielił Denisa w czoło. Ten cały czas gapił się w swoje tenisówki. Zamarłam, patrząc prosto przed siebie, prawie bez oddechu. Bałam się, że Kyle będzie chciał wyżyć się także na mnie. Wstał i podszedł do Denisa, który wciąż gapił się w swoje tenisówki. Pocałował pięść i uderzył go znowu. Tym razem silniej.

- Chodź, tłusciochu - niemal wyśpiewał. - Czy coś się stało? Czy malusi mamusiny worek smalcu będzie płakuniał?

Patrzyłam na Denisa kątem oka. Widziałam, że łzy napływają mu do oczu. Wciąż patrzyłam prosto przed siebie, zbyt srajac ze strachu, żeby coś powiedzieć. Na koniec Kyle westchnął, spojrział na nas oboje i pokręcił głową.

- Ludzie - powiedział - po jakiego pieprzonego diabła ja marnuję z wami swój czas?

I poszedł sobie.

Denis i ja zostaliśmy razem na ławce jeszcze jakiś czas, nie mogąc spojrzeć sobie w oczy. W końcu wzruszyliśmy ramionami, wstaliśmy i poszliśmy za nim. Tak właśnie było z Kyle'em. W jednej chwili tryskał radością, a za moment z jakiegoś powodu dostawał kompletnego zajoba. Taki był.

Słońce zaczęło zachodzić i brzegi wydłużały się w świetle zmierzchu, podgryzane przez cofające się fale. Jak co wieczór o tej porze świry z detektorami metalu wyłaniały się w mroku znikąd, dreptając po zwałach mułu jak kraby, w gumiakach na nogach, ich maszyny wyły, a szare sylwetki kontrastowały z dogorywającym świńskoróżowym światłem. Tylko gazownia była złota, połyskująca w oddali słoneczną poświatą w zakolu rzeki. Stanęliśmy oparci o balustradę, obserwując łowców skarbów z nienawiścią. Było coś strasznie irytującego w tej armii idiotów dokonujących inwazji na naszą plażę, grzebiących się w tym gnoju i syfie w poszukiwaniu nie wiadomo czego. Jakiejś pięknej błyskotki, czegoś ważnego i wartościowego? „Walcie się - wołaliśmy po cichu - ja, Denis i Kyle. - Walcie się, i tak nic tam nie znajdziecie!”

Kiedy tak staliśmy i gapiliśmy się, Kyle nagle odezwał się - obojętnie, ze złością, nie patrząc w naszą stronę:

- Mój dziadek chce, żebyście przyszli oboje w przyszłą sobotę.

Przypomniałam sobie wtedy, co mówił Patryk.

- Na twoje urodziny!

Nie patrząc na mnie, bąknął:

- Taa.

Po czym odwrócił się i poszedł w stronę przystanku autobusowego. Przez całą drogę do domu nie powiedział ani słowa.

8.

To było bezchmurne i bezwietrzne lato. Czas rozmiękłego asfaltu i cuchnących pojemników na śmieci, lodów na patyku po pięć pensów i dzieciaków szalejących na trawnikach przed domem pośród zraszaczy. Lato suszy, błyszczących jezdni i długich czarnych cieni. Słońce uderzało w ziemię bez wytchnienia, każdego dnia z tą samą siłą. Jedyne Kyle wprowadzał w to wszystko jakąś odmianę, nadawał naszym dniom jakiś kształt.

Mijał dzień za dniem, a my włóczyliśmy się i nieźle nam szło. I kiedy było z nim wszystko w porządku, kiedy nawijał o jaskiniach, wymyślając różne rzeczy, które wspólnie robiliśmy, wtedy, tak jak mówiłam, to były najfajniejsze chwile mojego życia. Pamiętam, jak kiedyś poszliśmy na Point Hill. Słońce zaczynało zachodzić, cienie drzew robiły się coraz dłuższe w ostatnich promieniach światła, jak fale przyływu. Leżeliśmy na plecach, patrząc w niebo.

- Kiedy będę dorosły - powiedział nagle Kyle - zamierzam zwiedzić cały świat. Objadę wszystkie kraje. Pojadę na Borneo i do Indii, i odkryję jaskinie i podziemne miejsca, w których nikt jeszcze nigdy nie był.

Przewróciłam się na bok, oparłam podbródek o dłoń i patrzyłam, jak mówi. Wieczór nad Londynem był cichy i pachnący, a Denis i Kyle wyglądali pod rozświetlonym niebem bardziej wyraziście, bardziej realnie niż zazwyczaj.

Czy zwrócił pan kiedyś uwagę, panie doktorze, jak to się dzieje? W lecie o zmroku, kiedy światło staje się smutne i niewyraźne - jak przedmioty i ludzie wychodzą na pierwszy plan i na tle blednącego, dogorywającego światła stają się wyraźniejsze i prawdziwsze? Tak stało się tego wieczoru z moimi przyjaciółmi. Leżałam na plecach i wyobrażałam sobie Kyle'a na Borneo albo w Indiach, jak odkrywa jaskinie, jak dokopuje się dzielnie aż do wnętrza ziemi, a jedynym światłem, które go prowadzi, jest górnicza lampka przy jego kasku.

- Kiedy ja będę dorosły - powiedział Denis - pojadę do Afryki odnaleźć mojego tatę. Będę mu pomagał głosić Słowo Boże.

Milczeliśmy przez chwilę.

- Albo to - Denis podjął temat za chwilę - albo praca w cukierni.

- A ty? - zapytał mnie Kyle. - Co będziesz robić, jak dorośniesz?

Leżałam między nimi, Kyle po mojej lewej stronie, Denis po prawej, i myślałam, jak bardzo nie chcę, żeby to lato się skończyło, jak bardzo się boję

tej chwili, kiedy się skończy. Samolot znaczył nad nami złoty ślad.

- Nie wiem - powiedziałam. - Naprawdę nie wiem.

Ale były też mroczne dni, kiedy Kyle chodził zamyślony, zagapiony w dal, czepiając się ni stąd, ni zowąd to Denisa, to mnie. Zdarzało się też, że ledwo co się odzywał, i tylko chodziliśmy za nim z Denisem jak cielęta albo rozmawialiśmy ze sobą stłamszeni, niepewni siebie, czekając, aż się otrząśnie i wszystko wróci do normy.

Słynny Dzień Świra, poprzedzający Noc Kopalni, był szczególnie fatalny. Obudziłam się rano zgrzana i zlana potem z koszmarne snu, w którym miałam siedem lat - snu o sekretach i złych rzeczach, o mojej zapłakanej mamie i o tym, jak budzę się na zmoczonym prześcieradle. W chwili, gdy zobaczyłam Kyle'a przed swoimi drzwiami, serce podeszło mi do gardła. Można było na odległość wyczuć, w jak gównianym jest nastroju, niemal otaczała go ciemna aura - przeciwnie niż dzieciaka z opakowania Ready Breka (Ready Brek - płatki owsiane, produkowane w Anglii. Na jednym z opakowań znajduje się postać otoczona jasną poświatą, mającą symbolizować zdrowie i dobre samopoczucie.).

Wstąpiliśmy po Denisa i poszliśmy nad rzekę. Nawet on był tego dnia milczący pod wpływem podłego nastroju Kyle'a - atmosfera była taka jak na chińskich torturach i tylko czekaliśmy, jaki obrót sprawy mogą jeszcze przybrać. Na brzegu znaleźliśmy martwego szczura.

- Pewnie utonął rzekł Kyle, kopiąc go, a my staliśmy i patrzyliśmy przez chwilę na jego nieprzytomne oczy i zaciśnięte wargi. Ale zaraz Denis zauważył tego narąbanego świra, siedzącego poniżej, przy moło, więc zostawiliśmy szczura i podeszliśmy bliżej.

Usiedliśmy w trójkę kilka ławek od niego, a Denis podzielił się z nami kanapkami, które przygotowała mu rano mama. Lump był zalany, wyklócał się i awanturował sam ze sobą, zapluwając się i oblewając winem potargane ubranie. Nawet z tak sporej odległości czuć było, jak śmierdzi. Denis przeżuwał swoje kromki i wpatrywał się z przejęciem w starucha. Tak go to bawiło, że w pewnym momencie wybuchnął śmiechem, ale zaraz zamknął się, jakby wleciała mu do ust mucha, kiedy włóczęga odwrócił się i spojrzał na niego.

- Dajże mi, synu, takom bułkę - powiedział.

Przerażony Denis ścisnął swoją kanapkę. Ja też połknęłam natychmiast swoją i świr nazwał nas parą cip. Zwrócił się wtedy do Kyle'a.

- Hej, synku - wyszczerzył paskudną gębę. w przymilnym uśmiechu. -

Nie jadłem nic od wczoraj. Dałbyś staremu człowiekowi trochę tego żarcia.

Kyle utkwiał w nim ponure, nieruchome spojrzenie, niczym martwy szczur, aż menel zamilkł i wbił wzrok w ziemię. Za chwilę odezwał się, niespodziewanie wyraźnie jak normalny, trzeźwy człowiek:

- Będiesz kiedyś taki sam jak ja, zasrany gnoju.

Natychmiast poczułam, jak Kyle, siedzący przy mnie na ławce, spina się, i wstrzymałam oddech. Podał mi swoją zjedzoną do połowy kanapkę.

- Trzymaj i nie zjedz - nakazał, wstając, a ja zamarłam na widok wyrazu jego oczu. - Zaraz jestem z powrotem.

Czekaliśmy na niego całe wieki. Nasza ławka stała w słońcu i zaczęło mi być okropnie gorąco. Rozboliła mnie głowa. Denis patrzył tęsknie na kanapkę, ale oboje wiedzieliśmy dobrze, że lepiej jej nie ruszać. Menel zrobił jeszcze do nas kilka min, ale wkrótce dał sobie spokój. Zaczął śpiewać pod nosem coś, czego słowa były zbyt bełkotliwe i pochrzanione, żeby mogły mieć jakiś sens. Wreszcie wrócił Kyle, dźwigając niebieski plastikowy worek.

- Dobra - powiedział, kucając za naszą ławką. - Dawać bułę!

Podałam mu kanapkę. Wyjął z worka zdechłego szczura i butelkę wybielacza do tkanin w proszku. Patrzyliśmy z Denisem, jak zdejmuje górę kanapki, a kluczem do drzwi rozpruwa zwierzę na pół.

- Łee - powiedzieliśmy jednocześnie ja i Denis.

Szczur cuchnął. Używając klucza, Kyle wydłubał część z jego wnętrzości - czerwonych, czarnych i zielonych mokrych grud, jelit i chrząstek, i włożył to do kanapki, między szynkę i ser.

- Wygląda smakowicie - wyszczerzył się od ucha do ucha.

Posypał wszystko wybielaczem do tkanin i połączył ze sobą obie kromki. Nie wyglądało to zbyt apetycznie, ale bezdomny był załany. I głodny.

- Kyle - powiedziałam. - Chyba żartujesz.

Ale nie zwrócił na mnie uwagi. Mogłam pewnie próbować jakoś go powstrzymać, ostrzec tego włóczęgę czy coś, ale nie zrobiłam nic z tych rzeczy, tylko patrzyłam. Być może chciałam zobaczyć, czy naprawdę to zrobi.

Kyle podszedł do gościa, pochylił się nad nim i powiedział coś, czego nie usłyszałam, a potem - ze skruszoną miną - podał mu kanapkę. Bezdomny pokiwał głową, po czym podniósł chleb do ust.

- Zrób coś - wyszeptałam - do Denisa, do samej siebie.

Czas zdawał się stać w miejscu. Włóczęga otworzył usta.

- NIEEEEEEEEEEEEEEEEE!!!

To był Denis. Pocwałował w ich stronę, z rękami ułożonymi na kształt karabinu. Wykonał coś w rodzaju padu na ziemię i przeturlał się nieporadnie, udając snajpera pod ostrzałem, i wyskoczył w górę przed menelem, mierząc w niego z niewidzialnej broni.

- Rzuć chleb, frajerze!!! - powiedział głosem Mr. T. Lump gapił się na niego przez chwilę, po czym rzucił: - Spierdalaj! - i włożył sobie kanapkę do ust.

- Aaaaah - sol - Denis ciosem karate wytrącił kanapkę z rąk starucha.

I cała nasza czwórka zagapiła się na walające się po całym chodniku trójkątne kawałki chleba, szczurze wnętrzności, szynkę, ser i sproszkowany preparat.

- Ja cię pierdolę! - zawołał tramp.

Wróciliśmy na naszą ławkę. Denis przerażony, Kyle biały na twarzy i trzęsący się ze złości.

- Mogłeś go zabić - powiedziałam.

- Gówno prawda - odrzekł. - Lepiej byłoby zresztą dla niego, gdyby zdechł. Wyciągnął rękę w kierunku cuchnącego kłębowiska długiej brody, zaszczypanych szmat, wystających kości i butelki wina, wciąż tkwiącego kilka ławek od nas. - Popatrz na niego! POPATRZ! Lepiej byłoby dla niego, gdyby zdechł.

- Nie możesz tak robić, Kyle. Pójdiesz do więzienia - powiedziałam. - Pójdiesz do więzienia i ja, ja... - I CO JA WTEDY ZROBIĘ? - o mały włos mi się nie wyrwało.

Przerwał mi, pogardliwie i ze złością:

- Nie rób z siebie idiotki! To by go nie zabiło, najwyżej by się trochę źle poczuł. Poza tym w ogóle tego, kurwa, nie zjadł, nie?! Więc przestań łaskawie się mazać.

- Nie płaczę - ta zniewaga mocno mnie dotknęła.

Kyle wzruszył ramionami. Na Denisa nawet nie spojrział. Obrócił się na pięcie, zostawił nas i poszedł z powrotem w stronę Greenwich. I jak zwykle Denis i ja pośpieszyliśmy za nim.

Tej nocy odkryłam dawną kopalnię piasku. Zupełnie przez przypadek.

Jak na ironię, prawda? To była dla Kyle'a najważniejsza rzecz na świecie, coś, na co polowaliśmy przez całe lato, i to właśnie ja - dosłownie w nią wlażłam.

Ta noc była zbyt gorąca, żeby spać, i kiedy leżałam w łóżku, dojrzywał we mnie pomysł, by wyjść na zwiady. Kyle mógł, więc dlaczego niby ja nie? Poza tym myślałam, że to zrobiłoby na nim wrażenie. Było nawet prawdopodobne, że spotkam go gdzieś nad rzeką. Wtedy mógłby zabrać mnie ze sobą, gdziekolwiek chodzi. Tylko on i ja. A jeśli nawet go nie spotkam, będę mogła mu o tym opowiedzieć i może to go przekona, by zabrać mnie ze sobą następnym razem, na kolejną nocną wyprawę.

Wyglądało to na niezły plan, ale leżąc tak w ciepłym łóżku, poczułam nagle strach na myśl o samotnej wędrowce przez puste, ciemne ulice. Musiałam zapaść w sen, bo nagle przebudziłam się z niejasnym wspomnieniem trzaskających gdzieś obok drzwi. Uniosłam firankę i wyjrzałam przez okno. Ujrzałam Kyle'a stojącego w mętym, żółtym świetle latarni.

Ubrałam się po ciemku i po sekundzie byłam na zewnątrz, ale to wystarczyło, żeby zdążył rozplynać się w powietrzu. Zawahałam się, rozważając powrót do łóżka, ale powietrze było chłodne i pachnące, i zanim się dobrze zastanowiłam, już szłam w kierunku Greenwich. W drodze do Deptford nie ujrzałam żywej duszy, pamiętam tylko światła samochodów pojawiające się i ginące w świetle księżyca jak duchy, i rozjechanego przy drodze kota.

Kiedy dotarłam do brzegu rzeki, stanęłam przy balustradzie, patrząc na wodę, której poziom podniósł się tak wysoko, że niemal sięgał moich stóp. Za moimi plecami wyłaniał się z ciemności biały kamienny gmach Naval College, oświetlony mdłym zielonym blaskiem. Poczułam się dziwnie, stojąc tu sama, i podniecenie wywołane przecuciem nowej przygody nagle gdzieś ulotniło. Wyobraziłam sobie, że jestem jedyną osobą na ziemi, i na myśl o tym ogarnęło mnie lekkie przerażenie. Czarne fale pluskały pode mną i zapragnęłam znaleźć się z powrotem w domu, w swoim łóżku. Zastanawiałam się, gdzie może być teraz Kyle, ale choć chciałam go zobaczyć, jednocześnie drżałam ze strachu na myśl, jak wyłania się nagle, niespodziewanie z ciemności i na najłżejszy dźwięk nieruchomiałam i rozglądałam z przerażeniem.

Po jakimś czasie niebo rozjaśniło się i poczułam przyływ odwagi. Postanowiłam pójść dalej brzegiem w kierunku naszej kryjówki i zobaczyć, czy jest w niej Kyle. Zanim zdążyłam tam dotrzeć, rzeka zmieniła barwę na

złoto - fioletową, a fabrykę i jej teren załało morze czerwieni. Otrzeźwiałam nagle i nie znalazłszy nikogo w okolicy, zdecydowałam się iść dalej.

Szłam przez opuszczone pola i puste działki, pełne krzaków z białymi kwiatami, które w rozgrzanym powietrzu zaczęły wydzielać słodko - kwaśny piżmowy zapach. Minęłam gazownię, przeszłam przez opuszczony parking, aż doszłam do złomowiska. Nie tego, na które włamaliśmy się poprzednio, ale takiego jednego, o którym pamiętałam, jak Kyle mówił, że nie ma po co tam iść, bo jest o każdej porze strzeżone przez strażników z psami. Pomyślałam, jak będzie cool opowiadać mu później, że tu byłam, że miałam tyle odwagi, ryzykując spotkanie z psami strażników w środku nocy. Sama jedna.

Złomowisko otaczał wysoki parkan z płyty pilśniowej i falistej blachy, zakończonej drutem kolczastym. Szłam wzdłuż niego, szukając miejsca, przez które mogłabym się przedostać. Wreszcie znalazłam dziurę, którą ktoś próbował nieskutecznie zalutować cienkim drutem i zasłonić deskami, i wśliznęłam się przez nią do środka. Przechodziliśmy obok tego miejsca setki razy - były tam wtedy góry samochodów oraz innego złomu, wyrastające znad ogrodzenia i słychać było krzyki strażników i porykiwania Radia One, ale w tamtej chwili okazało się, że plac jest właściwie zupełnie pusty. Wyniesiono stamtąd wszystko, a my nawet o tym nie wiedzieliśmy.

Miejsce okazało się ogromne. Ostatni stos samochodów pozostał w jego odległym kącie, ale oprócz tego był to pusty kawał ziemi z nielicznymi rozrzuconymi tu i tam oponami samochodowymi, puszkami po piwie i porzuconym ręcznie namalowanym szyldem, obwieszczającym: ZERO CZEKÓW, ZERO KREDYTÓW, ZERO MARNOWANIA CZASU NA ROZMOWY Z KRETYNAMI. Poczulałam się bosko. Byłam tak odważna, by się włamać w to miejsce, a tu okazuje się, że to w ogóle nie było niebezpieczne! Wyobraziłam sobie, jak któregoś dnia mówię do Kyle'a od niechcienia: „A, tamto duże złomowisko za gazownią? Wiem, które - byłam tam kiedyś w nocy, gdzieś tak koło czwartej, nic tam teraz nie ma”. Jak gdybym wychodziła zwyczajnie co noc na takie poszukiwania. Nawet Kyle byłby pod wrażeniem czegoś takiego.

Usiadłam na oponie samochodowej i patrzyłam na pusty plac, przechodzący z czerwieni w pomarańcz, a potem w żółć, kiedy dzień nabierał mocy. To wtedy ujrzałam hałdę ziemi i śmieci przy ogrodzeniu na drugim końcu placu. Kiedy podeszłam, zdałam sobie sprawę, że to trochę dziwne - wyrastający ni z gruchy, ni z pietruchy kopiec, podczas gdy dookoła było zupełnie płasko. W jednym miejscu u dołu falistej blachy ujrzałam belkę, podpierającą od góry dużą pilśniową deskę. Wyciągnęłam belkę i,

podniósłszy deskę, znalazłam za nią spory otwór. Nie wpadłam od razu na to, co to może być, myśląc, że w jakimś celu dziurę wykopali złomiarze. Potem jednak zjrzałam do środka i poczułam zimną wilgotną ciemność. I zauważyłam, że grunt wewnątrz obniża się i prowadzi schodami w głąb ziemi - że to jest wejście do czegoś w rodzaju jaskini.

Boże, jaka byłam podekscytowana! Odnalazłam kopalnię piasku Kyle'a, te, o których tyle zawsze nawijał, byłam pewna, że to jest właśnie to. Czułam się rozdarta pomiędzy pragnieniem, by wejść tam natychmiast, a gównianym strachem przed zrobieniem tego bez światła. Zastanawiałam się przez chwilę, wreszcie postanowiłam wrócić do kryjówki po latarkę Kyle'a. Zanurkowałam w rozpadającej się metalowej skrzynce, grzebiąc w jego książkach, linach i scyzorykach, w końcu natrafiłam na latarkę i wyjęłam ją. Zanim jednak zatrzasnęłam wieko, zobaczyłam coś, co mnie zastanowiło. Szmaciana lalka, a pod nią mały dziewczęcy różowy bucik. Od razu domyśliłam się, że musiały należeć do Katie, i uznałam, że Kyle chciał zachować je z jakiegoś powodu, ale nie zastanawiałam się nad tym. Zmieszana, z poczuciem czegoś w rodzaju winy i jednocześnie podniecona faktem, że odkryłam sekret Kyle'a, zamknęłam wieko i opuściłam kryjówkę.

Pobiegłam z powrotem tą samą drogą. Wciąż nikogo tam nie było, co mnie cieszyło - martwiłam się, że mogę wpaść na Kyle'a, a nie chciałam, żeby dowiedział się od razu o kopalni - miałam zamiar zbadać ją pierwsza, by potem zaimponować mu jeszcze bardziej.

Nie mogłam uwierzyć, jak zwyczajnie puste złomowisko wygląda w świetle dnia - nikt by nie wpadł, co może kryć się pod nim. Skierowałam światło latarki w głąb otworu i zapragnęłam nagle, by byli tu ze mną Kyle i Denis. Ostatecznie wzięłam głęboki oddech i, podpierając się na rękach i tyłku, pokonałam odległość jakichś czterdziestu kroków.

Ktoś mógłby pomyśleć, że horror późniejszych wydarzeń przyćmił wspomnienie mojego pierwszego pobytu w tym miejscu. Ale to nieprawda. Nigdy nie zapomnę tego koszmarne pierwszego razu, nigdy. Im dalej schodziłam, tym stawało się potworniej. Nie jestem klaustrofobiczką i nigdy nie bałam się ciemności, ale nagle zaczęło mi się robić niedobrze i poczułam potworny niepokój, miałam uczucie, jakby coś ugniatało moją klatkę piersiową. Doznałam nagłego i zdecydowanego uczucia, że dłużej tego nie zniosę, i każdy nerw mojego ciała nakazywał mi wydostać się stąd i wracać do światła. Ale nie mogłam. To była kopalnia piasku, marzenie Kyle'a, a ja odnalazłam ją pierwsza. Więc nakazałam sobie wziąć się w garść i dalej opuszczałam się w głąb.

W końcu trafiłam do komory wielkości autobusowej wiaty. Ściany były bładożółte, w dotyku suche i twarde, ale o specyficznej sypkiej konsystencji. Piasek. Światło mojej latarki wydobyło z ciemności łukowate sklepienie. Nagły chłód przeniknął mnie na wskroś i zatęskniłam gwałtownie za ciepłym, świeżym powietrzem. Pachniało czymś niewyraźnie cierpkim - jakby w powietrzu rozprzestrzenił się jakiś kwas.

Omiatając ściany latarką, zauważyłam coś, co niemal przyprawiło mnie o atak serca. Wielkie śmiejące się twarze wryte w piasku, o ogromnych oczach bez źrenic, patrzyły na mnie szyderczo ze wszystkich stron. Poczułam, jak włosy jeżą mi się na głowie, kiedy omiatałam kolejno ściany latarką i znajdowałam ich coraz więcej i więcej - we wszystkich rozmiarach, niektóre bez uszu, bez ust, ale wszystkie z tymi ogromnymi ślepymi oczami. W świetle latarki ich rysy zdawały się wykrzywiać i drgać w twardym, zimnym piasku jak podskórne żyły. Pod każdą z nich wryte było imię: Mary, John, Bet, Tilly, Mark, Andrew. Dziesiątki imion, dziesiątki twarzy. Efekt był tak przerażający, że zaczęłam obracać panicznie latarkę we wszystkie strony, jakby chcąc się upewnić, czy ci, którzy wryli te twarze, nie kryją się gdzieś tutaj, wtopieni w mrok. Kiedy wracam myślami do tej chwili, pamiętam, że to było najgorsze ze wszystkiego - uczucie, że nie jestem tam sama.

Przypomniałam sobie, jak Kyle opowiadał mi kiedyś, że jedna z kopalni Greenwich była używana podczas wojny jako schron przeciwlotniczy, i wyobraziłam sobie tłum ludzi stłoczonych tutaj w ukryciu przed spadającymi bombami. Wyczuwałam ich obecność - oczekujących, drżących z przerażenia w tej ciasnej kryjówce pod opętaną, rozpruwaną wstrząsami, umierającą ziemią. Wyobrażałam sobie ludzi rzeźbiących dla zabicia czasu w ścianach te nieme oczy, patrzące na mnie w oczekiwaniu, co zrobię dalej. Zebrałam całą siłę woli, żeby nie uciec.

Ściany zbiegły się, tworząc wąski korytarz, po czym znalazłam się w kolejnej komorze - dwa razy większej niż poprzednia. Weszłam do środka i usiadłam na podłodze. Żółte światło latarki wyłoniło z mroku kolejne twarze. Były nierówne i ułożone pod dziwnym kątem, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że musiało tu dojść do czegoś w rodzaju tąpnięcia, blokującego prawdopodobnie przejście do dalszych jaskiń. Zastanawiałam się, czy ktoś był tutaj, kiedy to się stało. Zaparło mi dech z przerażenia i poczułam, że nie jestem w stanie dłużej walczyć z rozpaczliwym pragnieniem wydostania się z tego miejsca. Wyczołgałam się na zewnątrz, zatarasowałam płytą wejście i podparłam je z powrotem belką.

Puste złomowisko wyglądało ekscytująco identycznie jak w chwili, gdy je opuszczałam, jak gdyby w czasie, kiedy byłam na dole, świat zatrzymał się

w miejscu i czekał na mój powrót, zanim zacznie się ponownie kręcić. Światło raziło mnie w oczy po czasie spędzonym w ciemności. Poczułam niemal histeryczną ulgę, znalazłszy się znowu na zewnątrz, i dopiero po długiej chwili serce przestało walić mi w piersi. Ale wracając do naszej kryjówki, powtarzałam sobie na nowo, jak niesamowicie będzie opowiadać Kyle'owi o tym odkryciu. Wyobrażałam sobie raz za razem jego twarz, uszczęśliwioną i pełną podziwu dla mnie, i poczułam, jak poprawia mi się humor.

Dlaczego więc tak długo mu o tym nie mówiłam? Planowałam to zrobić, miałam taki zamiar. Ale widocznie zdecydowałam, że to jest mój as w rękawie, że może mi być któregoś dnia jeszcze potrzebny. Nigdy nie byłam pewna Kyle'a, tego, czy za chwilę nie powie mi, żebym spadała i zostawiła jego i Denisa w spokoju. Przez cały czas bałam się, że któregoś dnia przestaną po mnie przychodzić. I kiedy nadejdzie ten dzień, dobrze będzie mieć taką kartę przetargową - powód, dla którego warta będę, by dalej się ze mną zadawać. Poza tym - nigdy nie miałam niczego własnego. Nigdy nie miałam swojej własnej tajemnicy. No, w każdym razie nigdy tak dobrej, jak ta.

9.

Szpital New Cross. 4 września 1986. Zapis rozmowy między doktorem C. Bartonem a Anitą Naidu. Kopia policji

Zmusiłam się w końcu, żeby spojrzeć. Z pomocą latarki zobaczyłam Denisa leżącego kawałek ode mnie. Gdybym wyciągnęła nogę, mogłabym dotknąć stopą jego głowy. Jego szyja była wykręcona, lewe oko szeroko otwarte, prawe zamknięte. Nad brwią miał wielką ranę, o której, pamiętam, pomyślałam, że wygląda jak wielkie purpurowe usta - połyskujący kawałek kości wystawał z niej jak zęby. Na twarzy i włosach miał zaschniętą krew, gęsta krew pokrywała też jego brzuch i całą powierzchnię jego ulubionej koszulki z inspektorem Clouseau, a skórę miał bardzo białą, o wiele za białą... Dalej, tam gdzie było zbyt ciemno, żebym mogła coś zobaczyć, leżało drugie ciało. Ubrane na różowo, jasnowłose.

W następną sobotę były urodziny Kyle'a. Spotkałam Denisa przed domem nr 33, walącego mosiężną kołatką w potężne, czarne drzwi, najwyraźniej nic sobie nie robiącego z dostojnością górującej nad nami kamienicy. W trakcie oczekiwania rozprawiał się z pokaźnych rozmiarów torbą maltersów, nabierając je garściami w tłustą dłoń i ładując po kilka naraz do ust. Nikt nie otwierał przez wieki, aż w końcu zjawił się Kyle z wyrazem zrezygnowania na twarzy i powiedział:

- Dobra, zacznijmy już to żałosne przedstawienie.

Ta sama wilgotna ciemność korytarza, pomarańczowe ciepłe światło wielkiego salonu, to samo podniecenie, jakie czułam poprzednim razem. Ale tym razem na owalnym dębowym stole stały miseczki z chipsami i kiełbaskami, butelki Tizera i lodowy tort ze świeczkami. Gdzieś leżały porzucane baloniki. Kyle usiadł zgarbiony przy stole i utkwiał kamienny wzrok w talerzu przed sobą. Denis zwinął ostrożnie torbę maltersów, schował ją do kieszeni i rzucił się w stronę talerza pełnego snacków.

W rogu pokoju stał Patryk, pochylony nad stosem płyt. Uśmiechnął się, wyprostował z lekkim grymasem bólu na twarzy i przemierzył pokój paroma wielkimi krokami, gdy nas ujrzał.

- Anita! Jak miło, że przyszłaś.

Wzruszyłam ramionami i mruknęłam:

- W porządku.

Patryk poklepał Denisa po ramieniu.

- Jak zawsze miło mi cię widzieć, młody człowieku. Denis ledwie uniósł głowę znad swoich chipsów. Kyle nadal gapił się ponuro w stół, a ja rozpaczliwie próbowałam wykrzesać z siebie jakieś miłe słowa.

W tym momencie pojawiła się mama Kyle'a. Zatrzymała się, gdy zobaczyła mnie i Denisa. Stała jak wryta w drzwiach, gapiąc się na nas, jakby pomyliła mieszkania czy coś w tym stylu. Wpatrzyłam się w nią. Była drobna, ale w inny sposób niż mama Denisa, która, choć malutka, sprawiała jednak wrażenie, że może zrobić ci poważną krzywdę, gdyby chciała. Elizabeth była osobą, przy której czujesz się jak ktoś niebezpieczny - jeden twój fałszywy ruch i wyleci w powietrze. Była chmurką dymu - Gloria w porównaniu z nią przypominała napiętą sprężynę.

Miała żywe, szare oczy i rozbiegane dłonie, które szarpały i zwijały brzegi sukienki. Zmarszczki przecinały jej twarz, we włosach wiły się srebrne nitki, ale jednocześnie była małą dziewczynką - bardziej niż ja wtedy i kiedykolwiek wcześniej. Widok nas wszystkich razem zdawał się dla niej zbyt dużym szokiem - przywarła przestraszona nieruchomo do framugi drzwi.

- Kochanie Patryk podszedł do niej, wziął za rękę, przyprowadził do stołu i posadził obok Kyle'a.

To było niesamowite - zmiana, która w nim wtedy nastąpiła. Nawet Denis podniósł zdziwiony głowę znad talerza. Kyle roztańczył się dookoła matki jak nietoperz w potrzasku, wziął jej talerz i napełnił go kanapkami, podtrzymywał jej szal, gdy tylko ten zamierzał się zsunąć, i owijał go wokół jej ramion. Czujny, zatroskany. Zaszokowana usiadłam koło Denisa.

Elizabeth nie odzywała się ani słowem. Utkwiła wielkie, szare oczy w filiżance, nerwowo skubiąc kanapkę drobnymi paluszkami. Denis obsługiwał się sam, nakładając sobie na talerz coraz większe porcje. Ciszę przerwał Patryk, mówiąc łagodnie:

- Lizzy, to nasza sąsiadka Anita.

Uśmiechnęłam się, nie wiedząc, co powiedzieć. Elizabeth popatrzyła na mnie, w końcu zdołała wyszeptać cichutkie „witaj”. Jej wzrok ześlizgnął się z mojej twarzy i znów zamilkła, zapatrzona gdzieś przed siebie.

- A pamiętasz Denisa, kolegę Kyle'a?

Zwróciła oczy na Denisa, który pomachał do niej kielbaską z przeciwległej strony stołu.

Patryk nastawił kolejną płytę i zasiadł z nami przy stole. Był wesoły,

zagadywał do mnie i do Denisa, zadając pytania o to i owo. Kyle mówił niewiele, odpowiadał krótko na pytania, które zadawał mu Patryk, ale głównie siedział zapatrzony w matkę.

Próbowałam nadążać za tym, co mówił Patryk, ale także nie byłam w stanie oderwać wzroku od Elizabeth - zafascynowana jej szybkimi, nerwowymi ruchami i głosem małej dziewczynki, który tak przeraził mnie tydzień wcześniej. Nie żeby odzywała się wiele - była praktycznie niemową. Siedziała tylko, wyłączona i odległa, podczas gdy świat kręcił się wokół niej.

Zastanawiałam się, czy zawsze taka była, czy stało się tak dopiero, gdy zaginęła jej córka. Zachowanie ich trojga względem siebie było tak naturalne i niewymuszone, że wydawało się, iż sprawy zawsze toczyły się w ten sposób, że Kyle i Patryk zawsze traktowali ją jak dziecko.

Wyglądało to na jakąś grę, w której zasady nie zostałam wtajemniczona. Myślałam o ojcu Kyle'a i szczerze mówiąc, rozumiałam go w pełni, że wypierdolił stąd do Stanów - ta kobieta była ewidentnie porąbana. Nie czułam do niej sympatii, chętnie potrząsnęłabym nią albo czymś w nią rzuciła. „Dlaczego? - miałam ochotę zapytać. Dlaczego traktujecie ją w taki sposób? Jakby była zrobiona ze szkła? Jakby miała sześć lat?”. Ale oczywiście nie powiedziałam nic.

Kiedy skończyliśmy jeść, Patryk zapalił świece na torcie i kazał Kyle'owi je zdmuchnąć, a potem wszyscy biliśmy mu brawo. Wtedy Patryk wyciągnął małą paczuszkę, poowijaną ogromną ilością wstążką, i położył ją przed Kyle'em.

- Dla jubilata - uśmiechnął się.

Patrzyliśmy, jak Kyle rozpakowuje prezent. To był szwajcarski scyzoryk, czerwony, błyszczący i ciężki, gdy wzięło się go do ręki. Największy, jaki można było kupić.

Ja i Denis stanęliśmy przy Kyle'u i na zmianę braliśmy do ręki scyzoryk, ważąc go w dłoni. Patrzyliśmy, jak Kyle wyciąga po kolei każde ostrze - małe nożyczki, korkociąg, największy i najmniejszy z noży - była nawet pęsetka i wykałaczka. Badał je szczegółowo jedno po drugim, a my patrzyliśmy z zachwytem, po czym rozłożył wszystkie ostrza naraz - wyglądało to tak, jakby usiadł mu na dłoni żywy, błyszczący, czerwono - srebrny owad.

Wzięłam nóż do ręki - nie mogłam się oprzeć. Ostrożnie przejechałam największym ostrzem po swoim palcu. Było tak ostre i tak wiele mogło. Jeden mój najdrobniejszy ruch i przecięłoby skórę. Jeden niezauważalny gest i pojawiłaby się krew. Jeden cieniutki kawałeczek metalu, a mógł przemienić

istnienie w brak istnienia, świadomość w brak świadomości. To było piękne.

Kyle odebrał go ode mnie. Po raz pierwszy widziałam w jego oczach błysk zadowolenia i zainteresowania.

- Dzięki - mruknął do Patryka, po czym zamknął ostrożnie scyzoryk i schował go do kieszeni.

Wtedy Patryk ogłosił, że udajemy się na urodzinowy wypad.

- Idziemy pływać! - oświadczył.

Denis przerwał swoją zabawę, polegającą na pocieraniu balonika o podkoszulek, aż się naelektryzuje, a potem ustawianiu go sobie na głowie. Utkwił w Patryku przerażony wzrok, aż zielony balon w kształcie kiełbaski odkleił się od jego afro i potoczył powoli, ospale na podłogę.

- Nie umiem - powiedział zrozpaczony, rozglądając się za mną z nadzieją na wsparcie.

Spojrzałam na Patryka osłupiona.

- Nie umie, przecież wiesz. Ale Patryk tylko się roześmiał:

- Więc czas się nauczyć. Zaczął zbierać talerze ze stołu.

Popatrzyliśmy na Kyle'a, oczekując, że się sprzeciwi, ale ten powrócił do swej znudzonej, zrezygnowanej pozy, dając do zrozumienia, że jest mu to obojętne, poddaje się i zniesie wszystko, co mu przyniesie ten dzień. Elizabeth wstała i opuściła pokój. Patrzyliśmy wszyscy, jak wychodzi. Wtedy Patryk rzucił:

- Idź do mamy, Kyle.

Posłali sobie krótkie, niedające się rozszyfrować spojrzenie. Miałam przez moment takie wrażenie jak wtedy, gdy przejeżdża się samochodem pod mostem i nagle gaśnie światło i radio przestaje nadawać. Po ułamku sekundy wszystko minęło i twarz Patryka stała się znowu jasna i promienna. Kyle zasunął z szuraniem krzesło i poszedł na górę za matką.

10.

Moje siostry, zanim skończyły trzynaście lat, były już gwiazdami ligi juniorek w Klubie Pływania Synchronicznego okręgu Leeds. Ich stały numer, po tym jak wkraczały w swych lśniących kostiumach, w dopasowanych jak ulał czepkach, niczym dwie gładkie foki, był najważniejszym punktem programu każdego zawodów. Odstawiały go przy tej samej muzyce co niegdyś Torvill i Dean (Jayne Torvill i Christopher Dean - brytyjska para łyżwiarzy figurowych, zwycięzcy zawodów olimpijskich w 1984 r. - za układ do utworu Ravela otrzymali wyłącznie noty 60.) - Bolero czy jakoś tak. Ich szpagaty, piruety i salta wywoływały powszechną wrzawę i owację na stojąco. Ja i mama jeździłyśmy razem autobusem na wszystkie zawody, w których brały udział, krzyczałyśmy i klaskałyśmy, śmiejąc się ze szczęścia, że te słynne, utalentowane wodne nimfy są jednymi z nas.

To były najwspanialsze czasy. Po zawodach robiłyśmy zawsze to samo - chodziłyśmy do „Wimpy” na hamburgery i truskawkowe szejki. Uwielbiałyśmy to miejsce. Z chińskimi talerzykami i sztuczkami do hamburgerów oraz deserem lodowym w szklanych pucharkach było dla nas jak wytworna restauracja. Czuliśmy się jak damy.

- Wszystkie dziewczyny razem - mówiła, śmiejąc się, mama.

To były dobre czasy. Nas cztery - trzy córki i matka - roześmiane i szczęśliwe na podwieczorkach w Wimpy. Moje siostry szczęśliwe, że cała uwaga mamy skupia się na nich. Bo to nie zdarzało się często.

- Te dwie mają fioła na swoim punkcie - kręciła nieraz nosem cioteczka Jam, patrząc z dezaprobatą na mnie i na mamę. - To jest chore.

To prawda - mama nigdy nie spuszczała mnie z oczu. Bliźniaczki i Push niesłusznie odbierali to w ten sposób, że kocha mnie bardziej od nich, bo nie znali mojego sekretu, o którym wiedziała tylko ona. Myślę, że dlatego była zawsze tak blisko mnie, trzymała mnie pod swym czujnym okiem, nie odstępując na krok, przez co nieraz musiało jej brakować czasu dla pozostałych. Sądziła, że jestem jej najulubieńszą córeczką. Że poświęca mi tyle czasu z miłości.

Ja i mama miałyśmy wspólną tajemnicę. Kiedy umarła, popisy pływackie i wypadki do Wimpy skończyły się, podobnie jak jej troska o mnie.

To właśnie stary kostium Beli albo Eshy z dawnego klubu pływackiego wzięłam ze sobą na basen w Greenwich. Patryk musiał kupić Kyle'owi kąpielówki w sklepiu przy wejściu, chciał też sprawić takie same Denisowi, ale ten uparł się, że mama kazała mu pływać w majtkach. To był chyba jeden

jedyny raz, kiedy widziałam Denisa w złym humorze. Naprawdę czuł się tu fatalnie. Machał plastikową siatką z ręcznikiem i patrzył tęsknym, markotnym wzrokiem na rzędy czekolad i chipsów w stojącym obok kasy automacie.

Ja i Patryk byliśmy za to chyba jedynymi osobami, które bawiły się dobrze. Szczerze mówiąc, chciałam pokazać dziadkowi Kyle'a, jak dobrą jestem pływaczką. Po drodze, w autobusie, siedziałam osobno i marzyłam o tym, że Patryk adoptuje mnie i Kyle'a, i zabierze nas ze sobą do Szkocji. Nigdy w życiu tam nie byłam, ale wyobrażałam sobie ogromne zielone pola, jeziora i małe chatki, zamieszkałe przez ludzi takich jak Patryk. Wiedziałam, że to głupie, ale lubiłam marzyć w ten sposób.

Basen na Greenwich jest staroświecki. Wiktoriański - jak mówił Patryk. Cały w białych kafelkach, z małymi, drewnianymi kabinkami do przebierania wzdłuż brzegu, przywodzącymi na myśl nadmorską plażę. Nad basenem znajduje się galeryjka z rzędem składanych krzeseł. Ogarnęła nas fala ciepła, zapach chloru i odbijające się echem wrzaski podekscytowanych dzieciaków, biegających dookoła, popychających się nawzajem do wody, czemu z krzeseł na wysokich szczydłach przyglądał się szyderczo, z kamienną twarzą jasnowłosy, uczesany w kucyk ratownik, ściskający gwizdek w taki sposób, jakby to była odbezpieczona broń. Na szyldzie wiszącym koło niego był napis: NIE JEŚĆ! NIE SKAKAĆ! NIE BIEGAĆ! NIE BIĆ SIĘ! NIE UPRAWIAĆ PIESZCZOT!

Poszliśmy za Patrykiem w stronę najbliższego rzędu przebieralni, ale on zatrzymał mnie i wskazał te po drugiej stronie basenu.

- Panie tam - powiedział.

Powiedział to w miły sposób, ale i tak poczułam się dość głupio i powlokłam się z plastikową reklamówką na drugą stronę basenu. Wbiłam się w kostium mojej siostry, unikając swojego odbicia w lustrze, pośpiesznie naciągając różowy, elastyczny materiał w srebrne gwiazdki w miejscu dwóch małych zaokrągleń, które dopiero co zaczęły się pojawiać na mojej klatce piersiowej. Nie miałam ochoty o tym myśleć.

Kiedy wyszłam z przebieralni, Patryk był już w basenie, po płytkiej stronie, patrząc na Kyle'a i Denisa stojących żałośnie na brzegu. Dołączyłam do nich pewna siebie. W tym momencie ujrzałam nas oczami Patryka: Kyle - trzęsący się i kościsty, biały i cały w piegach, w nowiutkich, za dużych gatkach. Denis - ponury i ogromny, w brązowo - musztardowych obcisłych slipkach i pomarańczowych dmuchanych rękawkach, kupionych przez Patryka. Ja - chudy, brązowy chłopak w workowatym, różowo - srebrnym

jednocześnie w kostiumie. Nie wyglądaliśmy raczej jak kadra na najbliższą olimpiadę, o nie! Ale nawet jeśli Patryk pomyślał, że wyglądamy komicznie, z pewnością tego nie okazał. Zawołał tylko żwawo z wody:

- Chodźcie, dzieci! Nie ma rady, wcześniej czy później będziecie mokre.

Spojrzałam na Patryka, zanurzonego do połowy w lśniącej niebieskiej wodzie, i poczułam nagle przeszywający mnie smutek. Bez ubrania jego plecy wyglądały raczej mizernie, a klatka piersiowa trochę chuderlawo. Przyszły mi na myśl takie plastikowe, nadmuchiwane fotele, które były zbyt często używane i zaczęły wypuszczać powietrze i powoli zapadać się. Wołałam go ubranego w elegancką, tweedową marynarkę i prążkowany sweter. Zauważyłam, że z uszu wyrastają mu kępki siwych włosów, a ręce pokrywają grube, podobne do korzeni żyły. I choć przez cały czas uśmiechał się promiennie, zrobiło mi się przykro, że oglądam go w tym stanie.

Rzuciłam okiem na Kyle'a, który z kolei gapił się na Denisa, i zdziwiłam się, widząc na jego twarzy lekki uśmiech. Nagle trącił mnie łokciem w żebra.

- Patrz - powiedział. - Denis ma cycki.

Kiedy Kyle śmiał się, co należało do rzadkości, robił to w taki sposób, że obnażał zęby i parskał przez nos - to, że się śmieje, a nie ma zamiaru kichać, można było poznać tylko, patrząc na jego plecy. Kiedy się trzęsły i podrygiwały, oznaczało, że gdzieś w środku zarykuje się ze śmiechu.

Popatrzyłam na Denisa i też wybuchnęłam śmiechem. Faktycznie miał cycki, jak dziewczyna. Z początku myślałam, że zamierza zabrać tyłek w troki i pójść sobie, ale on wyszczerzył się, jakby był dumny z tego swojego „biustu”, i zaczął odstawiać coś w rodzaju tańca, by wprawić go w kołysanie. Im bardziej się zaśmiewaliśmy, tym żwawiej podrygiwał, aż ratownik zagwizdał na nas i uspokoił ponurym spojrzeniem.

Weszliśmy do basenu. Ja i Kyle wskoczyliśmy prosto do wody, Denis zszedł trwożliwie po metalowych stopniach drabinki. Momentalnie przestał się chichrać, stanął w wodzie zanurzony do pasa z wyrazem skrajnego nieszczęścia na twarzy. Patryk spokojnie, z namawiającym uśmiechem, zaczął demonstrować pływanie żabką. Ja i Kyle popłynęliśmy na głęboką wodę, ścigając się ze sobą. Płynąc (lepiej niż Kyle!), pragnęłam krzyknąć: „Patrz, Patryk! Patrz na mnie!” - ale ten był zbyt zajęty Denisem, żeby zauważyć.

Pływanie jest rzeczą, która nudzi mnie bardzo szybko. Po dziesięciu minutach zanurzania się i wynurzania, wychodzenia na brzeg i ponownego wskakiwania, nurkowania, żeby dotknąć dna, i tak dalej, miałam szczerze dość. Kyle nadal młócił fale, drobna czaszka wystawała mu sztywno z wody,

a dwa przednie zęby sterczały obnażone jak u wodnego szczura. Popłynęłam z powrotem popatrzeć, jakie postępy w pływaniu poczynił Denis.

Nie poczynił żadnych. Stał dokładnie w tym samym miejscu co poprzednio. Patryk namawiał:

- Patrz Denis - tak. Chodź synu, spróbuj - i wykonywał w powietrzu pływackie ruchy.

Denis patrzył na niego z niechęcią, uparcie trzymając ręce uniesione pod takim kątem, żeby przypadkiem ich nie zamoczyć.

Kiedy Patryk zobaczył mnie, zawołał:

- Anita! Chodź i pokaż Denisowi, jak to się robi.

Kiedy dopłynęłam do niego, podłożył mi ręce pod brzuch.

- Dobrze - powiedział. - Uważaj teraz, Denis. Tak się pływa czałem na brzuchu.

Patryk podtrzymywał mnie, a ja kopałam nogami i siekłam rękami wodę. Ale Denis wyszedł już i siadł na brzegu, zgarbiony, z wystającą dolną wargą. Nie patrzył na nas.

I nagle Patryk zaczął kręcić mną w kółko - ślizgałam się po powierzchni, a on podtrzymywał mnie od spodu. Basen migał coraz szybciej i szybciej dookoła mnie. Trwało to całe wieki, aż zaczęło mi się kręcić w głowie, śmiałam się w głos i parskalam. Nagle Patryk zatrzymał się i puścił mnie, a ja rozglądałam się, wciąż utrzymując równowagę na powierzchni i czekając, aż wszystko wokół przestanie wirować, i wtedy zobaczyłam Kyle'a. Stał tuż przy nas, o kilka centymetrów. Kiedy ujrzałam jego twarz, śmiech uwiązł mi w gardle.

- Chcę już iść - powiedział, ton jego głosu zabrzmiał oschle i zimno w tym hałaśliwym, parnym cieple. Wyszedł z wody, zostawiając mnie i Patryka gapiących się za nim, jak idzie w kierunku przebieralni.

Kiedy się przebrałam i wyszłam, cała trójka czekała już na mnie na zewnątrz. Denis zdążył nawet kupić paczkę chipsów z automatu i był zajęty wrzucaniem monet w celu kupienia drugiej. Czekaliśmy na niego, patrząc, jak ładuje sobie w obłaskaniu do ust snacki Monster Munk w akcie takiej desperacji, jakby od tego zależało jego istnienie.

Roztaczając wokół zapach chloru, poszliśmy w stronę parku. Robiło się późno, słońce właśnie przystąpiło do wieczornej przemiany, jak kobieta powoli, metodycznie nakładająca na twarz makijaż. Male chmurki zaczęły

pojawiać się jak muśnięcia rózu, smugi różowej szminki rysowały niebo. Delikatna woń kwiatów pogłębiła się, zmieniając się w cięższą, piżmową. Spacerowaliśmy przez ciche ulice, oddalone kawał świata od tych, po których odbywaliśmy nasze wędrówki. Zero starych ludzi tkwiących nieruchomo w oknach w sfatygowanych ciuchach. Zero ryczących telewizorów i czyhających za każdym rogiem band dzieciaków. Za to okazałych rozmiarów, gościnne domy z doniczkami kwiatów w oknach, z drzwiami połyskującymi świeżą farbą. Przed nimi parkowały drogie, lśniące samochody.

Z jednego z nich wysiadła jakaś pani z córeczką, obcasy tej pani postukiwały elegancko o chodnik. Dziewczynka miała długie do pasa, brązowe włosy, w rękę trzymała parę baletek, różowe wstążki wypływały spomiędzy jej palców. Czekala na matkę przed domem i chyba musiałam się na nią gapić, bo zrobiła minę w moją stronę, otwierając oczy jak Joey Deacon (Joseph John „Joey” Deacon - dotknięty porażeniem mózgowym brytyjski pisarz i gwiazda mediów.), jakby zamierzała powiedzieć: „Co się gapisz?”. Zwiesiłam głowę i przyspieszyłam kroku.

Zanim dogoniłam pozostałych, zastanawiałam się, jak to jest być tamtą dziewczynką - mieszkać w dużym domu i chodzić co sobotę na lekcje baletu? Kiedy byłam całkiem mała, często pytałam mamę: „Jak się czujesz?”. Kiedy odpowiadała: „Dziękuję, kochanie, dobrze”, mówiłam: „Ale nie, chodzi mi o to JAK TY SIĘ CZUJESZ? Jak TY się czujesz, mammo?”. Patrzyła na mnie wtedy i mówiła: „Czuję się dobrze, córeczko. Po prostu dobrze”.

Nie potrafiłam jej wytłumaczyć, o co mi chodzi. To, że moja mama jest inną osobą niż ja, uderzyło mnie kiedyś jak cios prosto w serce. Że nie mogę i nie będę mogła nigdy wiedzieć naprawdę tego, co czuje i o czym myśli, że to zawsze będzie tajemnicą, ukrytą częścią jej, do której nigdy nie trafię, że nigdy nie będę wiedziała, jak to jest być kimś innym - mamą, siostrą ani sąsiadką z naprzeciwka, która czasami się mną zajmowała, ani nikim innym z naszej ulicy. Nigdy ich nie będę ZNAĆ, czuć tego, co czują oni. Ja byłam sobą, a oni sobą - byliśmy wszyscy od siebie oddzieleni. Miałam wtedy dopiero pięć lat i nie myślałam o tym dokładnie w ten sposób, to był raczej jakiś niejasny strach, bezładna mieszanina myśli. Ale kiedy dorastałam, te myśli zaczęły mnie jakby przytłaczać. Nie mogłam się pozbyć tego natrętnego uczucia, że jestem tak strasznie samotna i wyłączona ze świata, że nigdy nie będę kimś innym, nigdy nie poczuję tego, co czuje tamten ktoś. Po prostu nie byłam w stanie dać sobie z tym rady.

Dogoniłam resztę i poszliśmy razem na wzgórze. Naprzeciwko niewielkiego wejścia do parku stał zamek, o którym mówił mi Kyle, otoczony wysokim murem z cegły. Staaliśmy, zaglądając przez wysoką, czarną

żelazną bramę na rozległy okrągły dziedziniec, ogromne, łukowate drewniane drzwi i poczerńnięte cegły wieżyczek. Pół tuzina aut stało zaparkowanych przed wejściem i słychać było śmiechy, muzykę i zapach grilla.

- Zamek Vanbrugh - wyjaśnił Patryk belferskim tonem. - Zbudowany przez Sir Johna Vanbrughę w 1719 roku. Przez lata mieściła się tu szkoła, ale teraz są w nim, jak widać, mieszkania.

Wpatrywaliśmy się przez bramę do chwili, aż na dziedziniec wyszła jakaś gruba kobieta z dwoma szalejącymi dookoła niej ogromnymi dogami - wtedy poszliśmy dalej. Zagłębiliśmy się w park i usiedliśmy na szczycie wzniesienia, patrząc na widoczny w dole pałac królewski. Patryk zaczął opowiadać nam o królach i królowych, którzy w nim kiedyś mieszkali, o tym, że ten park był kiedyś ich ogrodem, pełnym jeleni, a nie, jak obecnie, turystów. Kyle przerwał mu nagle niegrzecznie.

- My idziemy nad rzekę.

Patryk spojrzał na zegarek. Uśmiechnął się do Kyle'a i powiedział:

- Dobrze, w porządku, jak sobie życzysz.

Zrobiło się nagle strasznie niezręcznie. Kyle odwrócił się, patrząc bez wyrazu na połyskującą za pałacem rzekę.

- Dobrze - powiedział wobec tego Patryk. - Na pewno nie jest fajnie łączyć ze starym dziadkiem.

Zrobiło mi się przykro ze względu na niego, byłam zła na Kyle'a, że jest tak samolubny. Widziałam, jak wstaje sztywno, jego rzucone na pożegnanie: „Na razie. To był superdzień”, jeszcze tylko pogorszyły sprawę.

- Do widzenia, Patryku - powiedziałam. - Dzięki, że wzięłeś nas na basen.

Patrzyłam, jak schodzi ze wzgórza, kierując się w swoją stronę. Kiedy odwróciłam się, ujrzałam szydery grymas na twarzy Kyle'a.

- Do widzenia, Patryku - małpował mnie. - Dzięki, że wzięłeś nas na basen. - Idealnie naśladował mój akcent z Leeds.

- Oh, odpierdol się - powiedziałam słabo.

- Nie, dlaczego to TY się nie odpierdolisz, Anita?! - powiedział śmiertelnie ciężkim głosem. - Dlaczego ty się nie odpierdolisz?! - powtórzył jeszcze raz, głośniej, kiedy wzruszyłam ramionami i odwróciłam wzrok. - I skoro już o tym mowa, dlaczego nie zostawisz w spokoju mojego domu i mojego dziadka?

Spojrzałam w dół na swoje dłonie, szarpiące żdźbła trawy, w oczekiwaniu, kiedy się to skończy, ale nakręcał się coraz bardziej, można rzec, do szaleństwa.

- Nic, kurwa, nie wiesz, Anita! Nie chcemy cię! Dziadek współczuje ci, bo jesteś brzydką, cuchnącą, małą Arabuską, twój ojciec chleje, twoje siostry dają dupy na prawo i lewo, jesteś biedna i nie masz mamy. Ale tak naprawdę cię nie lubi, tak samo jak ja! Nigdy więcej nie przychodź do mojego domu. Mówię poważnie, Anita! Trzymaj się z dala od mojego pierdolonego domu!

Ból jest dziwną rzeczą. Ciężko jest go opisać, gdy minie, ciężko odtworzyć, gdy jest już po wszystkim. Wydaje mi się, że czułam się tak, jakbym tonęła. Jego słowa wypełniły mnie jak mulista woda wypełniająca Deptford Quaggy. Poczułam je głęboko na dnie serca - wiem, to banał, ale naprawdę tak było. Moje serce nie zostało złamane ani nie pękło, ale zostało przesycone jego słowami, nabrzmiałe tym, co mówił, aż stało się zbyt ciężkie, żeby utrzymać się na powierzchni, i zatoneło. Chciałam wstać i odejść, ale nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak znajdę fizyczną siłę, żeby się podnieść, jak zmuszę nogi do tego, by szły. Popatrzyłam na Denisa - oglądał nas jak byśmy byli jakimś poruszającym serialem telewizyjnym - filmem Lassie, wróc, czy czymś w tym rodzaju kąciki jego ust opadały, jego oczy za okularami były szeroko otwarte w napięciu.

- Zamknij się, Kyle - powiedziałam. - Zostaw mnie w spokoju.

Wstał. Kopnął plastikową reklamówkę z ręcznikiem i kąpielówkami, oczy Denisa śledziły go w podnieceniu. Staralam się patrzeć raczej na Denisa, nie na Kyle'a, bojąc się, że wybuchnę płaczem.

- Jesteś totalnie pieprznięta! - tym razem wrzasnął, aż para grająca we Frisbee odwróciła się i spojrzała na nas. - Tylko się w kółko gapisz i gapisz! W ogóle się nie odzywasz. Zawsze, kiedy się odwrócę, gapisz się na mnie. A jak nie na mnie, to na Denisa, albo na, nie wiem, kogoś w autobusie! Zawieszasz się i gapisz się, i gapisz! Nawet nie mrugasz! Kiedyś policzyłem - gapiałaś się na Denisa przez sześć pieprzonych minut! Wyglądałaś jak stuknięta! Boję się ciebie! Nigdy nic nie mówisz, tylko łazisz za nami. Można przy tobie ześwirować!

Przerwał. Jak gdyby wyzbył się już wszystkich słów. Omal nie zaczęłam się śmiać. Coś sprawiło, że omal nie wybuchnęłam śmiechem. Bo pomimo tych wszystkich strasznych słów, które wypowiedział, pomimo to, jak okropnie mnie dotknęły, jakaś drobna cząstka mnie nie uwierzyła mu. Dziewięćdziesiąt siedem procent mnie zostało unicestwione, zmiecione z powierzchni ziemi, ale reszta czuła, że to tylko gra. To przedstawienie było

zbyt efekciarskie i przesadzone, żeby mogło być prawdziwe. Z trudem chwycił oddech. Jego drobna, zwykle biała twarz była cała czerwona. To był koniec.

Stałam w końcu, chwiejnie, na nogach. Zataczając się, zaczęłam odchodzić. Czułam się jak lunaticzka. Jakby ktoś mnie postrzelił. Jakby mózg przeleciał mi przez ciało, spadł na ziemię i pałętał się gdzieś wokół moich stóp.

Wlokłam się w dół wzgórza, odgłosy parku stawały się coraz bardziej odległe. Starłam się koncentrować na tym, by stawiać równo stopy, boleśnie świadoma każdego kolejnego kroku. W połowie drogi usłyszałam jak przez mgłę jego krzyk:

- Anita! Kurwa, Anita, wracaj!

Odwróciłam się i zobaczyłam w oddali biegnącego za mną Kyle'a. Denis kłusował za nim.

11.

Szpital New Cross. 4 września 1986. Zapis rozmowy między doktorem C. Bartonem a Anitą Naidu. Kopia policji

Ostatniej nocy śniło mi się, że byłam tam znowu, na dole, w kopalni. Choć to było wcześniej, wiedziałam dokładnie, co się stanie. Wiedziałam dokładnie, co się stanie, ale nic nie mogłam zrobić, tylko czekać. Byłam tam znowu, słuchałam odgłosu odsuwanej belki, serce waliło mi jak młotem, kiedy patrzyłam, jak płyta odsuwa się. Zobaczyłam jego twarz, zagładającą nagle do środka, całą otoczoną światłem, i widziałam go, jak się opuszcza w dół, do miejsca, w którym siedziałam w ciemności i dokładnie wiedziałam, co się za chwilę stanie, ale absolutnie w żaden sposób nie byłam w stanie tego powstrzymać. Obudził mnie mój własny krzyk i byłam zbyt przerażona, żeby zasnąć na nowo.

Czy pan uwierzy, panie doktorze, że mój spacer z Malcolmem tamtej soboty, pięć tygodni temu, to była moja pierwsza randka? Dwadzieścia lat i pierwsza randka! Niewiele rozmawialiśmy ze sobą wtedy, za pierwszym razem. Przeszliśmy się wiszącym mostem, tam i z powrotem. Potem poszliśmy do kafejki. Nie było to łatwe, bo Malcolm wstydził się zawołać kelnerkę, podobnie jak ja, toteż siedzieliśmy, wpatrując się w stolik przez wieki, zanim ktokolwiek zauważył nas i się zjawił. On zamówił do picia czekoladę, a ja lemoniadę. Opowiedział mi o swojej pracy i o Speedim Gonzalesie. Potem powiedział, jakie filmy lubi oglądać. Najbardziej lubi science fiction. Ma kolekcję gadżetów z Gwiezdných wojen i Star Treka w swojej sypialni, ale nie widziałam ich, bo jego mama nie lubi, kiedy sprowadza ludzi do domu, szczególnie nie lubi dziewczyn. Ale mówił, że są sporo warte i że kiedyś mi je pokaże.

Zazwyczaj to on przychodzi do mnie. Oglądamy telewizję na przenośnym odbiorniku, który kupił mi Push. I kiedy jestem z nim, czuję, jakby coś we mnie, w środku, zaczynało tajać.

Szłam z Greenwich do Lewisham bocznymi ulicami, które przepełniały obskurne, wprawiające w przerażenie budowle - nawet Kyle wolał wybrać okreśną drogę. Robiło się ciemno, ale nie powstrzymało mnie to przed pójściem właśnie tamtędy. Czułam, że już nic gorszego nie może mnie spotkać tego dnia, a wiedząc, że jeśli nawet Kyle i Denis wlekli się za mną do tej pory, to jest jednak mało prawdopodobne, żeby poszli dalej moją trasą.

Jednak już wkrótce pożałowałam, że nie wybrałam jazdy autobusem. Długie, brukowane, wąskie, kręte, cuchnące stęchłym moczem uliczki wiły

się i wily, o wiele dłużej, niż można było przypuszczać. Kiedy już nabierało się pewności, że z za najbliższego rogu za chwilę wynurzy się dziesięcionogi morderca, droga przechodziła - nie w gościnny, gwarny trakt, ale w kolejny, zupełnie nowy poziom grozy.

To był ślepy zaułek, zbiorowisko domów z prefabrykatów i sklepów, które pewnie zostały otwarte z myślą o tych domach, ale potem w pobliżu pojawiło się Tesco i szlag je trafił. Wszystko było wymarłe i jakby od niechcenia pozabijane deskami. Tkwiło w jakimś innym czasie. Jakby wszyscy zostali nagle zaczarowani. „Zabierz mnie stąd, Scotty!” („Zabierz mnie stąd, Scotty!” - jedno z kluczowych zdań z serialu Star Trek, wypowiedziane przez kapitana Clerka, pragnącego powrócić na swój statek, do pilota transportera teleportacyjnego.). Na drzwiach knajpy „Trzy Pióra” tkwiła kartka: SOBOTA WIECZÓR DISCO! Wejście do damsko - męskiego salonu piękności „Stacey” zdobyły czarno - białe fotosy dziewczyn z lat siedemdziesiątych i ogłoszenie: ZATRUDNIĘ MODELKĘ! Metalowe kraty od lat odgradzały od świata sklep spożywczy i kiosk z gazetami, ale można było przez nie dojrzeć kilka zapomnianych słoików marchewek, puszkę na pieniądze przytwierdzoną łańcuchem do lady i parę gazet wciąż poniewierających się na półkach. W półmroku ulice miały sprany, wyblakły wygląd, jakby wszystko zostało ufarbowane takim samym szarym barwnikiem. Jedynym urozmaiceniem była różowa dziecięca kurtka, powieszona za kaptur na słupie w odległym końcu ulicy.

Widziałam kiedyś w telewizji dramat o wojnie atomowej. Oglądałam go sama w ciemnym pokoju, kiedy wszyscy już poszli spać, i później całymi tygodniami nie mogłam uwolnić się od koszmarów. Kiedy skończyły się napisy początkowe, nad Londynem wyrosła olbrzymia, podobna do grzyba chmura, później kamera prześlizgiwała się przez podmiejskie ulice, kuchnie i pokoje w domach, gdzie na stołach, sofach i łózkach leżały bezładnie martwe ciała. Pamiętam zwłoki starej kobiety w sukni, walające się na podłodze łazienki, i pantofle dyndające jeszcze na jej stopach.

Widok tych domów i sklepów przypominał mi tamte obrazy. Wyobraziłam sobie martwe rodziny za drzwiami tych zabitych dechami domów z prefabrykatów, rozkładające się zwłoki barmana za ladą „Trzech Piór”, kobiety w średnim wieku siedzące pod okrągłymi suszarkami do włosów i ich ciała gnijące pod trwałą ondulacją.

Niebo pociemniało i latarnie rozblęły pomarańczowym światłem. Szłam, koncentrując się na tym, by jak najszybciej stąd spieprzać i znaleźć się w Lewisham tak szybko, jak to możliwe. I wtedy wyrósł przede mną on.

Mike Hunt we własnej osobie - dzieciak, który zamierzał nas zabić. Opierał się o mur kilkadziesiąt metrów przede mną. Okazało się, że to miał być NIEWYOBRAŻALNIE gówniany dzień.

Nie widział mnie i zastanawiałam się, czy nie zawrócić i nie pójść z powrotem okreśną drogą, ale było coś dziwnego w tym, jak opierał się o tę ścianę - jak plastikowy pajak, którego rzuca się z płaskim o ścianę i patrzy, jak ten powoli złazi w dół, albo jakby był przygwożdżony do muru ogniem z karabinu maszynowego - jego ramiona i nogi znajdowały się pod jakimś przedziwnym kątem.

Wtedy zauważyłam zwisającą z jego palca niebieską, plastikową reklamówkę. Ujrzałam wystający z niej kanister.

Zdałam sobie sprawę, że urwał mu się film, więc podkradłam się nieco bliżej. Widząc, że nie ma kontaktu z rzeczywistością, szłam dalej przed siebie. Gdybym zrobiła wtedy co innego, sprawy miałyby szansę potoczyć się inaczej. Mało prawdopodobne, ale możliwe. Często wracam myślami do tamtej chwili, tego ułamka sekundy, kiedy zdecydowałam się iść dalej przed siebie, zamiast zawrócić. Co było tego powodem? Lenistwo? Brawura? Cholera wie.

W każdym razie, nie zwalniając kroku, szłam w jego stronę, i im byłam bliżej, tym wyraźniej zdawałam sobie sprawę, w jak fatalnym jest stanie. Poczułam się pewniej - nawet mnie nie zauważył, nie wspominając już o rozpoznaniu. Schyliłam głowę tak nisko, jak tylko potrafiłam, wcisnęłam ręce w kieszenie i starałam się być niewidzialna.

- Arabusie - powiedział, kiedy przechodziłam koło niego.

Zabrzmiało to niemal przyjaźnie, prawie jak powitanie. Jakby właśnie się obudził i był uszczęśliwiony, zobaczywszy w swoim pokoju starego kumpla.

Jak mogłam być tak głupia! Jak tylko usłyszałam jego głos, dotarło do mnie, z jakim psycholem mam do czynienia i że nie igra się z takimi, jak Mike Hunt, tylko robi wszystko, co możliwe, żeby unikać z nimi kontaktu, nawet jakby miało to oznaczać powrót przez to całe pieprzone zadupie. Przeklinałam swoją głupotę i szłam dalej, wyczuwając raczej niż widząc, jak odkleja się od ściany i idzie za mną, zataczając się.

- Arabusie - za chwilę był już przy mnie. Obejrzałam się na niego. Popatrzył na mnie bladoniebieskimi oczami o ogromnych źrenicach. Wyciągnął rękę i zatrzymał mnie.

Poczułam, jak krew uderza mi do głowy, a po plecach przechodzą ciarki. Próbowałam myśleć, co, do diabła, powinnam teraz zrobić. Staliśmy, patrząc

na siebie. Miał głupawy wyraz twarzy. Niemal dziecinny, niemal rozkoszny. Ale ten wyraz zaczął powoli odpływać, odkrywając inne, surowe, zacięte oblicze. Zwróciłam uwagę, że jego nos i usta pokrywają pryszczki, a cała jego twarz kurczy się i drga w nerwowych tikach.

I zza całej tej jego dziecinnej twarzyczki wychynęło zło - jakby dał o sobie znać niewidoczny, ukryty pod skórą metalowy implant. Można było je niemal zobaczyć, przyczajone na dnie tych bladoniebieskich, wodnistych oczu, jak rozbite szkło w dziecinnym brodziku. Zauważyłam, że nie jest w stanie utrzymać głowy w pionie, a powieki drgały mu nerwowo. Widać było, że dużo go kosztuje, by ustać prosto i nie odpłynąć, ale ta żarząca się metalowa iskra nadal przesywała go na wskroś - rozgrzana do białości, gotowa do ataku.

Próbowałam się wycofać i przez chwilę myślałam, że zamierza dać sobie spokój. Powiedział nawet:

- Pieprz się, Arabusie. Dość już, kurwa, na dziś tego gówna.

Ale gdy już myślałam, że wyjdę z tego żywa, zdrowa i cała, jego dłoń zacisnęła się mocniej na moim ramieniu. Wpatrzył się we mnie z uwagą.

- Ty! - wykrztusił. - To, kurwa, TY? Jedna z tych autobusowych łajz?

Odszedł kawałek, wpatrując się we mnie ze wzburzeniem. Ponownie próbowałam odejść i wtedy chwycił mnie za gardło. Całe jego otepienie gdzieś zniknęło, był zręczny i szybki jak błyskawica.

- To TY, prawda? - paskudny uśmiezek wypełził mu na twarz jak rozlewająca się po morzu ropa. Spojrzał na ulicę, w stronę najbliższego winkła.

- Gdzie twoi kolesie? Tłusty czarnuch i ta mała, chuda ciota?

Gdy nie odpowiedziałam, walnął mną o ścianę, aż wyjąkałam:

- Nie wiem. Jestem sama.

Wtedy spojrzał na mnie z większym zainteresowaniem.

- Kurwa. Jesteś dziewczyną? - Ostatnie słowo wypowiedział z niedowierzaniem. Przyjrzał mi się bliżej, miażdżąc mi w palcach policzek.

- Jesteś dziewczyną! Kurwa, myślałem, że jesteś chłopakiem.

Patrzył zdziwiony, z wyrzutem, jakbym z premedytacją chciała oszukać starego kumpla. Rozejrzał się, patrząc, czy nikt nie widzi, i chwycił mnie za krocze.

- Czy twoja cipa pachnie curry, Arabusko?

Chciałam uciec. Usiłowałam mu się wyrwać, szarpałam się, umierając ze strachu. Ale on chwycił mnie za rękę i nie mogłam się uwolnić. Był ponad głowę wyższy ode mnie, nie miałam żadnych szans.

- Chodź, zrobimy mały wgląd, co? - powiedział słodkim tonem.

Za chwilę splunął.

- Pierdolona arabska suka!

Upuścił reklamówkę i usłyszałam szcęk kanistra. Przygwoździł mnie do muru, trzymając jedną ręką za gardło, drugą sięgając do moich jeansów. Wyrwał guzik, szarpnął i rozpiął zamek. Łzy zmieszane ze smarkami popłynęły mi po twarzy, na jego rękę - strzepnął je, wściekły, wydając pełne obrzydzenia: „Łeee!”. I wtedy:

- Mike!

To był Kyle. Zwyczajnie tam stał, jakby nigdy nic. Metr od nas. Stał bez słowa, przyszedł tu, by mnie obronić!

Kyle.

Ulga, wdzięczność, radość w czystej postaci trwała tyle czasu, ile zajęło mi podciągnięcie z powrotem jeansów i uwolnienie się od Mike'a, który gapił się na Kyle'a z rozdziawionymi z zaskoczenia ustami.

- Ty! - wrzasnął i rzucił się w stronę Kyle'a.

Wtedy zdałam sobie sprawę z różnicy, jaka ich dzieliła, porównałam wzrost Mike'a ze wzrostem Kyle'a - sztucznie nakreconą chemikaliami energię i siłę tego pierwszego z moim małym skromnym przyjacielem, i wtedy strach powrócił do mnie ze zdwojoną siłą - beznadziejna, bezsilna groza - bo zdałam sobie sprawę, że za moment Mike rozniesie Kyle'a na proch, a potem zabierze się z powrotem za mnie.

I wtedy, gdy Mike sięgnął po Kyle'a jedną ręką, a drugą, zwiniętą w pięść zamierzył się na niego - wtedy oboje zobaczyliśmy nóż. Scyzoryk - urodzinowy prezent Kyle'a, z wysuniętym największym ostrzem. Kyle uniósł dłoń z nożem i powoli, ostrożnie, wyciągnął rękę w stronę Mike'a - końcówka ostrza znalazła się o milimetr od jego piersi.

Wtedy Mike zrobił odwrót. Opuścił pięść, gapiąc się na nóż jak zaczarowany. Jego głowa w jednej sekundzie przestała się chwiać. Był znów skoncentrowany i czujny. W końcu rzucił:

- Jaja sobie robisz? - I pokręcił głową z niedowierzaniem. - Co chcesz z

tym zrobić? Zabrać nas na kemping?

Jednak był zestrachany, przynajmniej tak wyglądał. Kyle trzymał dłoń nieruchomo, nie odzywał się, tylko patrzył z nieporuszoną twarzą na Mike'a. W chwili, kiedy ten zbierał myśli, zauważyłam oczy Kyle'a. Były martwe, absolutnie martwe, jak wtedy na łódce. Nie było w nich nic, żadnego wyrazu. Był zupełnie gdzie indziej, można powiedzieć. Wtedy przeszył mnie na wylot inny rodzaj strachu - strach o Kyle'a, strach PRZED Kyle'em.

Mike wzruszył ramionami, rzucił: „Jebać to gówno”, i wykonał taki ruch, jakby zamierzał odejść, po czym, nagle, błyskawicznie, odwrócił się i rąbnął ręką na odlew, próbując wybić nóż z dłoni Kyle'a. Ten jednak był szybszy - zrobił unik, po czym rzucił się do przodu, tnąc nożem nadgarstek Mike'a - gładko, z łatwością, ostrze wśliznęło się w ciało, po czym momentalnie pojawiła się krew - gęsta i czerwona, jedna wielka, ciężka kropla spadła na ziemię. Mike wydał taki dźwięk, jak pies, któremu nadeptnie się na łapę, po czym wściekle, z zaskoczenia sięgnął w stronę ramienia przeciwnika. Ale Kyle znów okazał się szybszy i przejechał go znowu, tym razem po szyi, tuż pod żuchwą. Znowu pojawiła się krew, jednak w mniejszej ilości, jedynie sącząca się powoli cienka, czerwona strużka.

Mike dotknął ręką szyi i uniósł do twarzy zakrwawione palce. Obejrzał je, wrzasnął: „Kurwa!” - i rzucił się na Kyle'a ponownie, zrobił w jego stronę wykop i wsadził mu but w żołądek. Kyle zwinął się, ale nie upuścił noża, wciąż trzymał go w dłoni. Mike kopnął go w zębra i zamierzył się, żeby nadeptnąć na jego dłoń, ale w tym momencie Kyle wyciągnął rękę i pchnął go nożem w goleń. I tym razem nie było to dziecinne draśnięcie, ale prawdziwy, mocny, głęboki cios. Zobaczyłam, jak ostrze znika w jeansach Mike'a, usłyszałam jego dziki wrzask, wszyscy troje patrzyliśmy, jak nóż zostaje wręcz połknięty przez nogę Mike'a. Wtedy Kyle wyciągnął nóż z powrotem i podniósł się. Mike wył, podskakując, trzymając się za nogę, szarpiąc jeansy, a krew sączyła się spod nogawki, ściekając na chodnik. Czerwono - czarna plama rozrastała się na jasnoniebieskim materiale.

- Ciota! - wrzasnął. - Pierdolona jebana ciota!!! Zajebię was. Obydwoje. Przyjdę po was i odrąbię wam toporem pierdolone łby!

Po czym odszedł, powłócząc nogą i znikając w końcu za jednym z budynków, a my patrzyliśmy za nim jeszcze chwilę, kiedy nie było go już widać, tylko słyszeć jego „kurwy!” i „cioty!”, coraz cichsze i cichsze.

Kyle upuścił nóż na ziemię i padł na kolana. Klęczał na asfalcie, z opuszczoną głową. Podniosłam nóż. Wytarłam go o swój T - shirt, schowałam ostrze i włożyłam scyzoryk do kieszeni jeansów. Usiadłam na krawężniku i

patrzyłam na Kyle'a. Nic nie mówiliśmy, nie było takiej potrzeby. Po prostu posiedzieliśmy tam jeszcze jakąś chwilę. Potem wstaliśmy i poszliśmy do domu. Nie odezwaliśmy się słowem przez całą drogę, ale nigdy wcześniej nie czułam z nim takiej bliskości. Pod jego bramą poczułam, że nie chcę się z nim rozstawać, nie chcę zostać sama, bez niego, ale stałam tylko na chodniku, patrząc, jak odchodzi samotnie. Kiedy jego klucz tkwił już w zamku i odwróciłam się, by pójść w swoją stronę, zawołał: - Anita!

Zatrzymałam się i popatrzyłam na niego. Jego oczy były znowu jego oczami. Utkwił we mnie wzrok i powiedział:

- Idziemy do zamku? Jeśli chcesz. Można by pójść i popatrzeć za tym bunkrem.

Kiwnęłam głową, patrząc mu prosto w oczy.

Wyglądał na wykończonego, ledwie trzymał się na nogach. Jakby każde słowo stanowiło dla niego ogromny wysiłek.

- Spotkamy się tutaj, przed twoim domem, o trzeciej - powiedział.

Spojrzałam na niego.

- Trzecia w nocy. Jak cię nie będzie, pójdę sam. Skinęłam głową jeszcze raz, a on patrzył na mnie jeszcze przez kilka sekund, a potem wszedł do środka i zamknął drzwi.

12.

Gdy wróciłam do domu, tata, Janice i Push, gapili się, jak Dennis Waterman znęca się w telewizji nad George'em Cole'em. Ryba, chipsy i butelka taniego wina poniewierały się na podłodze, pod ich nogami. Push leżał rozwalony w nowiutkim fotelu, który przytaskał kiedyś ciężarówką kumpla. Powiedział, że znalazł go na śmietniku - wiedzieliśmy, że to gówno prawda, ale sami lubiliśmy w nim przesiadywać. Wiercił się niemiłosiernie na skrzypiącej, lśniącej czarnej skórze. Papierosowy dym wypełniał gorące, duszne powietrze jak padający śnieg.

Janice siedziała z ojcem na wersalce, jej świńskie oczka otwarły się ze zdziwienia, kiedy wparadowałam do pokoju i usiadłam na krześle obok Pusha.

- Wyglądasz na zmęczoną, kochanie - powiedziała.

- Ta - odrzekłam, gapiąc się ostentacyjnie w ekran.

- Biedne, zagonione maleństwo, co? - drażyła temat, jakby nie mogła sobie odpuścić. - Dopiero co mówiłam do twojego ojca: „Prawie wcale jej nie widzimy. Zawsze poza domem, zawsze gdzieś biega”. - Utkwiła we mnie ciekawski wzrok.

Ojciec spojrział na mnie przelotnie, odrywając na chwilę uwagę od telewizora, spróbował się uśmiechnąć i zapatrzył się z powrotem zamglonym wzrokiem w ekran.

- Widziano cię wiele razy z tym Kyle'em Kite'em - ciągnęła Janice.

Nie odpowiadałam, gapiąc się uporczywie w telewizor.

- Dziwny chłopiec, nieprawda? - studiowała swoje paznokcie z odrapanym lakierem. - Nigdy go szczególnie nie lubiłam.

- Sporo przeszedł - zamruczałam pod nosem.

- Cóż takiego, kochanie? - spytała Janice.

Przewróciłam oczami i wbiłam się głębiej w siedzenie, ale biadolenie Janice dosięgło mnie przez hałas telewizora i duchotę pokoju.

- Widywałam go i jego małą siostrzyczkę, jak bawili się na ulicy. Biedne, małe stworzonko. Była taka słodziutka, zawsze do mnie machała rączką. Ale on jest ja kiś dziwny. - Wydęła wargi. - Przykro mi, kochanie, wiem, że jest twoim kolegą, ale jeśli mam być szczerą, zawsze napawał mnie strachem. Te jego dziwne oczy. - Wzdrygnęła się teatralnie.

Nikt nie zwracał uwagi na Janice, nawet ja udawałam, że jej nie słucham. Kiedy byłam mała, wetknęłam sobie do ucha połowę żelowego cukierka i nie mogłam go później wyjąć. Głos Janice przypominał mi tamto uczucie.

- Pamiętam jedno zdarzenie, niedługo przed tym, jak ta mała, słodka istotka zniknęła. Zatrzymałam się na ulicy, żeby do niej zagadnąć. Ledwo co powiedziałam „dzień dobry” czy coś podobnego, a ona opowiedziała mi wszystko o swoich laleczkach. I nagle ten cały Kyle pojawił się nie wiadomo skąd, podbiegł do nas i omal nie wyrwał jej ręki ze stawu. „Mówiłem ci, żebyś nie rozmawiała z nieznajomymi” - zawołał.

Potem zawlókł ją przez ulicę do domu, a ona płakała przez całą drogę. „Kyle” - prosiła, wypłakując sobie oczęta - i wcale się nie dziwię, tak brutalnie ją ciągnął. - „Puść mnie, to boli” - wołała. Potem niemal wrzucił ją do domu. - Janice zmarszczyła nos i pokiwała głową z dezaprobatą. - Tak, nieźle z niego ziółko. Lepiej trzymaj się od niego z daleka.

Gapiałam się dalej w telewizor i Janice w końcu dała za wygraną i przestała przewiercać mnie wzrokiem na wylot. Zaduch panujący w pokoju i dźwięk telewizora otuliły mnie niczym ciepła pierzyna i zdawało mi się, że zapadam w coś na kształt drzemki. Ale zagłębiając się w fotel, poczułam nagle ciężar uwierającego mnie w udo noża. W jednej chwili ujrzałam ponownie ostrze, przecinające, a potem wwiercające się w ciało Mike’a. Na nowo w mojej głowie pojawił się obraz krwi i martwy wyraz szarych oczu Kyle’a. I powróciłam myślami do przyjęcia urodzinowego Kyle’a, kiedy po raz pierwszy wzięłam nóż do ręki i przejechałam ostrzem po swoim własnym ciele, przypomniałam sobie błysk stali i czerwonego plastiku drżącego w mojej dłoni.

Przywołałam w myślach twarz Kyle’a i wtedy, bez ostrzeżenia, pojawiły się w mojej głowie odstręczające, koszmarnie myśli, których nie miałam od czasu, gdy skończyłam sześć lat. Wpełzły mi do głowy, przesączaając się przez senne zadymione powietrze, i wdarły do mózgu jak nawałnica. Nie byłam w stanie ich opanować. Nie potrafiłam im się oprzeć. Po tych wszystkich latach, nagle pojawiły się znów, nieproszeni goście na odrażającej balandze. Starzy wrogowie, łamiący zawarty lata temu pakt o nieagresji.

- Wychodzę.

Brutalnie przebudzona, patrzyłam tępo w stronę mego brata, wypadającego z domu, potem na talerz z tostami z fasolą - już zimnymi - które Janice położyła na oparciu mojego fotela minutę albo kilka godzin temu.

Poszłam do łóżka i natychmiast zapadłam w sen - głęboki, niezdrowy, z

którego wyrwał mnie odgłos żwiru uderzającego o szybę okna. Momentalnie otrzeźwiona i spanikowana spoglądałam na zegarek - było sześć po trzeciej.

- Cholera! - powiedziałam głośno i usłyszałam, jak Esha mruczy coś w odpowiedzi przez sen, kiedy ja odsłaniałam firankę i wyglądałam na ulicę, na której stał, patrząc w moją stronę, Kyle.

Ubrałam się i byłam na zewnątrz w ciągu siedmiu minut. Jeden gest, jedno spojrzenie i wiedzieliśmy wszystko. Podczas tego spaceru, tej długiej wędrówki w ciemności do Greenwich czułam się wspanialej, szczęśliwiej, pewniej niż kiedykolwiek.

Szliśmy blisko godzinę. Przez Brockley, w dół do Lewisham, później pod górę do Blackheath. Po drodze omiały nas światła nocnych autobusów z nielicznymi szarymi sylwetkami w środku, przed drzwiami domów piętrzyły się stosy zaszczypanych szmat, przebiegła też, płacząc, jakaś kobieta na szpilkach, głównie jednak roztaczała się wokół nas cisza, mroczna, upojna cisza. W końcu dotarliśmy do dzikiej części miasta, rozległej, oświetlonej księżycowym blaskiem, światła miasta śpiewały w dole swoją pieśń.

Pamiętam, że nie rozmawialiśmy ze sobą w ogóle do tego momentu - a pamiętam to dlatego, że kiedy Kyle nagle odezwał się do mnie, aż przeszedł mnie dreszcz, gdy usłyszałam jego cichy, prawie bezgłośny szept - jakby na nieruchomej powierzchni wody wylądował komar. Rzucił niby od niechcienia, jakby właśnie w tej chwili zupełnie przypadkowo przyszło mu to do głowy, ale nie był tak naprawdę zainteresowany odpowiedzią:

- Właściwie gdzie JEST twoja mama?

- Nie żyje - odpowiedziałam zbyt zdziwiona, żeby rozwijać ten temat.

Skinął głową, jakby moja odpowiedź zadowoliła go w zupełności, a ja poczułam się ośmielona, by sama zadać mu pytanie, jednak jak je tylko wypowiedziałam, poczułam się niezręcznie i głupio.

- A twoja mama... - spytałam, obserwując jego reakcję - ...dlaczego jest taka... no, wiesz?

Nie odpowiedział od razu i szliśmy w milczeniu kilka minut. Było pewne, że jest zły, więc nastawiłam się na najgorsze. Jednak powiedział w końcu:

- Jest bardzo delikatna. Dziadek mówi, że musimy się nią opiekować. Mówi, że nie... - przerwał, szukając odpowiedniego słowa - ...że nie jest z nią najlepiej.

To była dość lakoniczna odpowiedź, jednak poczułam się po niej

dziwacznie, bo sposób, w jaki jej udzielił, przypominał małego chłopczyka recytującego z pamięci coś, co wtłoczono mu do głowy dawno temu.

- Jej nerwy tego nie wytrzymały - dodał, tak jakby to wyjaśniało wszystko.

Jednak nie powiedział ani słowa, czym było „to”. Myślałam o ich trojgu w tym wielkim starym domu, o Kyle’u i Patryku biegających koło Elizabeth jak przy chorym dziecku, chodzących przy niej na paluszkach, jakby była zrobiona ze szkła, i ciarki przeszły mi po plecach. Oczami wyobraźni zobaczyłam słomianą lalkę i Patryka z Kyle’em stojących obok z zapalonymi zapalkami w dłoniach. Czulałam, że powinnam coś odpowiedzieć, i zastanawiałam się, czy rzucić dowcip, że jego rodzina jest prawie tak pochrzaniona jak moja, ale rozmyślałam się. Szliśmy jakiś czas, milcząc, aż w końcu poczułam, że nie jestem w stanie dłużej tego znieść. Musiałam go o to zapytać. Ledwo rozpoznałam swój głos, kiedy usłyszałam zadane przez siebie pytanie:

- Co się stała z twoją młodszą siostrą, Kyle? Co się jej stało? Wiesz, prawda?

Wciągnął powietrze i spojrzał gwałtownie w moją stronę, potem odwrócił się szybko, a ja zamknęłam oczy, przygotowując się na wybuch furii. Kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał jak trzask zapalanej zapalniczki.

- Pilnuj swoich spraw, Anita.

Skinęłam, nie patrząc na niego, zła na siebie, że o tym wspomniałam, ale wtedy nagle stanął. Byliśmy przy głównej drodze przecinającej wrzosowisko i pod światłem ulicznych lamp popatrzyliśmy sobie w twarz. Spojrzał na mnie w milczeniu i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale najwyraźniej nie był w stanie wydobyć słów. Wyraz twarzy miał taki, jakby pchał pod górę samochód. Odruchowo wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego ramienia. Spytałam:

- O co chodzi, Kyle? Cofnął się gwałtownie.

- Przepraszam - powiedziałam, czując się strasznie i chowając ręce do kieszeni, żeby znów go nie zranić.

Znowu próbował coś powiedzieć, ale wydobył z siebie tylko słaby charkot - z ust wyleciały mu kropelki śliny podobne do główki od szpilki. Jego oczy błyszczały w świetle lamp jak noże.

- Ja... - powiedział - ...ja...

- Co? - wyszeptałam.

- Lepiej spierdalaj! - wrzasnął, aż mało co nie wyskoczyłam ze skóry.

Przykucnął nagle, chowając głowę w ramionach.

- Kyle - powiedziałam, bliska płaczu. - Kyle, proszę, nie.

Łzy w jego oczach zaskoczyły mnie, aż umilkłam. Minał nas nocny autobus, jedyny pasażer na górnej platformie odwrócił się za nami. Kyle nadal kuczał na ziemi i wiedziałam, że jest gdzie indziej i nie zdaje sobie sprawy z mojej obecności. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego pleców, i wtedy nie zareagował zupełnie, tak bardzo był nieosiągalny. Pozostał w bezruchu, odgradzony od wszystkiego i kiedy moja ręka spoczywała jakiś czas na jego plecach, poprzednie myśli, myśli rodem z innego świata, o których prawie udało mi się zapomnieć, powróciły do mnie z taką siłą, że o mało nie straciłam równowagi. Zawładnęły całkowicie moim umysłem - szybko odwróciłam się od Kyle'a.

Ten wyprostował się w końcu i zebrał do kupy.

- Po prostu pilnuj swoich pieprzonych spraw, Anita

- wyszeptał.

I poszliśmy dalej.

Zaczekaliśmy pod bramą zamku, słuchając ujadania psa. Potem poszliśmy wzdłuż wysokiego, czarnego muru aż do momentu, gdy utonął w głębokim cieniu drzew.

- Tędy - powiedział Kyle, wskazując na najniższą część muru, wspięliśmy się na górę i zeskoczyliśmy do ogrodu po drugiej stronie.

Przed nami roztaczał się rozległy trawnik skąpany w świetle księżyca, ciemna sylwetka zamku kontrastowała z brudnopomarańczową barwą nieba. Pobiegliśmy na drugi koniec posiadłości, mijając plac zabaw dla dzieci i zagrodę pełną śpiących gęsi.

- Tu!

Kyle zatrzymał się przy ogrodzeniu przed wysoką bramą z siatki, pod nami ziemia opadała stromo w dół i zobaczyliśmy zanurzony w wąwozie las. Ciemny i butwiejący - rozedrgany, wydawało się, że oddycha w ciemności.

Sekretny las pod zamkiem. Brzmi jak ulepiona z gówna bajeczka dla dzieci, ale on naprawdę tam był, nadał jest - jak sądzę, zagnieżdżony pomiędzy wielkimi miejskimi budynkami i wypacykowanymi ogródeczkami Greenwich jak jakaś wstydliva tajemnica. Zatopiony las rozmiaru mniej więcej dwóch kortów tenisowych, przez który trzeba było się przedzierać po omacku, a wcześniej zjechać na tyłku z błotnistej wzgórza, żeby w ogóle się do niego dostać.

Kyle włączył latarkę, którą przyniósł ze sobą, bo tam, wśród drzew panowała absolutna ciemność. Przedzieraliśmy się powoli, podążając za promieniem latarki, przez gęstsze pnie, chwastów, winorośli i zbutwiałych liści. Panowała tam wilgoć i srogi zimno - nie zdawałam sobie nawet sprawy, jak bardzo za tym tęskniłam przez te wszystkie tygodnie. Nie mówiliśmy ani słowa. Zdawało mi się, że jesteśmy jedynymi ludźmi na świecie. Albo jakbyśmy znaleźli się na naszej własnej planecie, wirującej biliony mil od zagmatwanych, bezwzględnych ziemskich spraw. Nigdy tego nie zapomnę, tego spaceru, jak szliśmy razem, jedno obok drugiego. Myślę, że nigdy wcześniej nie czułam się taka szczęśliwa. Byliśmy tak blisko siebie, było nam ze sobą tak dobrze, tak naturalnie. Chciałam, żeby to trwało wiecznie, i myślę, że on czuł to samo. Nasza przyjaźń najwidoczniej czekała na ten właśnie wieczór i wypełniła sobą każdy centymetr tego zimnego, ciemnego miejsca.

- Tu! - Kyle oświetlił latarką małą polanę i kiedy podeszliśmy bliżej, zobaczyłam na końcu strumienia światła kopczyk ziemi i znajdujące się poniżej wejście. Dosłownie poczułam, jak powietrze aż drga, wypełniając się podnieceniem Kyle'a, kiedy zaczął odciągać paprocie i gałęzie, aż ukazał się włącz do bunkra - kamienne schody prowadzące ciemność.

Poszłam za nim na dół, do sklepionego łukiem, murowanego pomieszczenia, wydzielającego słodki zapach pleśni i przyjemny chłód.

- Ciekawe, do czego to służyło - powiedziałam, przełamując ciszę.

Ale Kyle nie odpowiedział. Usiedliśmy na ziemi i czułam jego rosnące szczęście - w ciemności, pod zatopionym pod ziemią lasem. Nie powiedziałam mu, że sama nie byłam aż pod takim wrażeniem - to była tylko mała, wykopana przez kogoś piwniczka. Ale nie chciałam odbierać mu przyjemności. Nie wspomniałam o moim sekrecie. Tamta jaskinia była dużo lepsza, większa, głębsza - to prawda. Wiedziałam o tym, ale wciąż trzymałam to w tajemnicy.

Wyłączył latarkę i siedzieliśmy przez chwilę w ciszy. Ciepłe uczucie rodzące się między nami zdawało się głębsze i prawdziwsze tu, w tym ciemnym miejscu. W końcu powiedział:

- Anita?

- Tak?

Milczał przez moment. Usłyszałam, jak jego oddech staje się nierówny, i zdałam sobie sprawę, że płacze. Nie wiedziałam, co zrobić. Bałam się, że znowu go zranię, i nie chciałam ryzykować.

- Kyle? - odezwałam się. - Kyle, co z tobą?

Nie odpowiadał i słuchałam w mroku, jak płacze. Po pewnym czasie powiedział:

- To ja, Anita. To ja - i jego szloch stał się nagle tak głośny i rozpaczliwy, że po omacku wyciągnęłam rękę w jego kierunku, ale kiedy dotknęłam jego ramienia, odsunął się.

- CO ty, Kyle? - spytałam zdesperowana. Powiedz mi. Proszę, powiedz mi, co masz na myśli.

Ale nie powiedział nic więcej i stopniowo jego szloch wyciszył się i urwał. Mijały minuty i wreszcie powiedział - tak cicho, że musiałam się nachylić, żeby usłyszeć:

- Chcę tu zostać na trochę. Sam.

- Dobrze - powiedziałam. - Nie ma sprawy.

Bo nie było. Rozumiałam go. Usłyszałam, jak kładzie latarkę na ziemi, kuli się, jego oddech staje się równiejszy i płytszy.

- Wyjdź, zanim zrobi się jasno - powiedziałam. - Jeżeli nie chcesz, żeby ktoś cię tu złapał.

Wyszłam, odnajdując w mroku ścieżkę, prowadzącą do wysokiej bramy, potem przebiegłam z powrotem przez oświetlone księżycem ogrody.

Poszłam na Point Hill. Usiadłam na ławce w tym malutkim parku z panoramą na miasto i myślałam o Kyle'u, śpiącym tam, pod ziemią, o jego potrzebie znalezienia się głęboko, poniżej ulicznego ruchu, rzeki, domów i ludzi. Ukrycia się jak najgłębiej przed światem, z dala od całego tego zgiełku i szaleństwa. Spojrzałam w dół na morze świateł i przypomniałam sobie znów krew spływającą po nodze Mike'a, martwe, szare oczy Kyle'a, kiedy przecinał nożem materiał i ciało, i wrzaski zszokowanego Mike'a. I to pytanie, które kołotało mi po głowie cały czas, którego nie ośmielę się nigdy więcej zadać. Co stało się z Katie? Gdzie jest siostra Kyle'a teraz?

Wyjęłam scyzoryk z kieszeni, wysunęłam największe ostrze i napawałam się widokiem błyszczącej stali. Patrzyłam na niezmierną, brylantową sieć gwiazd rozciągniętą na niebie, pomimo różowego światła zaczynającego krwawić na horyzoncie. Chłonełam bezkres miasta roztaczającego się nieskończenie przede mną i poczułam nagle taką siłę, moc i szczęście, że wyszłam na ławkę i rozpostarłam nad głową ramiona. Poczułam się tak, jakbym szybowała nad Londynem, jakbym pikowała z Point Hill nad światłami bijącymi z milionów nagich latarnianych lamp. Miliony świateł

milionów samochodów pomiędzy milionami latarni. I kiedy stałam tam, w mojej głowie przekreśliło się nagle milion kluczy, otwierając niespodziewanie milion drzwi.

Tam, wysoko nad Londynem, poczułam, jak moje serce łączy się z sercem śpiącego głęboko w dole Kyle'a. I szybowałam ponad miastem, jego obrończyni, z ostrzem w zaciśniętej dłoni.

13.

Szpital New Cross. 4 września 1986. Zapis rozmowy między doktorem C. Bartonem a Anitą Naidu. Kopia policji

Nie odezwał się do mnie, przypuszczam, że chciał po prostu szybko zakończyć tę sprawę. Pozostawił odkryty właz, więc dostrzegłam bez trudu kamień w jego dłoni i widziałam jego oczy, ale jemu musiało być trudniej zobaczyć mnie, rozumie pan? Jego oczy nie zdążyły przyzwyczać się do ciemności, a poza tym nigdy nie widział swojego urodzinowego prezentu w mojej dłoni. Nie wiedział o nożu. Kiedy mnie odnalazł, uniósł dłoń z kamieniem, żeby uderzyć nim w moją twarz, żeby skończyć ze mną tak samo, jak skończył z innymi, i chociaż nawet nie celowałam w jego gardło, nóż trafił go akurat tam. Zrobiłam to. Musiałam go zabić, inaczej on zabiłby mnie. I kiedy to się stało, nie uciekłam od razu. Myśli pan, że tak powinno być, prawda, ale ja usiadłam po prostu z nimi leżącymi dookoła, słońce wpadało przez otwór i świeciło na nich, i było tak cicho, tak absolutnie cicho. Zostałam tam jakiś czas, bo wiedziałam, że jak tylko wstanę, jak tylko wstanę i ucieknę, i zostawię ich tu samych, wtedy to wszystko stanie się prawdą. Rozumie mnie pan? Jak tylko opuszczę to miejsce, czas ruszy do przodu i wtedy stanę się osobą, której się to wszystko przytrafiło, i nie będzie już wtedy odwrotu. Dlatego zostałam tam z moimi przyjaciółmi, na jakiś czas. A potem wstałam i po prostu uciekłam.

Malcolm ma jasnobrązowe oczy i kiedy na mnie patrzy, czuję się jednocześnie szczęśliwa i spanikowana. Podekscytowana i smutna. Dwa tygodnie temu szliśmy razem do naszej kawiarni i po drodze on wziął mnie za rękę. I po prostu mnie zmroziło. Zamroczyło mnie ze strachu. Odtrąciłam jego dłoń i uciekłam. Zwyczajnie zostawiłam go tam, na środku ulicy. Czy może pan w to uwierzyć? Biegłam całą drogę do domu i nie otworzyłam mu, kiedy pukał. Stał pod moimi drzwiami całe popołudnie i błagał:

- Proszę. Naprawdę bardzo, bardzo przepraszam, Anita. Proszę, Anita, proszę.

Ale ja nie otworzyłam i w końcu sobie poszedł. Mieliśmy iść tego wieczoru razem do kina.

Ale nie o tym chce pan słuchać, panie doktorze, prawda? Nie po to przyjechał pan z tak daleka i pisał te wszystkie listy, żeby wysłuchiwać historii o mnie i Malcolmie. Nie tego pan oczekuje po ponownym spotkaniu ze swoją ulubioną pacjentką. Pan chce odkryć o niej całą prawdę.

To nie była moja wina. Niczemu nie jestem winna.

Nie widziałam Kyle'a przez dwa dni od tej nocy z zamkiem i myślałam, że oszaleję, tak strasznie chciałam z nim porozmawiać. Zaczęłam czuć, że kiedy nie jestem z nim, wszystko traci sens, że kiedy go nie ma w pobliżu, przestają naprawdę istnieć.

We wtorkowe popołudnie czekanie zaczęło doprowadzać mnie do szaleństwa. Stałam jakiś czas w oknie wychodzącym na ulicę, gapiąc się bezsilnie na jego dom, czekając, że może się pojawi. Potem wyszłam i usiadłam na schodach przed naszymi drzwiami. Myślałam o tym, jak to będzie w przyszłym tygodniu, gdy zacznie się szkoła, jak wszystkie ulice i autobusy zapełnią się dziećmiakami w mundurkach, ze mną włącznie. Bezimienny strumień dzieci, tak samo ubranych, wyglądających tak samo. Tego dnia miałam na sobie szorty Pusha i słońce paliło moje kolana. Zakryłam je dłońmi i wtedy słońce zaczęło palić z kolei moje ręce. Spojrzałam na wielkie czarne drzwi pomiędzy dwoma drzewami, pragnąc, by się otwały. Po godzinie powiedziałam sobie: „Nie bądź głupia” i próbowałam wziąć się w garść, podnieść się i zapukać do drzwi Kyle'a. Ale nie mogłam się na to zdobyć. Ciągle miałam w pamięci tę scenę w parku, kiedy wrzeszczał na mnie i kazał mi trzymać się z daleka od jego domu.

Wiedziałam, że teraz było inaczej - wiedziałam, że wszystko między nami się zmieniło, ale wciąż nie mogłam się na to zdobyć. I właśnie wtedy przypomniałam sobie o scyzoryku. Wciąż go miałam u siebie. Był na górze, pod moim materacem. Prezent urodzinowy Kyle'a. Patryk na pewno zapyta Kyle'a, co się z nim stało. Kyle na pewno chciałby go odzyskać. Na pewno. Pobiegłam na górę i w Sekundę byłam z powrotem. Wahałam się jeszcze przez chwilę, po czym ruszyłam w stronę domu Kyle'a w obawie, że za chwilę mogę się rozmyślić. Pokonałam cztery stopnie schodów prowadzące do jego drzwi, położyłam ręce na kołatce i znieruchomiałam. Było otwarte. Drzwi były uchylone. Gapiłam się na nie jak debil przez kilka chwil. Później zapukałam. Drzwi uchylły się jeszcze odrobinę. Czekałam. Nic. Przyłożyłam ucho do szpary i nasłuchiwałam. Nic. Zajrzałam do środka, popychając drzwi jeszcze kawałeczek. Nikogo. Zapukałam jeszcze raz, odczekałam, potem weszłam do środka.

Zamknęłam za sobą drzwi i stałam, nasłuchując odgłosów domu. Było zupełnie cicho. Wyteżałam słuch, ale nie mogłam wychwycić żadnego dźwięku, tykania zegara, kapiących kropel, jakiegoś szmeru, trzasku, nic. Zastanawiałam się, czy może gdzieś wszyscy nie wyszli, i lekko spanikowałam na myśl, że nagle wracają i znajdują mnie tutaj - intruza - nawet jak nie złodzieja, to tak czy inaczej włamywacza - stojącego tu, po niewłaściwej stronie ich drzwi. Wtedy uświadomiłam sobie, w jakim stanie

znajduje się matka Kyle'a - że jest zupełnie niezdolna do opuszczenia domu, i uznałam, że muszą być wszyscy na gorze, układając ją do snu albo czytając jej bajki, albo odprawiając wokół niej jakieś inne, cholera wie, jakie, rytuały. Już prawie wychodziłam. Prawie.

Nie chciałam wołać, nie miałam ochoty usłyszeć swojego głosu, odbijającego się echem od tych cichych schodów, poza tym za bardzo bałam się spotkania z Kyle'em, tu, w jego domu, nieproszoną i niemile widzianą. Na myśl o tym przeszedł mnie dreszcz. Zebrałam się do wyjścia, do dalszej obserwacji z drugiej strony ulicy, do czekania na powrót Kyle'a, gdziekolwiek był. Ale nie wyszłam. Nie wyszłam, bo w końcu korytarza, za drzwiami do przedpokoju, znajdował się pokój, w którym nigdy nie byłam. To było nie do zniesienia kuszące. Czy był pan kiedyś w czymś domu, kiedy nikt nie wie, że pan w nim jest? Powinien pan kiedyś spróbować - to niesamowite uczucie. Postanowiłam, że tylko rzucę okiem i zaraz wyjdę. Od razu. Nic złego się nie stanie. Jak mówiłam, ten dom był dla mnie czymś fascynującym.

Pokój okazał się kuchnią, niemal tak wielką jak korytarz. Na podłodze znajdowały się poobijane czerwone płytki, wielkie białe koryto zlewu wypełniały brudne garnki i talerze, wysoki stary kredens wypchany był różnymi pierdołami, które zazwyczaj trudno znaleźć w kuchni - była tam futrzana czapka, stosy książek, deskorolka. Na stole poniewierały się brudne talerze i puszki, wypełnione do połowy żarciem. Ktoś cisnął tosta na podłogę. Cholerny burdel, innymi słowy - w moim domu było w porównaniu z tym całkiem nieźle.

Rozczarowana, skierowałam się do wyjścia, ale wtedy, kątem ucha, wyłowiłam jakiś hałas. Właściwie nie hałas. Raczej dźwięk, słyszany jakby przez sen, którego nie jest się pewnym, bardziej ruch powietrza niż dźwięk. Za chwilę usłyszałam go znowu. Wtedy dopiero, w odległym kącie kuchni, zobaczyłam drzwi. Zwróciłam uwagę na drobne kwiatuszki, wyrżnięte w matowym szkłe, które połyskiwały i mrugały zapraszająco. Spojrzałam szybko przez ramię, po czym zaczęłam wpatrywać się przez szybę.

Byli tam. Kyle i Patryk, w małym, niskim pokoju, który, jak zauważyłam, musiał być czymś w rodzaju przybudówki. Tam właśnie byli, widoczni przez wizjer w kształcie płatk. Widziałam ich - w tym małym pokoju, który, podobnie jak kuchnia, wypełniony był jakimś syfem, widziałam ich skąpanych w złotym świetle, które przesączało się i wpełzało przez zakurzone powietrze i brudne okna. Widziałam ich. Jak utrwalony na staromodnej fotografii, w sepii, cichy, zabarwiony żółtą barwą moment, zawieszony w wieczności, niezatarty, niezaprzeczalny. Widziałam.

W górnej części okna tego małego pokoiku był witraż i światło rzucało czerwone, niebieskie i zielone kwadraty na nagie plecy Kyle'a. Stał z twarzą schowaną w objęciach swego dziadka. Nic się nie poruszało, zupełnie nic - ani ja, stojąca na zewnątrz, wpatrująca się poprzez płatki, ani Patryk - siedzący z zamkniętymi oczami na rozklekotanym starym stole, ze spodniami i majtkami owiniętymi wokół kostek, z oblaną żółtym światłem, pomarszczoną dłonią z żyłami jak korzenie, spoczywającą na nagich pośladkach wnuka.

Wszystko pozostawało nieruchome, kiedy stałam w miejscu, w którym nie powinnam się była znaleźć, w czyjejś obcej kuchni, gapiąc się poprzez szklane stokrotki, w słoneczne wtorkowe popołudnie tamtego lata, kiedy miałam trzynaście lat. Nic się nie poruszało, wszystko było nieruchome, oprócz dłoni mojego przyjaciela, która przesuwiała się w przód i w tył, w przód i w tył, nie za szybko, nie za wolno, ale troskliwie, celowo na nagim podbrzuszu dziadka.

Poczułam, jak żołądek podchodzi mi do gardła.

Powietrze rozłamało się na części. Wyszło ze mnie.

Miliony drobinek światła zawirowały mi przed oczami, adrenalina uderzyła we mnie tak, jakbym idąc po schodach, zrobiła krok w pustkę i spadała w dół. I spadała. Patrząc wstecz, wydaje mi się, że od tej chwili nigdy nie poczułam pod nogami twardego gruntu.

Wyszłam z tej kuchni, wydawało mi się, że moje nogi są trzymane na postronku przez jakieś ludzkie dłonie, które prowadzą mnie przez korytarz, prawie do drzwi wyjściowych.

Prawie.

Bo tam była ona - Elizabeth. Stała w połowie schodów, z jedną ręką na poręczy, drugą podniesioną do ust. Przebiegła trwoźnym, pełnym winy wzrokiem po mojej twarzy, potem odwróciła się w stronę kuchennych drzwi. Te jej przerażone, przepelnione winą oczy powiedziały mi, że wie, że wiedziała zawsze.

14.

Zderzak czerwonego samochodu drasnął tyły moich kolan, lala siedząca za kółkiem zrobiła się zupełnie biała na twarzy i niemal zamarła w przerażeniu. Wycie klaksonu zmagало się z przesywającym moją głowę wrzaskiem. Koleś w zielonym dresie i jego pies zastygli w bezruchu, rozdziawiając ze zdziwienia gęby. Drzwi domu numer 33 pozostały na oścież otwarte. Słońce świeciło mi w twarz. Zastanowiłam się przez chwilę, czy oni też tam byli, czy cały zaszary świat wiedział, oprócz jednej jedynej kretynki - mnie, i wtedy zdałam sobie sprawę, że omal nie zostałam rozjechana, że stoję pośrodku ulicy. To wszystko.

Facet z psem coś mówił, jego słowa unosiły się między nami jak dym. Zaczął iść w moją stronę, a tamta idiotka też już zdążyła wysiąść z samochodu. Więc odwróciłam się i uciekłam, aż do parku na końcu drogi. Usiadłam na ławce, z głową zwieszoną prawie na brzuch, wymioty podeszły mi do gardła, marzyłam, żeby móc zakopać się w trawie, w ziemi, wśród robaków i korzeni, i zwinąć się w kłębek, tak żeby nikt nie mógł mnie odnaleźć, i wtedy zrozumiałam, o co chodziło Kyle'owi, wiedziałam już dlaczego. Ale zamiast tego siedziałam na tej ławce, słuchając rozlegającego się w mojej głowie szczęku ostrzonych noży, czując w ustach smak metalu.

Zrobiło się ciemno, kiedy wróciłam do domu. Byli wszyscy, nawet moje siostry. Gwałtowny hałas i światło bijące z salonu po ciszy parku sprawiły, że poczułam się jak naćpana. Próbowałam prześliznąć się przez korytarz i uciec na górę, ale nagle pojawili się tam: Esha, Bela, Push, Janice i ojciec, stłoczeni w przejściu, i wpili we mnie podniecony wzrok jak kły. Bałam się, że zemdleję, dlatego oparłam się o ścianę, żeby nie upaść. Próbowałam skoncentrować się na białym kawałku papieru, którym machała mi przed nosem Janice.

- Bem Bom Brothers - zawołała. - Margate! (Bem Bom Brothers - wesołe miasteczko w kurorcie Margate nad Morzem Północnym, około 100 km od Londynu.) Rozdziawiła swą pomalowaną na różowo gębę w dzikim zachwycie, ukazując rząd drobnych żółtych zębów, podobnych do tik - taków.

- Szczęśliwy los!

Spojrzałam na Pusha, który udawał znudzonego.

- Wygrała - powiedział. - Jedziemy wszyscy do Krainy Snów. - I uśmiechnął się promiennie, jakby miał sześć lat.

Wtedy wszyscy naraz zaczęli mówić. O jakiejś loterii, o siostrze Janice,

która pracowała w pobliskim domu dla czubków i coś tam tak zalawrowała, żeby Janice mogła wygrać, że oni wszyscy jadą i czy ja chcę jechać do Margate, przejechać się kolejką, albo może „Mary Rose”? („Mary Rose” - angielski okręt wojenny, który zatonął podczas bitwy z Francją w 1545 roku w cieśninie Solent pomiędzy wyspą Wight a Anglią.) Bilety na pociąg też są w pakiecie i wszystkie atrakcje w wesołym miasteczku. Czy chcę jechać? Wziąć udział w rodzinnej wycieczce?

„Tak” - powiedziałam. „Jasne” - powiedziałam. O ile tylko mogę pójść na górę. Jeżeli tylko pozwolicie mi iść spać.

Stacja Lewisham, peron drugi.

Wszystko rozmazane, jak za ścianą deszczu. Pamiętam przypadkowe obrazy, pojawiające się niespodziewanie w zasięgu mego wzroku. Graffiti na ścianie: MICHELLE KOCHA JONA i DARREN PIERDOLI W DUPEŁ ARABÓW. Kałuża tizera u moich stóp, rozlanego tysiące lat temu, gapiłam się na nią i gapiłam, jakby była jakimś cudem, dla którego tysiące ludzi przemierzają świat, żeby ujrzeć Boga w skrawku starej szmaty albo Chrystusa w kawałku tostu. Jak gdyby gapienie się na coś przez określoną ilość czasu mogło sprawić, że ujrzę w tym jakiś sens.

Ale widziałam tylko rękę Kyle’a poruszającą się między nagimi udami jego dziadka.

Byliśmy tam wszyscy sześcioro, czekając na przyjazd pociągu. Wstaliśmy specjalnie wcześniej, ale już o dziewiątej rano panował niesamowity upał, było tak gorąco jak nigdy, jakby słońce oddawało całą swoją pozostałą moc, ostatnie tchnienie przed eksplozją.

- Wiesz - powiedział kiedyś Kyle - że słońce, świecąc, staje się coraz mniejsze? Że im mocniej świeci, tym jest go mniej? Każdego dnia, świecąc, staje się odrobinę lżejsze. Kiedyś w ogóle nie będzie słońca.

Myślałam o Katie Kate. Myślałam o wyrazie twarzy matki Kyle’a wtedy, gdy mnie zobaczyła, tam, w korytarzu. Moja głowa zamieniła się w stół bilardowy, myśli odbijały się rykoszetem od brzegów. Usłyszałam hałas, jakby ktoś walił kijem w szyny. Zdałam sobie sprawę, że to także w mojej głowie.

Ja w salonie w domu Kyle’a z Patrykiem.

„Co się stało, Patryk. Co się stało z Katie?”. „Nie wiem, kochanie, naprawdę nie wiem”.

Pociąg przyjechał i wsiedliśmy. Osobny przedział. Czy takie rzeczy

jeszcze w ogóle istnieją? Nasz własny osobisty przedział, cuchnący rozgrzanym kurzem i starymi kiejami, z siedzeniami pokrytymi czymś szorstkim. Podłoga w kolorze oczu Kyle'a. Białe, błyszczące ściany, wysmarowane czymś brązowym i czymś żółtym. Swastyka i logo Frontu Narodowego naprzeciw wielkiego penisa ze strzelającymi z czubka trzema cienkim strużkami, narysowanymi niebieskim długopisem. Pod spodem na czarno: KOCHAM CIĘ. Ja, Bela i Esha po jednej stronie. Janice, tata i Push naprzeciw. Nie było żarówki, więc tunel przejechaliśmy, siedząc w ciemności.

Janice miała na sobie różową, błyszczącą kieckę - wyglądała jak bombonierka. Jej wystające cycki lśniły jak dwie łyse pały. Słońce za otwartym oknem podążało naszym śladem i raz po raz zapadałam w gorączkowy sen, za chwilę się budziłam i tak w kółko. Słuchałam rozmowy Beli z Esha, nie wiem, kiedy ich akcent z Yorkshire zmienił się w południowolondyńsko - zachodnioindyjski nosowy slang.

- I wtedy on: „Jesteś napalona”, a ja: „Nie, pieprz się, facet!”.

- Powaga?

- Tak, stara.

- Łał!!! Nieźle. Ale dupek!

- Nie?

Myślałam o tej nocy, kiedy poszłam z Kyle'em do zamku.

„Co się stało z twoją siostrą? Wiesz, prawda?”.

Twarz Kyle'a, żółta w świetle latarni. Moja dłoń na jego plecach.

Usiadłam prosto, potrząsnęłam głową, starając się nie myśleć o niczym. Piekły mnie oczy i wszystko widziałam w nienaturalnie jaskrawych barwach, jak nabazgrane żółtym markerem. Wpatrywałam się intensywnie w Pusha, by cokolwiek robić. Ten gapił się w okno, słuchając walkmana, którego przyniósł kiedyś do domu, twierdząc, że dostał go od kumpla (choć był zupełnie nowy, nawet nierozpakowany), i zauważyłam po raz pierwszy, że ma wygolony z boku głowy symbol Nike i że rosną mu włosy nad górną wargą. Zobaczyłam, że jego paznokcie i skóra wokół nich są obgryzione do żywego. Oblążące ze skóry, pokryte strupami kikuty, na jednym z nich duży złoty sygnet. Ich widok z jakiegoś powodu sprawił, że coś ścisnęło mnie w środku. Wjechaliśmy w kolejny tunel i wynurzyliśmy się po drugiej stronie.

Poczułam, jak ściany mojego mózgu zaczynają niebezpiecznie się do siebie zbliżać. Tata i Janice otwierali puszki taniego piwa.

Tata w swoim kardiganie i Janice, stukający się puszkami, mówiący: „Na

zdrowie”.

Ręka Kyle'a na nagim podbrzuszu Patryka.

Nagle Janice zaczęła się ryc między mnie a Eszę, piwo ułało się jej na nogę, wyraz zatroskania wypełził na jej tłustą, ciastowatą twarz. Dotarło do mnie jak przez mgłę, że od jakiegoś czasu coś do mnie mówi.

- Dobrze się czujesz, kochanie?

Spodnie Patryka skłębione wokół jego kostek. Odwróciłam wzrok, próbując się skoncentrować.

- Tak, dobrze.

Przyłożyła spoconą pulchną dłoń do mojego czoła. Wpatrywała się we mnie z niechęcią.

- Źle wyglądasz, kochanie.

Popatrzyła na tatę, który spoglądał na nas z niepewnym uśmiechem. Włożyłam twarz w dłonie, starając się nie wybuchnąć płaczem. Po chwili wzięłam się w garść.

- W porządku - powiedziałam. - Tylko mi gorąco.

Ale Janice już zdążyła się odwrócić i rozmawiała z Pushem o czymś zupełnie innym.

Musieliśmy się dwa razy przesiadać, zanim dotarliśmy do wybrzeża Kentu. Ze stacji Margate poszliśmy przez miasto na plażę, dźwigając reklamówki z kanapkami. Słońce wisiało ciężko na niebie, a świat kurczył się i płonął, jak śniony w gorączce sen. Wlekliśmy się wzdłuż sklepów i straganów, które nie zostały jeszcze zabite dechami - oferujących lody, prezerwatywy, piłki plażowe, wiaderka i łopatkę, kapelusze, sztuczne cycki, hula - hoop i plastikowe rakiety do tenisa. Na ulicach kłębił się tłum nie do zniesienia, a kiedy w końcu dotarliśmy na plażę, wszystko było jasne, tak jasne, aż raziło.

Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby niebo było tak ogromne. Szliśmy po plaży, jakbyśmy wylądowali na księżycu, piasek parzył stopy przez sandały. Ciągnęłam się za nimi, nie myśląc, nie czując, nie widząc ani nie słysząc, po prostu zatrzymywałam się tam, gdzie zatrzymywali się oni, szłam tam, gdzie oni szli. Upał, tłumy ludzi i mewy, i hałas, i rozległe błękitne niebo, a potem pojawiło się morze, a ja zatrzymałam się i patrzyłam, bo nigdy wcześniej nie widziałam morza, i zastanawiałam się, ile z niego było kiedyś w Tamizie. Jego bezmiar, nieskończoność, doprowadziły mnie niemal do

histerii, czułam się tak, jakby w moich piersiach utkwił uwięziony ptak i tłukł się tam w panice. Staliśmy wszyscy sześcioro rzędem wzdłuż brzegu, bez słowa gapiąc się w fale.

Nagle Janice zapiszczała:

- Hej, patrzcie!

I wszyscy przestaliśmy gapić się w fale i powędrowaliśmy wzrokiem za jej palcem, na końcu którego, na tle niezmierzonego błękitnego nieba, wyłaniał się ogromny roller - coaster, i zobaczyliśmy bramę wejściową i migoczące nad nią lampki tworzące napis: KRAINA SNÓW BRACI BEM BOM. Spojrzałam na twarze członków mojej rodziny - zagapione w zachwycie w bramę wesołego miasteczka, jak gdyby leżały za nią klucze do wszystkich zagadek świata i wszystkie marzenia miały się za chwilę spełnić.

W wyśniewionej krainie było tak, jakby ktoś uderzał cię po głowie ze wszystkich stron naraz monstrualnym, migającym cym neonami młotem. A potem jeszcze klaun sprzedawał ci raz za razem regularne kopy w żołądek. Koszmarnych rozmiarów Woody Woodpecker na czymś w rodzaju mechanicznej sprężyny młócił powietrze, wydając dźwięk podobny do salwy z karabinu, i trąbił z maniackim uporem w naszym kierunku, a syrena wyła gdzieś, jakby zbliżał się nalot. Relax - ryczeli z elektrycznych samochodzików „Frankie Goes to Hollywood”, Like a Virgin Madonny waliło z głośników w kształcie kierów i karo. Jakiś facio jęczał przez głośnik: „Krzyczcie, dziewczyny, krzyczcie!”. A wszystko przepełniało to mdlące, białe światło.

Tata i Janice pokłusowali w kierunku salonu gier. Esha i Bela poleciały do samochodzików, Push został w parze ze mną. Prowadził mnie - właściwie ciągnął - do wszystkich atrakcji naraz. Czułam, że odpowiadam coraz wolniej na jego pytania, a rzeczy, na których zatrzymałam wzrok, dryfowały i wirowały bez żadnego powodu, i miałam takie uczucie, jakby ktoś przywiązał cegłówki u moich rąk i nóg.

Ludzie z dziećmi śmiali się i kłócili, zakrywając twarze cukrową watą. Tłum kłębił się w kolejce do roller - coastera i czegoś w kształcie ogromnej, obracającej się w powietrzu łodzi. Zapach hamburgerów wypełniał powietrze i wszystko mieszało się w strumieniu dźwięków i kolorów, najpierw szybko, potem wolniej - obraz był zamazany, ale przypadkowe, dziwne rzeczy nagle ukazywały mi się w pełni - jasno i wyraźnie. Widziałam ojca z Janice w okolicach karuzeli z wirującymi filizankami, trzymali się za ręce, zobaczyłam, jak na siebie spojrzeli - było w tym tyle czułości, że omal nie padłam. Nie patrzyłam na to nigdy w ten sposób - jakoś nie przyszło mi

wcześniej do głowy, że się kochają. Dziecko zaniósł się płaczem, bo spadły mu na ziemię lody z wafelka, jego twarz wyglądała jak jeden zapocony, czerwony kłębek rozpacz. Jeden koleś, robiący - jak widziałam - przy samochodzikach, całował Eszę, jego dłoń spoczywała na jej lewej piersi. Bela paliła fajkę obok nich, z wyrazem znudzenia na twarzy.

Później Push pociągnął mnie za rękę przez gorący, czarny, rozpływający się asfalt, moje klapki zapadały się z każdym krokiem. Staliśmy całą wieczność w kolejce do roller - coastera i w końcu znaleźliśmy się w środku. Pognaliśmy w górę, w ogromne, błękitne niebo, w stronę oślepiającego słońca, które każdego dnia, jak mówił Kyle, waży trochę mniej.

I nagle dotarło do mnie, co się stało z Katie.

Mknęliśmy serpentynami w górę i w dół, spadaliśmy i wlatywaliśmy w powietrze, a ja coraz więcej zaczynałam rozumieć. Wiedziałam z absolutną pewnością, co stało się w domu pod numerem 33 tamtej nocy zeszłego lata.

Wagonik stopniowo zwolnił i wylądował na dole, i kiedy poręcz uniosła się, poszłam za Pushem po metalowej, ruchomej platformie, która - wydało mi się - zmieniła się nagle pod moimi stopami w wodę - i zrobiłam krok w nicość. Pociemniało mi w oczach. Uderzyłam policzkiem w asfalt, moje ciało zanurzyło się w wielkim nic i jeden Bóg wie, jak długo leżałam na ziemi, ale stopniowo zaczęły pojawiać się przed moimi oczami cienkie, kłujące promienie światła, coraz większe i większe, aż w końcu ujrzałam w całej okazałości obrysowane czarną kreską słońce. Moje ciało było jak przygwożdżone do asfaltu, nie miałam siły się podnieść.

Zdałam sobie sprawę, że jestem otoczona przez las nóg i, starając się powstrzymać wymioty, uniosłam głowę i zobaczyłam z kolei pierścień twarzy wgąpiionych we mnie z zainteresowaniem, jakbym była jeszcze jedną atrakcją po drodze do wielkiej, wirującej niby - łódki. Usłyszałam jak przez mgłę jęczący głos Pusha:

- Normalnie upadła! W jednej chwili stała, a za moment leżała na ziemi. Chyba zemdląca. To nie moja wina.

Położyłam głowę z powrotem na asfalcie i patrzyłam na wszystkie te nogi. Nikt nic nie powiedział ani nie zrobił i poczułam dziwny niepokój, że będą mną rozczarowani. Zaczęłam myśleć o tym, żeby wstać, ale nie byłam w stanie sobie wyobrazić, jak tego dokonać.

W końcu las nóg rozsunał się, by zrobić miejsce parze spodni, które poznałam. Należały do mojego ojca - wytarte na kolanach, z przydługimi nogawkami, które ubierał zwykle do jedynej pracy, jaką kiedykolwiek miał -

przy autobusach w Leeds. Podniosłam głowę - był tam - mój tata, przepychający się przez tłum, torujący sobie drogę łokciami, Janice i Push szli jego śladem. Mój tato. I podczas gdy wszyscy stali i gapili się nieruchomo, on ukląkł na ziemi i podniósł mnie na ręce, i niósł przez cały ten jarmark, przez bramę wyjściową, przez plażę, przez miasto, całą drogę na stację niósł mnie na rękach. Całą drogę - w upale, przez tłum, a ja położyłam mu głowę na piersi i słuchałam bicia jego serca - serca mojego taty - pod nylonowym kardiganem.

Inny osobny wagon, inne napisy na ścianach. Ja leżę po jednej stronie, moja rodzina siedzi naprzeciwko. Wpatrzeni we mnie pełnym napięcia wzrokiem, z otwartymi ustami, jakbym była czymś ekscytującym w telewizji. Więc zamykam oczy i udaję, że śpię, i słucham Janice i ojca, szepczących coś na temat grypy albo że to może „sprawy kobiece”, i myślę o Kyle’u, o tym, o czym już wiem, i nagle rozumiem dokładnie, co trzeba zrobić.

15.

Szpital New Cross. 4 września 1986. Zapis rozmowy między doktorem C. Bartonem a Anitą Naidu. Kopia policji

Biegłam całą drogę. Bocznymi ulicami, koło gazowni, elektrowni, wzdłuż rzeki. Biegłam całą drogę, przez tłum tych wszystkich turystów, koło „Cutty Sarka”, wzdłuż stoisk i sklepów. Nie zatrzymałam się ani razu aż do chwili, kiedy dobiegłam na, posterunek, i wtedy wszystko stanęło w miejscu. To było najdziwniejsze ze wszystkiego. Znalazłam się tam - nagle - na posterunku policji i wszystko ucichło, i wtedy spojrzałam po sobie i zobaczyłam wszędzie krew, na każdym skrawku mojego ciała, i wciąż ścisnęłam w rękę zakrwawiony nóż, urodzinowy prezent Kyle’a. A ci wszyscy gliniarze stali tam jak zamurovani, milcząc, wpatrzeni we mnie, ci wszyscy wielcy mężczyźni, tak przerażeni byli moim widokiem. I usłyszałam czyjś krzyk, ktoś krzyczał - naprawdę głośno - i zdałam sobie sprawę, że to ja. I nagle wszystko zmieniło się w krzyk i głosy, i pytania, a potem w syreny i lekarzy, i w końcu w ciszę szpitalnej sali, gdzie zostawili mnie na jakiś czas, zanim przyszli do mnie znowu z niekończącymi się pytaniami. Ale ta szpitalna cisza była z jakiegoś powodu straszniejsza niż wszystko inne, a jedyne, o czym mogłam wtedy myśleć, to: „Gdzie jest bucik Katie? Musiałam go zgubić, biegnąc, gdzieś nad rzeką. Musiałam go zgubić”.

Tak więc Denis zniknął kilka dni później. Poszłam do sklepu kupić jakieś słodycze i siedziałam jak zwykle na schodkach przed domem, pijąc colę z bąbelkami i ssąc jeden za drugim cukierki w kształcie dżdżownic. Niebo było ciężkie, zachmurzone - wciąż panował upał, ale dało się wyczuć z oddali chłód - nadciągającą burzę. Przypominało to moment, gdy patrzy się na spadające szkło - tę chwilę, zanim uderzy w podłogę i roztrzaska się na kawałki. Siedziałam i czekałam.

Myślałam o czymś, co przydarzyło mi się, gdy byłam mała. Któregoś dnia pojechaliśmy z rodziną do cyrku w Hunslet - niedaleko miejscowości, w której mieszkałam. Moja przyjaciółka Susan Price pojechała z nami także i siedzieliśmy wszyscy w ogromnym, zimnym namiocie na ławce z obłazącą farbą. Wciąż pamiętam ciepło obejmującego mnie maminego ramienia i dłoni Susan w mojej dłoni. Koło mnie siedział Push w zielonym kapeluszu z pomponem, prawie tak dużym jak on sam, i moje siostry w identycznych budrysówkach i puszystych szalikach.

Oddech mojego ojca unosił się jak dym w mroźnym wieczornym powietrzu. Przeszywały nas światła i kolory, bicz konferansjera wydawał niesamowite trzaski, śmieszna małpka jeździła na czerwonym rowerku,

piękne panie w cekinach huśtały się na trapezach, był lew o błyskających oczach i zębach... Ryczeliśmy ze śmiechu na widok klaunów i krzyczeliśmy z przerażenia, gdy linoskoczek udał, że spada. I wszędzie dookoła nas w tym ogromnym namiocie jarzyły się oślepiające światła, unosiły zapachy jabłek w toffi i pieczonych kasztanów, i wszędzie były trociny, a gdzieś z tyłu za nami grała orkiestra dęta.

Po zakończeniu, w tłumie śpieszącym ku wyjściu, Susan i ja zostałyśmy odcięte od reszty rodziny i poniesione przez morze nóg i poły płaszczy. Nagle Susan potknęła się i upadła, jej dłoń wylądowała na rozbitej butelce po piwie. W mojej głowie wciąż roiło się od lwów i trocin, klaunów i tłumu, oślepiającego światła i dźwięków trąb, i kiedy Susan podniosła rękę, żeby pokazać mi zakrwawiony kawałek zielonego szkła sterczący z jej dłoni (oczy miała szeroko otwarte i zapłakane z przerażenia), ja byłam w stanie tylko się gapić, jak zahipnotyzowana, na czerwoną krew i zielone szkło połyskujące w bladym świetle sączącym się z budki z hot - dogami. Czerwona krew, białe ciało i zielone szkło, błyszczące, migotliwe, piękne w przyćmionym świetle nagiej żarówki.

Nie myślałam o tym świadomie, po prostu odpłynęłam - widziałam tylko piękno barw - czerwieni, bieli, zieleni. I zamiast wyciągnąć szkło, wepchnęłam je jeszcze głębiej - nie chciałam, ale po prostu nie byłam w stanie się oprzeć temu widokowi - zafascynowana - jak rana powiększa się i krwawi. Nie byłam świadoma tego, że Susan krzyczy.

Nagle znalazła się za mną mama, podniosła Susan na ręce, wyjęła szkło i zawinęła jej dłoń w chusteczkę, pocałowała i przytuliła, a Susan płakała i płakała. A ja tylko dalej pragnęłam widoku tych pięknych błyszczących kolorów - tej czerwieni, tej bieli, tej zieleni.

Siedząc na tych schodach, ujrzałam nagle w oddali jakąś postać. Szła w moim kierunku, od strony głównej drogi. Zdałam sobie sprawę, że idzie jakoś dziwnie. Najpierw pędziła w pośpiechu, potem stanęła i znowu szła, tym razem wolniej. Patrzyłam przez jakiś czas, jak idzie Myre Street nierównym krokiem, i dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że to mama Denisa - Gloria. Mimo upału miała na sobie czarny płaszcz i niebieski beret sterczący sztywno na czubku jej fryzury w stylu Playmobila. Pomyślałam, że wygląda jak wielki czarny chrząszcz.

Kiedy znalazła się w pobliżu domu Kyle'a, zatrzymała się przed jego bramą. Zauważyłam, że mówi do siebie i że wykonuje wciąż ten sam gest dłonią, unosząc ją, jakby chciała przyklepać sobie beret, żeby trzymał się mocniej na głowie. Pochylała się raz po raz w przód, jakby zamierzała przekroczyć bramę, ale po każdej próbie coś zatrzymywało ją w pół drogi.

W końcu rozejrzała się nieprzytomnie dookoła. Wtedy mnie zauważyła. Kiedy biegła drobnymi kroczkami w moją stronę, zobaczyłam, że płacze.

- Anita - zawołała, a ja skuliłam się odruchowo, bo przypominała mi trochę psa Tiffany'ego z tamtego złomowiska i przestraszyłam się, że mnie ugryzie.

- Czy nie widziałaś Denisa? - Jej środkowoamerykański akcent stawał się dużo wyraźniejszy, kiedy była zdenerwowana.

- Nie - odpowiedziałam. - Nie widziałam go od dnia, kiedy byliśmy z Kyle'em na basenie.

Na wspomnienie imienia Kyle'a cmoknęła.

- Ten Kyle dobrze wie, gdzie on jest. - Zrobiła niechętny gest w kierunku domu numer 33. Po czym wybuchnęła przeraźliwym płaczem. - Nie widziałam Denisa od wczoraj. Kiedy wróciłam, myślałam, że jest już w łóżku. Myślałam, że już śpi i nie sprawdziłam. Dziś rano, gdy poszłam zanieść mu mleko, nie było go.

Przerwała i pokręciła głową na wspomnienie doznanego szoku.

- Zawsze tam był. I nie wrócił do tej pory, a jest prawie południe. Nie miał innych kolegów oprócz ciebie i jego - pokazała na drzwi Kyle'a. I mam zamiar dowiedzieć się natychmiast, o co w tym wszystkim chodzi.

Przeszyła mnie wzrokiem, jakbym usiłowała jej w tym przeszkodzić, a kiedy wzruszyłam tylko ramionami, przewróciła oczami i zostawiła mnie. Wystrzeliła na drogę i niemal rzuciła się na drzwi domu Kyle'a i chociaż z trudem sięgała do kołatki, waliła nią tak, jakby chciała obudzić umarłego. W końcu wielkie czarne drzwi otwarły się. Patryk patrzył na nią przez chwilę, jak wrzeszczy, po czym, wyglądając na zdumionego, zaprosił ją do środka.

Czekałam, co się stanie. Po dziesięciu minutach drzwi otwarły się znowu i Gloria wypadła na ulicę, wciąż płacząc. Kyle i Patryk, stojąc na schodach, patrzyli za nią, jak pędzi z powrotem przez Myre Street - prosto na posterunek policji Brockley, jak się potem okazało - ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam. Wiedziałam tylko, że nie mam czasu do stracenia. Kyle i Patryk spojrzeli po sobie, wzruszyli ramionami i odwrócili się, by wejść z powrotem do domu. W sekundę znalazłam się przy nich.

- Kyle!

Zamknął cicho drzwi za Patrykiem i wyszedł do mnie przed dom.

- W porządku? - spytał.

Poczułam, jak uwięziony ptak szarpie się w mojej piersi.

- Muszę ci coś pokazać - mój głos był ściśnięty i drżący.

- Co się z tobą dzieje?

- Muszę ci coś pokazać - powtórzyłam. Zastanawiał się przez chwilę, po czym popatrzył na ulicę, na oddalające się plecy Glorii.

- Widziałś Denisa? - spytał. - Jego matka napadła na nas jak stuknięta. - Błysk rozbawienia przemknął po jego twarzy.

Próbowałam zachować spokój, jednak mimo to prawie wrzasnęłam:

- Kyle, musisz pójść ze mną. Natychmiast! Spojrzał na mnie jak na wariatkę. Zniżyłam głos, mówiąc sobie, że muszę się opamiętać.

- Proszę, Kyle. Musimy pójść nad rzekę. To ważne. Patrzył na mnie dłuższą chwilę, po czym wzruszył ramionami. Wyglądał na zmęczonego, roztargnionego.

- OK.

Poszliśmy w stronę przystanku. Od czasu do czasu rzucał mi zmieszane spojrzenie i pytał:

- Co jest, Anita? Gdzie idziemy? - Ale ponieważ nie odpowiadałam, dał sobie w końcu spokój i wsiedliśmy w milczeniu do autobusu.

Prowadziłam go bocznymi ulicami, nad Tamizę. Kilku ludzi, których mineliśmy, patrzyło wyczekująco, marszcząc brwi, w chmurzące się niebo i znów pojawiło się wrażenie nadciągającego z daleka deszczu, to dziwne uczucie patrzenia na spadające szkło tuż przed tym, jak uderzy w ziemię i rozprysnie się na części. Świat wstrzymał oddech.

Szliśmy przez jakiś czas wzdłuż rzeki - cofająca się fala odsłaniała wyrzygane przez siebie dary w postaci błota, gałęzi, plastikowych worków, butelek, połamanego rowerka na trzech kółkach. Prowadziłam go przez puste pola pełne tych białych kwiatów, co pachną kocią szczyną. Za teren fabryk, magazynów, za naszą kryjówkę, za miejsce, w którym zakręca rzeka, przez dziurę między płytami i blachą falistą, na opuszczone złomowisko.

Niebo wciąż było błękitne, ale trochę jaśniejsze, jakby kolor został rozproszony - błękitny balon nadmuchany zbyt mocno.

- Po co mnie tu przyprowadziłaś, Anita? - Rozejrzał się zdziwiony po pustym placu. Popatrzył na mnie wyczekująco, trochę poirytowany. - Dlaczego przyprowadziłaś mnie tu, taki kawał?

Kucnął. Nie zauważył kopczyka ziemi po drugiej stronie.

Wiedziałałam, że mam rację, wiedziałałam, że Kyle i ja jesteśmy oboje tacy sami i że pokocha mnie za to, co mu pokażę, jednak serce waliło mi z nerwów. Wciąż jąkałam się i połykałam słowa, mówiąc:

- Widziałam cię, Kyle.

Spojrzał na mnie, nie rozumiejąc. Pokręcił głową i wzruszył ramionami.

- Gdzie mnie widziałas? Usiadłam przy nim.

- Widziałam cię kilka dni temu w małym pokoju za twoją kuchnią. Widziałam cię. - Przerwałam, niezdolna spojrzeć na niego, kiedy to mówiłam.

- Widziałam, co robiliście z Patrykiem.

Nie odpowiadał przez jakąś chwilę, a ja podniosłam głowę, by zobaczyć, jak moje słowa zostawiają powoli na jego twarzy ślad - tak jak fale rzeki odciskające na brzegu gnijący wzór.

Opuściłam wzrok, aż w końcu cisza stała się nie do zniesienia, więc spojrzałam znowu w twarz Kyle'a. Była szara, zdruzgotana, odpłynęła z niej cała krew. Kiedy na mnie spojrzał, zobaczyłam, że jego oczy przepełnia wstyd.

Odwrócił się i zapatrzył w dal, kiwając powoli głową do swoich myśli. Świat czekał w napięciu. Wiedziałałam, że mnie zrozumie. Że zdołam mu to wytłumaczyć. Ale zdawało się, że wszystko między nami nagle zostało zniszczone, rozpadło się z trzaskiem, i nie wiedziałam, co zrobić, żeby zrozumiał.

I wtedy pomyślałam o tym, co dla niego zrobiłam, i poczułam, jak moje serce niemal eksploduje z podniecenia.

- W porządku - powiedziałam.

Delikatnie wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego ramienia. Odsunął się tak gwałtownie, że aż przewrócił się na plecy. Spojrzeliśmy na siebie. W końcu westchnął i wstał.

- I co?

Popatrzyłam na niego i wstałam także.

- I co? - powtórzył, jego głos był zimny i natarczywy. - Po jakie gównno mnie tu ściągnęłaś? Czego, kurwa, CHCESZ? Teraz już wiesz. I co, ciągnęłaś mnie tu po to, żeby mi o tym powiedzieć? - Nie patrzył na mnie.

- Nie - wyszeptałam. Poczułam, jak łzy napływają mi do oczu. Planowałam to, co chciałam powiedzieć ze wszystkimi szczegółami przez kilka ostatnich dni, a wszystko poszło nie tak.

- Wiem o Katie - powiedziałam, w końcu wyrzucając to z siebie.

Pokręcił głową w irytacji.

- KATIE? - spytał. - O czym ty mówisz? - Podszedł do mnie i zbliżył swoją twarz do mojej, aż się odsunęłam. - Co, kurwa, myślisz, że wiesz o Katie?

- W porządku - powiedziałam i wiedziałam, że tak jest, że zrozumie zaraz, jak mu pokażę. Uśmiechnęłam się i teraz on się odsunął.

- Przeprowadziłam cię tu dlatego - powiedziałam i wskazałam kopczyk ziemi. - Znalazłam ją. Znalazłam dla ciebie dawną kopalnię piasku.

Spojrzał zaskoczony na kopczyk.

- Co zrobiłaś? - zapytał. Delektowałam się tą chwilą.

- Znalazłam ją, Kyle. Odkryłam kopalnię - dla ciebie - powiedziałam.

Podszedł tam i, z oczami wciąż utkwionymi we mnie, zaczął usuwać płyty i belkę przykrywające właz. Kiedy zobaczył otwór, jego twarz rozpalila się z podniecenia.

- Niemożliwe! - powiedział, a ja na widok jego entuzjazmu omal nie rozplakałam się ze szczęścia.

Poczułam w sobie na tyle odwagi, żeby powiedzieć:

- Kyle, wiem, że zabiłeś Katie.

- Co? - Ledwie zwracał uwagę na to, co mówię, tak był pochłonięty pragnieniem znalezienia się wewnątrz kopalni.

- Wiem, że zabiłeś Katie - powtórzyłam. Odrzucił na bok płytę, którą trzymał w ręku, i wrócił do mnie. Zaniepokoiłam się znowu na widok wyrazu jego twarzy, ale powiedziałam sobie, że wszystko jest w porządku - wiedziałam, że ciężko będzie mu o tym mówić z początku. Ale wiedziałam, że kiedy zda sobie sprawę z tego, jak bardzo go kocham, i że jesteśmy oboje tacy sami, wszystko będzie dobrze.

Wzięłam głęboki oddech:

- Wiem, że zabiłeś ją, żeby ją ochronić przed Patrykiem.

Patrzył na mnie chyba przez wieki. Przygotowywałam się na jego reakcję. Oczekiwałam łez, a potem zwierzeń. I miłości, oczekiwałam miłości. Ale on wciąż patrzył na mnie jakby przerażony. Mijały powoli sekundy.

- Zabiłem ją? - powiedział bardzo słabym głosem. Skinęłam i położyłam dłoń na jego ramieniu.

- Ale W PORZĄDKU, Kyle. W PORZĄDKU. Kocham cię.

Strząsnął moją rękę, jakby oblaży go nagle mrówki. Potem powiedział, powoli i dosadnie, jak do osoby opóźnionej w rozwoju:

- Anita. Nie zabiłem swojej siostry. Co się, kurwa, z tobą dzieje? Nikt nie ZABIJA ludzi. Kompletnie oszalałaś? To nie telewizja. Moja siostra jest w Ameryce z ojcem.

Usiadłam na ziemi, moje nogi stały się nagle jak z waty. Staralam się zebrać wszystko do kupy. Głowę miałam ciężką od kotłujących się myśli. Wszystko traciło sens. Kyle podszedł i usiadł koło mnie.

Westchnął głęboko i schował głowę w dłoniach. Minęło trochę czasu, zanim powiedział:

- Zobaczyła nas - powiedział. - Katie. Mnie i dziadka. - Patrzyłam na niego, ale on unikał mego wzroku. - Robił to, odkąd byłem dzieckiem. - Żadne z nas nie odzywało się przez chwilę i usłyszałam, że Kyle płacze. Chrapliwe, przenikliwe szlochy. W końcu otarł łzy drobną, chudą dłonią. - Powiedział, że jak mama się dowie, to to ją zabije. I tak by było. Wiem o tym.

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć, to wciąż nie miało żadnego sensu.

- Nie zniosłaby tego - wyszeptał. - Dziadek tak powiedział - zaczął znowu płakać. - Kiedy on... kiedy to się zaczęło, miałem jakieś pięć lat. Powiedział, że umarłaby, gdyby się o tym dowiedziała, i że to wszystko byłaby moja wina, dlatego, że to ja zmuszałem go, żeby to robił.

Pomyślałam o wyrazie twarzy Elizabeth, tym przerażonym, pełnym winy spojrzeniu tego dnia, gdy widziałam ją na schodach.

- Raz Katie weszła i nas zobaczyła, a ja tak cholernie się bałem, że powie mamie. Powiedziałem Katie, żeby nie mówiła, ale ona nie wszystko rozumiała. Kochała mnie, wiesz? Robiła, co jej kazałem - lekki uśmiech. - Ale wiedziałem, że któregoś dnia się wygada. Niechący, ale jednak wcześniej czy później powie coś mamie. - Kyle westchnął i wytarł rękawem nos.

- Tata chciał wziąć nas do siebie, ale nie dostał pozwolenia. Chodził do sądu i wszędzie, próbował wszystkiego, żeby zabrać nas do siebie. Więc zadzwoniłem do niego, wyślizgnąłem się z domu i zadzwoniłem, i uknuliśmy plan. Pomogłem mu porwać Katie, Anita. - Spojrzał na mnie, przerażony. - To ja.

- Dlaczego sam nie uciekłeś? - wyszeptałam.

- Musiałem opiekować się mamą - powiedział. - Dziadek nie jest przy niej przez cały czas. Nie mogłem zostawić jej samej. Nie dałyby sobie rady.

Zamilkł, wpatrując się w swoje dłonie. Pogrzeżył się w myślach na chwilę, rozpamiętując.

- Tak bardzo płakała, kiedy przyprowadziłem ją do ojca tamtej nocy. Nie chciała jechać. Wiedziała, że nie zobaczy już nigdy mnie ani mamy. Powiedziałem jej, że się zobaczymy, ale wiedziała, że to nieprawda. Płakała, błagając, żebym zabrał ją z powrotem do domu. Nie rozumiała, myślała, że zrobiła coś złego i że ja i mama już jej nie chcemy. Ale wiedziałem, że muszę to zrobić. Widziałem, że tak będzie najlepiej. Musiałem.

Próbowałam odnaleźć sens w tym, co mi powiedział.

- Ale - powiedziałam. - Ale, myślałam... Mike, i tak dalej, myślałam...

Spojrzał na mnie wtedy.

- Co, Anita? Myślałaś, że co? Że jak potraktowałem tę ciotę tak jak trzeba, znaczy, że zamordowałem moją małą siostrę? - Pokręcił głową. - Coś ci się popierdoliło - i to zdrowo!

Patrząc na Kyle'a, czułam, jak cały świat i wszyscy ludzie na ziemi, każdy poszczególny człowiek, rozpadają się w proch. Nawet Kyle przestał istnieć naprawdę. Czułam, jak wszyscy ludzie znikają, i w końcu zostałam sama, sama jedna w całym wszechświecie. Jak morski ptak - tak się czułam. Przecinający próżnię nieba nad bezdennym oceanem i wokół nic, nikogo w zasięgu wzroku, pustka.

Kyle otarł z twarzy łzy i smarki, wstał i poszedł w stronę jamy. Poszłam za nim, patrzyłam, jak podnosi latarkę, którą zostawiłam na zewnątrz, zobaczyłam, jak włącza ją i uśmiecha się, jak schyla się i przeciska przez otwór. Stałam przy włączniku, kiedy schodził w dół. Patrzyłam, jak prostuje się i omiata światłem jaskinię, czekałam, kiedy promień natrafi na Mike'a i Denisa,

Usłyszałam, jak mówi, głosem jak roztrzaskane szkło:

- O kurwa!

16.

Zabrałam się za realizację swojego planu kilka dni wcześniej. To naprawdę nie moja wina, że Denis wmieszał się w to wszystko. Nie brałam pod uwagę takiego obrotu sprawy.

Okazało się, że znalezienie Mike'a było o wiele mniej skomplikowane,

niż myślałam. Wyobrażałam sobie, jak włóczę się godzinami przed jego domem, czekając, aż raczy się zjawić. Bałam się, że będzie razem ze wszystkimi swoimi kumplami - wiedziałam, że to byłby mój pieprzony koniec, że roznieśliby mnie na miazgę. Wiedziałam o tym, a mimo to nie wahałam się. Nie miałam wyjścia. Ale okazało się, że od razu nadziałam się na Mike'a. Był sam i zmierzał w moją stronę. Szczęście czy co?

Nawet mnie nie zauważył. Właściwie przeszedłby tuż obok mnie, gdybym go nie zawołała. Podniósł głowę, kiedy usłyszał swoje imię, i jak tylko mnie rozpoznał, zeszywniał i zatrzymał się. Wtedy zdałam sobie sprawę, że rozgląda się za Kyle'em. Był blisko mnie i zobaczyłam siniaki na jego twarzy i szyi - zastanawiałam się, kto go tak załatwił. Miał na sobie jaskraworóżowy T - shirt, przez co jego prześwitująca skóra i tłuste włosy wyglądały jeszcze gorzej niż zwykle.

- Mike - powtórzyłam, patrząc na tę jego głupią mordę, rozdziawioną tak, jakbym była przybyszem z Marsa.

- He? - spytał i staliśmy tak jakąś chwilę, a ja czekałam, aż zakapuje.

- Gdzie twój kolega? - spytał w końcu.

- Kyle? Właśnie dlatego tu jestem. Chce się z tobą spotkać. Prosił mnie, żebym cię do niego zaprowadziła.

- Pierdol się!

- Serio - mówiłam, biegnąc za nim, bo zaczął iść dalej. - Powiedział, że chciałby dokończyć to, co zaczął.

Mike stanął. Roześmiał się swoim przeszywającym dziewczęcym śmiechem.

- Serio, kurwa? Wzruszyłam ramionami.

- Dlaczego zatem ten wielki człowiek nie przyjdzie tutaj i tego nie zrobi?

Zdałam sobie w tym momencie sprawę, że Mike jest jakby pozszywany z różnych, niepasujących do siebie kawałków. Długie, jasnoblond włosy, pokryte strupami usta, jaskrawy T - shirt. Pomyślałam, że choć jest chudy i ma dopiero piętnaście lat, wygląda na silnego - że emanuje takim złym rodzajem siły, która pochodzi gdzieś z jego zepsutego wnętrza. Ale jednocześnie miał w sobie jakąś niewinność i dopiero to robiło z niego prawdziwego potwora. Taki głupi, dziecinny wyraz twarzy, potrafiący zmrozić do szpiku pieprzonych kości, kiedy dostrzegło się okrucieństwo czające się pod powierzchnią - jak żyletka w czekoladce.

Starłam się opanować nerwy.

- Myśli, że jak tu przyjdzie, ty weźmiesz ze sobą wszystkich swoich kumpli - powiedziałam, tak zwyczajnie, jak tylko byłam w stanie.

Zastanowił się nad tym przez chwilę, pokręcił głową, splunął gdzieś niedaleko mojej stopy i zaczął iść dalej.

- Nie mogę nic zrobić - powiedział. - Muszę zanieść wodę tatowi.

Poczekalam, aż odejdzie kilka kroków. Wtedy powiedziałam cicho:

- Ta. Mówił mi, że za bardzo srasz ze strachu, żeby przyjść.

Zareagował tak błyskawicznie, że ledwie zdałam sobie sprawę, co się dzieje. Odwrócił się i jednym ruchem chwycił mnie za szyję i poprowadził w dół ulicą. Jego palce wryły mi się w gardło tak głęboko, że zaczęłam kaszleć. Pochylił się i wyszeptał mi do ucha:

- Święte słowa, Arabusko. Zaprowadź mnie do swojego narzeczonego, a ja włożę mu do gardła jego pieprzone zęby. - Kopał mnie od tyłu po nogach. - A potem twoje.

Miałam wrażenie, że całą siłę mięśni skupił w końcach swoich palców i że za chwilę przebiję mi nimi szyję na wylot. Nie mogłam oddychać.

Doprowadził mnie do końca ulicy, zwalniając uścisk dopiero, gdy znaleźliśmy się na zatłoczonym Blackheath Hill.

- Gdzie teraz? - zapytał.

Nie byłam w stanie wydobyć głosu przez parę ładnych sekund, więc kopnął mnie znowu, aż musiałam zgąć z bólu nogę. Zaczęłam rozcierać gardło.

- Musimy wsiąść do autobusu do Greenwich - powiedziałam. - Nad rzeką.

Przez chwilę zdawało mi się, że znudziło mu się i że ma zamiar wracać. Ale jeden rzut oka na jego twarz wystarczył, by się zorientować, że nie ma zamiaru nigdzie iść. Zbyt dobrze się bawił.

Skinął głową, chwycił mnie za ramię i pchnął w kierunku przystanku. Szedł kilka kroków za mną przez całą drogę, kopiąc mnie od czasu do czasu po nogach, żebym wiedziała, że wciąż tam jest. Kiedy wsiedliśmy do autobusu, usiadł kilka siedzeń dalej, a ja utkwiałam w nim wzrok. Nagle zobaczyłam, że robi coś, co prawie przyprawilo mnie o zawał. Rozejrzał się wkoło, by sprawdzić, czy nikt nie patrzy, po czym wyjął z kieszeni sprężynowy nóż. Włożył go między kolana, pochylił się i nacisnął przycisk, by obnażyć ostrze. Potem zamknął go, pogładził z lubością czarną, plastikową

oprawę i schował z powrotem do kieszeni.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziałam, myśląc: „kurwa, kurwa, kurwa” i zastanawiając się, co do cholery mam teraz zrobić.

Skinął głową, wysiedliśmy i poszliśmy razem przez boczne ulice, tam, gdzie spotkaliśmy na początku lata jego i jego kumpli, i przez całą drogę zastanawiałam się, co robić - teraz, kiedy wiem, że ma nóż. Nie byłam na to przygotowana. W ogóle nie wzięłam czegoś takiego pod uwagę. Ale było już za późno, musiałam trzymać się swojego pierwotnego planu. Więc zaprowadziłam biadolącego całą drogę Mike'a do kopalni.

Zatrzymaliśmy się pośrodku pustego złomowiska, a on powiedział:

- Dobra, dawaj - pizd, pizd, gwizd, gwizd - gdzie jest ten wspaniały men?

Wskazałam głową w kierunku kopczyka ziemi po przeciwnej stronie i powiedziałam, żeby szedł za mną. Westchnął głęboko i rzucił:

- Jak grasz w chuja - pożałujesz.

Skinęłam, w gardle mi całkiem zaschło i zabrałam się za wyciąganie zasuwy i desek z otworu. Nie spuszczać mnie z oka, wyjął ponownie nóż i otworzył go z trzaskiem. I nagle olśniło mnie. Wyciągnęłam latarkę z kryjówki, w której schowałam ją poprzedniego dnia, i nie włączając jej, weszłam przez właz i zaczęłam schodzić w dół. Szukając schodów po omacku, usłyszałam głos Mike'a dochodzący z okolic wejścia:

- Co, kurwa? Jaskinia? I chwilę później:

- Cool! - powiedział to głosem podekscytowanego dzieciaka.

Wiedziałam, że idzie za mną. Miał nóż, czuł się bezpiecznie. Wiedziałam, że przyjdzie. Położyłam latarkę na podłodze. Czekałam na niego. Moje oczy przyzwyczajały się w tym czasie do ciemności. Jego nie. Zmierzał w kierunku mniejszej komory, rozjaśnionej żółtym światłem latarki.

- Nieźle, kurwa. - Spojrzał na mnie spode łba. - Dobra, złotko, miło z twojej strony, że pokazałaś mi, jak mieszkasz ty i twoja rodzinka - pierwsza klasa, ale teraz chodźmy i poszukajmy twojego fagasa. - Uśmiechnął się szeroko. - Żebym mógł obciąć mu uszka.

Odwrócił się do wyjścia, ale ja powiedziałam: - Tutaj - i zatrzymał się tam, gdzie stał.

Spojrzał na mnie podejrzliwie, a ja wskazałam wąski korytarz, prowadzący do następnej komory.

- Co? - spytał. Podeszedł w moją stronę. Twarze na ścianach wykrzywiły się, patrząc za nim, niezauważone.

Wskazałam w stronę przejścia.

- Jest tam - powiedziałam.

Popchnął mnie przed sobą i sam wśliznął się w ciasny korytarz.

- Nic, kurwa, nie widzę - jęczał.

Nie ma nic specjalnie szczególnego w momencie, w którym zabijasz, właściwie nic. Wydawać by się mogło, że to coś więcej. W sekundzie otworzyłam nóż Kyle'a. Wepchnęłam największe ostrze w bok Mike'a, kiedy przeciskał się przez wąskie wejście, zanim w ogóle zorientował się, o co chodzi. Jak krajanie pomidora. Chociaż dziwne jest to, jak ciepła jest krew. Że jest jej tak dużo. Dziwne, że Mike z początku nawet nie wiedział, że umiera. Susan, moja przyjaciółka, wiedziała od razu. Wiedziała, że zaraz umrze. Może dlatego sprawiało mi to więcej radości. Albo może dlatego, że tak bardzo ją kochałam.

Mike odwrócił się do mnie, a jego oczy w wykrzywionym świetle leżącej na ziemi latarki upodobniły się do głębokich, długich cieni pod nimi. Odwrócił się, posyłając mi przedziwne spojrzenie, macając dłonią okolice miejsca, gdzie wbiłam nóż. Ugodziłam go jeszcze raz. Tym razem poczuł, upadł na twarz, upuszczając własny scyzoryk.

- Co? - powiedział. - C...?

Pchnęłam go nożem znowu, prosto w serce. Gazety pisały później, że został ugodzony siedemnaście razy, ale z całą pewnością była to przesada. Był podziurawiony jak mokra plażowa piłka, krew wylewała mu się z ust, zewsząd, za moment nie żył. Usiadłam na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i patrzyłam. Co czułam? Nic. Jedynie napięcie w moim ciele trochę zelżało.

Zrobiłam to, co zamierzałam zrobić. Zabiłam Mike'a dla Kyle'a, zabiłam Mike'a, ale nie poczułam się dzięki temu tak dobrze, jak myślałam, że będę się czuć, gdy to zrobię. Szczerze mówiąc, poczułam się pusta w środku. Nie tak jak kiedyś.

To zaczęło się, kiedy miałam sześć lat. Susan Price była moją najlepszą przyjaciółką i zawsze chodziłyśmy wszędzie razem. Siedziałyśmy razem w jednej ławce i spędzałyśmy razem weekendy w którymś z naszych domów. Uwielbiałam jej długie, rude włosy i jej piegi, i marzyłam o tym, żeby mieć błękitne jak niebo oczy, tak jak ona. Nawet zmuszałam mamę, żeby kupowała mi takie same ubrania jak jej. I kiedy zostawałam u niej na noc w domu,

spałyśmy razem w jednym łóżku w takich samych piżamach. Urządzałyśmy sobie nocne uczyty, a ja ciągle ją pytałam: „O czym myślisz? O czym myślisz w tej chwili?”. Bo przerażała mnie myśl, że nie wiem, o czym tak naprawdę myśli i co czuje w każdej minucie każdego dnia. Że nie wiem, jak to jest być nią.

Świat zaczął wydawać mi się ogromny, gdy miałam sześć lat. Kiedy tylko pomyślałam o jego bezmiarze, o tym, ilu ludzi na nim żyje, doznawałam panicznego, duszącego uczucia. Często śniłam, że tonę w morzu ludzi, że znajduję się w środku niezmiernego tłumu obcych, że traktują mnie, miażdżą, chodzą po mnie, że się duszę, aż w końcu zostawałam sama i budziłam się, przerażona, bez tchu, a strach, że przestałam istnieć, nigdy do końca mnie nie opuszczał.

Czasami nie mogłam zasnąć, myśląc o liczbie ludzi na świecie, o tych wszystkich zupełnie różnych myślach i uczuciach, o tym, że nigdy ich nie poznam ani oni mnie. Widziałam kogoś na ulicy - zupełnie przypadkową osobę - starszego mężczyznę, dziecko, kogokolwiek - i gapiłam się, i gapiłam, doprowadzając się do szaleństwa myśleniem o nim, bo im więcej myślałam, tym sama stawałam się mniej realna, tym mniej sama siebie widziałam, tym mniej sama siebie czułam - tak wyglądał początek tego koszmaru. Nagle zaczęło mi się wydawać, że jestem kimś na zewnątrz siebie, zaczęłam widzieć Anitę z zewnątrz, jakbym była kimś innym, patrzącym na siebie, zastanawiającym się, kim jestem.

I to przerażało mnie, byłam kompletnie sterroryzowana tą myślą. W końcu nawet mój własny głos zaczął mnie przerażać, bo kiedy mówiłam do kogoś, patrzyłam, jak reaguje na moje słowa i odpowiada mi, ale to nie miało żadnego sensu, bo nie byłam w stanie dowiedzieć się, komu odpowiada, na kogo patrzy ani czyj głos słyszy.

Kiedy zostawałam u Susan w domu, gdy zasypiała, patrzyłam, jak jej pierś wznosi się i opada, wznosi i opada. Tak strasznie chciałam wiedzieć, co jej się śni, jak to jest być nią. Czasami budziłam ją i pytałam: „Co ci się śniło? Co ci się teraz śniło?”. A ona odpychała mnie i mówiła: „Nic, śpij”. Ale ja leżałam i patrzyłam na nią i próbowałam opanować ogarniający mnie strach.

Kochałam Susan. Kochałam ją tak bardzo. Kochałam przerwę między jej przednimi zębami, dźwięk jej śmiechu, jej rude brwi. Pragnęłam spędzać z nią każdą sekundę, pragnęłam wiedzieć, jak to jest być nią, co dzieje się pod jej skórą. Myślałam, że zaczęłabym istnieć wreszcie naprawdę, gdybym tylko mogła wiedzieć, jak to jest, choćby przez sekundę. I w końcu to pragnienie przerosło mnie, stało się większe ode mnie - stało się mną - rozumie pan, o

czym myślę?

Któregoś dnia rano w szkole nauczycielka rozdała nam buteleczki z mlekiem z niebieską słomką i razem z Susan poszliśmy do domku Wendy (Wendy houses - domki dla dzieci udające różne miejsca, np. zamek, dom szeryfa, cyrk itd.), stojącego w rogu placu zabaw, by je wypić. W środku było coś w rodzaju siennika, takie łóżko polowe i Susan położyła się na nim, a ja usiadłam na podłodze. Chichotała, coś ją rozbawiło, nie pamiętam, co. Wrzaski, piski i krzyki innych dzieci wypełniały plac zabaw jak kipiące morze i zagrażały wtargnięciem do naszego domku, naszego ciepłego, pomarańczowego małego świata, przepelnionego zapachem trawy i gorącego plastiku - wtargnięciem i wymiecieniem ostatnich, jeszcze pozostałych cząsteczek mnie samej. Próbowalam się skoncentrować, zebrać myśli, uczepić się myślą czegoś konkretnego, realnego - Susan, tak jak tonący czepia się tratwy.

Po pewnym czasie Susan zaczęły kleić się oczy i zasnęła. Patrzyłam, jak jej drobne ciało wznosi się i opada, wznosi się i opada, i w końcu poczułam, że nie zniosę dłużej tego bzyczenia rozlegającego się wokół, jakby otoczył mnie rój os, tego wrzasku, jakby w mojej głowie utkwiał milion ludzi. Nagle doznałam, proszę pana, takiego wrażenia, jakbym była w bardzo ciemnym tunelu, na którego końcu błyszczący cudowne światło, i nagle tak strasznie zapragnęłam się do niego dostać. W pewnym momencie wszystko pokryła ciemność - ciemność i cisza - i tylko Susan śpiąca obok na łóżku była widoczna. Lśniła, panie doktorze, lśniła.

Nie myślałam jasno. Instynkt popchnął mnie do tego, powiedział mi, jak to zrobić. Wstałam i podeszłam do łóżeczka. Położyłam palce na jej gardle. Obudziła się w popłochu i przez chwilę patrzyłyśmy sobie w oczy. Przykryłam jej usta dłonią, a jej oczy wciąż utkwione były w moich. Trzymałam palce na jej gardle i naciskałam, a potem ścisnęłam jej szyję z całej siły, drugą ręką zakrywając jej usta i nos. Przez cały ten czas nie wydała żadnego dźwięku. Wrywała się i szarpała pode mną, ale nie wydała żadnego dźwięku, a jej oczy ani na moment nie odwróciły się od moich.

I to było piękne. Kiedy patrzyłam jej w oczy, wiedziałam po raz pierwszy dokładnie, co naprawdę czuje. Kiedy przestała wierzczać i poczułam, jak jej „Susanność” opuszcza ją powoli i wypełnia mnie, poczułam się kompletna. Cała, pełna osoba - a nie zero - puste, niewyraźne, wystraszone, jakim zawsze byłam. Nie - czułam się połączona ze światem, pewna siebie i realna po raz pierwszy w życiu. I na chwilę cały świat wypełniła idealna jasność, taka jasność, która aż raziała oczy.

Znalazła nas nauczycielka. Susan leżała z zamkniętymi oczami i nabrała dziwnych kolorów, ale wciąż oddychała. Nigdy nie zapomnę miny, jaką zrobiła ta belferka.

Zostałam usunięta ze szkoły. Dwadzieścia minut później przyszła po mnie mama i zabrała mnie, i nigdy więcej tam nie wróciłam. Nigdy więcej też nie zobaczyłam Susan, choć mama mówiła, że opowiada wszystkim, że tylko się bawiliśmy.

Tak więc zostałam w domu na jakiś czas, pod czujnym okiem mamy. I chociaż mówiła: „BAWIŁYŚCIE SIĘ tylko, prawda? Nigdy nie skrzywdziłybyś swojej przyjaciółki!”, widziałam w jej oczach upiorny, chory strach, który wpełził tam tego dnia i nigdy już tak naprawdę ich nie opuścił.

I każdej nocy, gdy kładłam się spać, rozpamiętywałam tę cudowną chwilę - wtedy, z Susan, w domku Wendy. Mogłam myśleć jedynie o tym, jak bardzo chciałabym poczuć to jeszcze raz, jak strasznie, nie do wytrzymania, pragnęłam tego uczucia.

Wtedy, w kopalni, wyciągnęłam nóż z ciała Mike'a i wytarłam go o jeansy. Czułam pustkę. Zabiłam go dla Kyle'a, żeby pokazać mu, że jestem taka sama jak on, że zrobię dla niego wszystko. A także dlatego, że myślałam, iż poczuję to samo, co wtedy z Susan, myślałam, że będzie tak jak wtedy, że tamto piękno powróci. Ale zabijając Mike'a, nie czułam właściwie nic. I zimna ciemność zaczęła wsączać się powoli we mnie i wypełniać każdą cząstkę mnie, aż w końcu zupełnie nie byłam w stanie odróżnić siebie od zimnego, martwego, czarnego powietrza wypełniającego kopalnię.

Zapaliłam latarkę i oświetliłam nią ciało Mike'a - leżące na piaszczystej podłodze - podziurawione i zmasakrowane. „To nic takiego - powiedziałam sobie. - To nic wielkiego - zrobiłam to wszystko dla Kyle'a, zrobiłam to dla Kyle'a i teraz będę mogła mu o tym powiedzieć, a on będzie mógł mi opowiedzieć o tym, jak zabił Katie, i wtedy obydwójce razem stąd uciekniemy. Nad morze, do Ameryki, gdziekolwiek. Wszystko nabierze sensu, kiedy powiem Kyle'owi”.

Kiedy wyszłam z kopalni, oślepiąca nagle słońcem, nie zdążyłam nawet zmienić ubrania na inne, które przyniosłam ze sobą, gdy zobaczyłam Denisa przełazącego przez dziurę w płocie na drugim końcu pustego placu. Zamarłam w szoku, kiedy człapał w moją stronę, jego grube wargi otwierały się i zamykały jak u ogromnej ryby: „bul, bul, bul”.

- O! - zawołał. - Wyszłaś spod ziemi! - Patrzył na mnie w niemym zdziwieniu, jakbym była jakimś magikiem. Pochylił głowę, żeby lepiej się

rozejrzeć. - Co to za dziura? - spytał.

- Denis - powiedziała - co tu robisz? - Zastanawiałam się, w jaki sposób wyjaśnię mu plamy krwi na ubraniu.

- Szłem za wami! - powiedział. - Widziałem was z autobusu - ciebie i Kyle'a!

Popatrzyłam na niego uważnie.

- Denis, gdzie twoje okulary? - Jego oczy bez szkieł wyglądały jak małe, białe paciorki tonące w wielkiej, pucułowatej twarzy.

- Zostawiłem w domu - powiedział. - Rozbiły się - wyszczerzył się w uśmiechu. - Widziałem ciebie i Kyle'a z autobusu. Więc wyszłem, wy byliście już bardzo daleko, ale i tak poszłem za wami. Szłem za wami całą drogę. Jak James Bond. - Jego twarz zachmurzyła się. - Wtedy was zgubiłem. - Rozchmurzył się znowu: - Wtedy pomyślałem, że musicie być tu, bo nigdzie indziej nie mogliście iść. Więc popatrzyłem przez dziurę i weszłem. Ale was nie było i...

- Denis - przerwałam mu, wiedząc, że to może potrwać jeszcze cały dzień. - Nie byłam z Kyle'em. To był Mike.

Pokręcił uparcie głową.

- Oczywiście, że byłaś z Kyle'em. Widziałem was. SZŁEM za wami!

Denis zawsze mówił „szłem”, zamiast „szedłem”. To było cholernie irytujące.

- Nie - powiedziała spokojnie. - To był Mike. Byłam z Mikiem. Chodź, Denis. Chodźmy do domu.

Ale on nic z tego nie kumał.

- Nie! Ty i Mike nie kumplujecie się. - Podbiegł do dziury. - Co to, jaskinia? Znaleźliście z Kyle'em jaskinię?

- Nie, Denis. Chodź, idziemy do domu - powiedziała.

Popatrzył na mnie, jakbym robiła go w balona, i roześmiał się.

- Kyle tam jest, co nie? - spytał.

Nie umiałam mu wytłumaczyć, nie chciał mnie słuchać. Próbowalam, naprawdę próbowałam. W ogóle nie zwracał uwagi. Nic dziwnego zresztą, biorąc pod uwagę, że szukaliśmy tego przez całe lato.

- Chcę tam wejść - zapiszczał. - Chcę wejść.

- Nie wchodź - powiedziała. - Jest ciemna i mała, a ty nie znosisz być

pod ziemią, nie pamiętasz? - Ale on nie przyjmował tego do wiadomości. Wepchnął się koło mnie i zajrzał do środka.

- Wejdę tylko na chwilę. Po Kyle'a. - Wepchnął głowę głębiej w otwór jaskini. - Kyle! - zawołał podekscytowany. - Kyle - jesteś tam? Chwycił latarkę, którą położyłam przed wejściem, i ją włączył.

Podniosłam z ziemi kamień i poszłam za nim. W kopalni Denis natrafił światłem na Mike'a. Zagryzł zębami palce.

- Anita - powiedział. - Anita - powiedział jeszcze raz, bardzo słabym głosem. Ukląkł, żeby popatrzeć na Mike'a z bliska. Zaczął potrząsać nim za ramiona.

- Anita - powiedział. - Anita, ktoś zabił Mike'a.

Uderzyłam Denisa kamieniem. Zostawił wielką szramę na jego czole i Denis przewrócił się. Kiedy wbijałam mu nóż w wielki tłusty brzuch, nie czułam nic.

17.

Chwilę po tym, jak Kyle wszedł do kopalni, niebo wydeło się, zbulgotało i zaczęło pocić rzadkimi, ciężkimi kroplami deszczu, które spadały na mnie i na ziemię, jak kulki z przemoczonych chusteczek do nosa. Plask, plask, plask.

Poszłam za Kyle'em i znalazłam go stojącego nad Denisem, z latarką w dłoni. Nie podobało mi się, jak na mnie patrzył. Jakbym była kimś obcym.

- Anita - powiedział. - Co ty zrobiłaś? - Jego twarz w świetle latarki wyglądała na nieszczęśliwą i przestraszoną. Ukłękł koło Denisa. Patrzył na ranę na jego czole.

- Denis - wyszeptał. - Kurwa, Anita, co ty zrobiłaś? Spojrzałam na niego.

- Zrobiłam to dla ciebie.

- Dlaczego? - spytał. - DLACZEGO? - Dotknął kręconych włosów Denisa i zakwilił: - Nie rozumiem, Anita. Nie rozumiem, dlaczego to zrobiłaś.

I wciąż kręcił głową. Nagle zaczął płakać - wielkie łzy płynęły mu z oczu strumieniami. Widziałam, jak płyną po policzku, a potem skapują na Denisa.

- Jesteś jebnięta, Anita. Jesteś naprawdę jebnięta - wyszeptał. - I co teraz, co zamierzasz teraz zrobić? To kompletnie chore. Zabiłaś Denisa i Mike'a. Kurwa, zabiłaś ich!

Szukałam w jego oczach uznania, zrozumienia, jakiegoś rodzaju kontaktu, akceptacji.

- Zrobiłam to dla ciebie - powiedziałam rozpaczliwie. - Zabiłam Mike'a dla ciebie, żeby pokazać ci, że rozumiem to, dlaczego zabiłaś Katie, i żebyśmy mogli razem uciec - gdybyś chciał. Możemy teraz zrobić wszystko, co tylko chcemy, bo jesteśmy tacy sami. Zrobiłam to wszystko dla ciebie.

Nie wiedziałam, co jeszcze mogę powiedzieć, bo Kyle tylko patrzył na mnie, spanikowany. Nie kochał mnie. Nie byliśmy tacy sami. Wszystko poszło cholernie nie tak.

- Anita - powiedział. - Potrzebujesz, pomocy, człowieku. Musimy iść po pomoc.

Jakby ktoś nagle pstryknął i cały świat opustoszał. I tylko ja - ja w ciemności.

To nic, to nic, wyjęłam nóż z kieszeni i otworzyłam go ostatni raz. I nagle Kyle ruszył na mnie z kamieniem, którym uderzyłam wcześniej Denisa, ale w ostatnim momencie zadrżała mu ręka i nie uderzył mnie tak silnie, jak mógł. Kamień przejechał mi po głowie i zatoczyłam się do tyłu. Kyle przeleciał koło mnie i w tym momencie jaskinia - taka cool, taka wspaniała i tak wiele obiecująca, mój cudowny sekret, mój prezent dla Kyle'a, wydała się nagle skwarnym, nie do zniesienia, chorym miejscem, dusznym od zapachu krwi Mike'a i Denisa, i rozgoryczenia Kyle'a. Który mnie opuszczał i nigdy nie mieliśmy być razem.

Więc kiedy znalazł się koło mnie, wbiłam mu nóż w szyję. Włożyłam go aż po błyszczącą czerwoną rękojeść. Zatoczył się i przewrócił - na mnie, i upadłam razem z nim, trzymając go w ramionach. I tak jak Susan patrzył mi prosto w oczy. Kiedy jego szyja kipiała czerwienią, a jego krew lała mi się po rękach, patrzył prosto na mnie. Jego oddech był krótki i poszarpany. Kiedy trzymałam w dłoniach jego głowę, patrzyłam mu w oczy i czułam taką ogromną miłość, taką miłość. Przestałam być samotna.

Tyle krwi. Jego krtań pulsowała i bulgotała, i wkrótce obydwójce byliśmy cali mokrzy. Czułam się cała i silna. Przez cienki, mokry materiał jego podkoszulka czułam, jak taniec jego serca pod moją zakrwawioną dłonią załamuje się, gaśnie, w końcu zamiera. I w tym samym momencie, kiedy opuścił siebie, wszedł we mnie, jak w wodę. Czy wie pan, o czym mówię? Czy pan rozumie? Stał się mną, wreszcie był mój i zaczęłam naprawdę istnieć.

Przez całe długie lato obserwowałam go w każdym szczególe, tak samo jak Susan. Jego podłużną, szczupłą twarz, sposób, w jaki stawiał lewą stopę - lekko do wewnątrz, gdy szedł, piegi na jasnej skórze, zmieniającą się barwę głosu. A teraz wszystkie te szczegóły, z których składał się Kyle, które go tworzyły, opuściły go i stały się częścią mnie. Trzymałam go w ramionach i gładziłam po głowie, aż w końcu, po długim czasie, jego oczy znieruchomiały i stał się cały mój.

18.

Siedziałam tam z Kyle'em całe wieki, jego ciało wystygło i zwiotczało na moim ciele. I pod czujnym wzrokiem tych wszystkich oczu, wyryłam nożem Kyle'a na ziemi słowa: DENIS, KYLE, ANITA - zakrwawiony uchwyt wyślizgiwał mi się z dłoni. Nigdy później tam nie byłam, ale jestem pewna, że dalej tam są - te słowa. Wiem, że jesteśmy wszyscy razem tam, na dole.

Nigdy nie dowiedziałam się, co się stało z Patrykiem i Elizabeth. Push twierdzi, że dom do tej pory stoi pusty. Nie byłam na pogrzebie Denisa, choć Gloria prosiła, bym przyszła. I potem brnęłam przez te wszystkie niekończące się pytania nieskończonej liczby policjantów, przez wszystkie te niekończące się bajki z gazet i telewizyjne debaty, te: jak, jak, jak, dlaczego, dlaczego, dlaczego, te protesty i cały ten zgiełk, podniecenie, ochy i achy (gdy doszło do Kyle'a - jakże upajali się każdym szczegółem). Ratowała mnie w tym wszystkim pamięć - słodkie, bezcenne wspomnienie cudownej ulgi, jaką powoduje świadomość - choćby przelotna - że jest się całą, kompletną istotą, prawdziwą, połączoną ze światem i realną - a nie, jak dotąd - zastraszoną i niewidzialnym zerem.

Dni płyną jak Tamiza - takie same i nieuniknione. W drodze do fabryki obserwuję dzieci jadące do szkoły tym samym co ja autobusem. Wyglądają tak podobnie do siebie w szkolnych mundurkach, prawda? Czasami widzę jakieś jedno cichsze, stojące z boku i zastanawiam się, jakie skrywa w sobie tajemnice. Myślę często - ciągle - o Kyle'u i celebruję wspomnienie nas dwojga w ten ostatni dzień - ostatni dzień lata, ostatni dzień wszystkiego, kiedy miałam trzynaście lat. Ale z czasem coraz trudniej tym żyć, coraz trudniej pamiętać.

Nikt nie wątpił w moją relację. Policja nie lubiła Kyle'a. Nauczyciele nie lubili Kyle'a. Glorii nie przeszło nawet przez głowę, że to mógł być ktoś inny. Miałam na głowie ranę od kamienia. To było banalnie proste. Byli nawet świadkowie, którzy przez okna domów widzieli, co się stało tego dnia, w tamtym zaułku, gdy Kyle zaatakował nożem Mike'a. Powiedziałam policji o tym, co robił z Patrykiem. To dało im do myślenia. Był dzieciakiem przegranym w każdym kurewskim calu. Sprawa zniknięcia Katie ciągnęła się za tą rodziną od roku jak smród, tak więc bucik Katie w skrzyni w kryjówce, plus ten, o którym powiedziałam, że znalazłam w kopalni, przypieczętowały sprawę. Nie miało znaczenia, że rzekomo upuściłam go do Tamizy, biegnąc na policję. Byłam dobrą, spokojną dziewczyną.

Trzymałam się swojej wersji. Wierzyli mi. Chcieli mi wierzyć.

Wszyscy oprócz pana, doktorze.

Co to było? Który szczegół mojej historii mnie zdradził? Który akt mojej sztuki był nieudany?

Pamięta pan ten pokój w New Cross Hospital? Tę palmę o żółtych liściach i mdlącym zapachu, te ściany, stojące zbyt blisko siebie, pomalowane na żółto - zielony kolor? Kiedy otworzyło się okno, było bardzo głośno, autobusy zakłócały muzykę z magnetofonu. Uwięzione powietrze, uwięziony skwar, uwięzione światło. Pachniało kawą i środkiem odkażającym, prawda? Mówiłam i mówiłam, wypowiadałam słowa, które po latach wryły się w pana pamięć, jak uciskająca mózg metalowa obręcz.

Opowieść o Kyle'u. Opowieść o Kyle'u i o mnie.

To okrutne ze strony policji, że potraktowali pana ekspertyzy tak pobieżnie, że odsunęli pana od sprawy od razu, jak tylko kawałki układanki zaczęły pasować do siebie. Powiedział mi pan tym swoim miłym i spokojnym głosem, że jest pan od lat psychiatrą dziecięcym. Jest pan tu, by dookreślić, zarejestrować, dać ostateczne świadectwo. Potrzebna była pańska profesjonalna opinia. Ale i tak jest pan zszokowany moją opowieścią? Nawet panu wydaje się zbyt chora.

Nie uwierzył mi pan.

Ale kiedy podzielił się pan swoimi wątpliwościami z policją, zwyczajnie je zlekceważyli. Dowody zostały przedstawione, to była jasna, choć nieprzyjemna sprawa, a pan był tylko jednym z wielu biegłych. Tak czy inaczej, teraz to nie ma znaczenia. Od tego czasu byłam bardzo ostrożna. Nie miał pan powodu do obaw, niepotrzebnie tak się pan niepokoił i pisał do mnie przez ponad rok.

Trzymałam się na baczności. Słupek termometru spadł do zera.

Aż do teraz. Kiedy poznałam Malcolma.

Przyszedł przedwczoraj. Siedzieliśmy tutaj i oglądaliśmy dokument o wielbłądach. Wychodząc, zrobił to, za czym tęskniłam i czego się bałam przez ostatnie sześć tygodni. Przy drzwiach stanął, pochylił się i pocałował mnie. Pocałował mnie w usta. A potem poszedł korytarzem prosto do swojego mieszkania i wszedł do środka - tak szybko, jak tylko potrafił.

Nie mogę myśleć o niczym innym jak o tym, by go dotykać, doktorze, głaskać jego włosy w kolorze piasku, całować jego poważne, lekko wygięte w dół usta. I o tym, jak on dotyka mnie. I im bardziej go pragnę, tym częściej myślę, jak cudownie byłoby - kiedy siedzi koło mnie, na tym wąskim

tapczanie, oglądając telewizję - zacisnąć palce na jego szyi albo wbić nóż między jego żebra. Jak byłoby to piękne, jak wiele miłości mogłabym mu wtedy okazać.

Kiedy pocałował mnie tamtego wieczoru, usiadłam na ziemi, pod suszarką do naczyń z głową w ramionach i siedziałam tak, skulona w ciemności, przez resztę nocy. I pragnęłam, by Malcolm wrócił, tak bardzo go pragnęłam, jedynej osoby, przy której nigdy już nie będę samotna.

Bo, na jedną chwilę, tam, w kopalni, wszystkie te lata temu, na jedną krótką sekundę w tej ciemnej, zimnej jaskini, kiedy trzymałam Kyle'a w ramionach i czułam, jak jego krew przesiąka mnie na wylot - ciemność nagle wypełniła się światłem, takim czystym, olśniewającym blaskiem - tak silnym, że prawie oślepiało.

Proszę mi pomóc, doktorze. Proszę.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mojej agentce Claire Patterson z Janklow&Nesbit oraz Susan Watt z HarperCollins.

Dziękuję również Rachel Pask, Tessie Paul, Ianowi Elliotowi, Benowi Wayowi, Matowi Smithowi, Craigowi Glendayowi, Danowi Patijnowi, Willowi Storrow, Williamowi Drew i wszystkim moim kolegom z czasopisma „Arena”.

Specjalne podziękowania dla Alexa Cree, Dave'a Hollowaya, Justina Quirka i Anny Way.